



# Richard Glover W łóżku z Jokastą

---

tłumaczenie Grażyna Smosna

Tytuł oryginału: In Bed with Jocasta



*Dla Debry*

TLR

## WPROWADZENIE

Mam pewien kłopot z opisaniem książki, którą właśnie oddaję wam do rąk, gdyż jest ona połączeniem komedii z najdziwniejszą na świecie historią miłosną. Jej główną bohaterką jest moja partnerka Jokasta, która, jak się wkrótce przekonacie, jest kobietą wzbudzającą we mnie zarówno zachwyty, jak i... strach.

Nawiasem mówiąc, to również historia o zbliżaniu się do czterdziestki, flirtowaniu, gotowaniu i byciu chodzącym Magnelem na Kobiety.

Aby uniknąć konsekwencji prawnych, zdecydowałem się nazwać bohaterkę tej książki Jokastą. Musicie wiedzieć, że przekonanie czytelników moich felietonów o jej przewrotnej naturze i niecnym występku zajęło mi długie lata.

Jej popularność zdaje się jednak rosnać proporcjonalnie do liczby wybryków.

Niektóre spośród moich czytelniczek zaczęły ją nawet naśladować, uważając Jokastę za wzór kobiety n o w o c z e s n e j .

Mam szczerą nadzieję, że wysiłek włożony w napisanie tej książki zaowocuje przetrzebieniem gromadki fanek Jokasty i rzuci nieco światła na listę jej przewinień.

Co oczywiście nie oznacza, że nie lubię z nią być. Ja to wręcz uwielbiam. Szczególnie w ł ó ż k u .

Poznałem Jokastę, gdy miałem dwadzieścia jeden lat. Byłem wówczas pryszczatym brzydalem, a ona potrafiła dokonać w łóżku rzeczy, na które żadna inna kobieta się wcześniej nie zdobyła.

Jak choćby p o z o s t a ć w ł ó ż k u , mimo że ja zdążyłem do niego wskoczyć, co czyniło ją bezapelacyjnie numerem jeden.

Liczę na to, że rozbawią was nasze perypetie, a szczególnie fragmenty o naszych dzieciach.

Udało im się bowiem wynegocjować jednego dolara za każdą dotyczącą ich wzmiankę, więc moglibyście się przynajmniej za to trochę pośmiać. Jokasta zdecydowała się zrzec wynagrodzenia w zamian za następującą uwagę: prawdziwa Debra jest o wiele, wiele bardziej sympatyczna niż fikcyjna postać Jokasty.

Chociaż - rzecz jasna - równie seksowna.

Jeśli zatem jesteś w kimś prawdziwie zakochany, a twoje życie wydaje się normalne tylko z punktu widzenia przypadkowego przechodnia, ta książka powinna ci się spodobać.

To, że nasz przypadek stanowi najdziwniejszą historię miłosną świata, jest tak samo prawdopodobne jak to, że rzeczy równie niespotykane dzieją się tuż pod twoim nosem.

Prawdę mówiąc, obstawiam raczej to drugie.

# ROZDZIAŁ 1

---

- *Na jakiej podstawie stwierdziłeś, że będzie to film pornograficzny?* - pyta Jokasta po pojawieniu się na ekranie napisów końcowych.

*Kładę się do łóżka z poczuciem doznanej porażki. Mam po dziurki w nosie Hollywoodu. Rozgoryczeń serwowanych przez fińską kinematografię na zmianę z Australijską Radą do spraw Kontroli Mediów.*

## **Przeminęło z wiatrami**

- Ten film jest fiński - mówi Jokasta. - Nie uważasz, że już samo to powinno dać ci do myślenia?

Stojąc pośrodku salonu, usiłuję przypomnieć sobie, co takiego naród fiński uczynił Jokaście. Skąd ten gniew? To wzburzenie?

- Poza tym - kontynuuje, wciskając gniewnie przycisk przewijania - to już czwarty raz z rzędu. Po raz czwarty pozwoliłam ci wybrać film wypożyczalni i po raz czwarty film jest do bani.

W głębi serca czuję, że Jokasta jest trochę niesprawiedliwa dla *Dryfujących chmur* - fińskiego filmu, który właśnie skończyliśmy oglądać - na przykład nalegając, aby nazywać go *Przeminęło z wiatrami*.

- Spójrz tylko, ile ostrzeżeń w samym opisie tego filmu udało ci się przegapić - mówi Jokasta, trzymając w dłoni pudełko po kasecie. - „Wyrafinowane ujęcia” oznaczają, że filmowi brakuje fabuły. „Przewrotne poczucie humoru” informuje, że film może rozbawić co najwyżej bandę smutasów.

Usilnie staram się sobie przypomnieć, co podkusiło mnie, żeby wybrać właśnie ten film w wypożyczalni. Naklejka z informacją sugerującą jakieś bliżej nieokreślone powiązania filmu z festiwalem w Cannes? Entuzjastyczna recenzja w „Głosie Helsinek”? Obietnica „doskonałej zabawy i wspaniałego samopoczucia” po jego obejrzeniu?

„Cale szczęście, że nie był długi” - mógłbym powtórzyć za Jokasta.

W wypożyczalni zawsze można spotkać pięć, sześć osób snujących się wzdłuż półek z nowościami. Możemy co prawda wyglądać jak potępione dusze, skazane na wieczną tułaczkę, lecz tak naprawdę jesteśmy pełni nadziei, że tym razem uda nam się wypożyczyć coś wyjątkowego - prawdziwą perełkę. Że zabierzemy naszą zdobycz do domu, by pod koniec filmu nasze partnerki mogły dać nam całusa i szepnąć do ucha: „Znowu ci się udało, to było po prostu wspaniałe”.

Dziwnym trafem zawsze wygląda to trochę inaczej.

Tydzień w tydzień po obejrzeniu filmu prowadzimy z Jokasta taką samą dyskusję.

- Na jakiej podstawie stwierdziłeś, że to dobry film?

- A co powiesz na tę recenzję? - pytam, triumfalnie wskazując wytłuszczone słowo „przezabawny”.

Na co Jokasta odpowiada, wskazując na podpis drobnym maczkiem:

- Czy naprawdę podejmujesz decyzje na podstawie opinii koreańskojęzycznej stacji radiowej z jakiejś zabitej deskami dziury?

- A co powiesz na to? - brnę dalej. - „Głos Scunthorpe” nazwał ten film „prowokującym do myślenia”.

- Faktycznie czuję się sprowokowana... - przyznaje Jokasta - do zastanowienia się, dlaczego pozwoliłam mojemu głupkowatemu mężowi wybrać film.

Tydzień później po raz kolejny wałęsam się po wypożyczalni. Nigdy więcej, powtarzam sobie w myślach, nie zdam się na opinię koreańskojęzycznej rozgłośni radiowej, podobnie jak nie zaufam lokalnej gazetce zad-

nego brytyjskiego miasteczka. A już na pewno nie tknę kasety z filmem związanym w jakikolwiek sposób z Finlandią.

Tym razem, kombinuję, zdam się na wcześniejsze osiągnięcia twórców filmu. Pomocnik oświetleniowca tej produkcji pracował wcześniej na planie *Wielkiego chłodu*, a z kolei plan tamtego zaopatrywała ta sama firma cateringowa co *Romea i Julię*. Dokonałem wyboru. Zabieram zdobycz do domu. A po filmie jak zwykle rozpoczyna się dyskusja.

- Na jakiej podstawie stwierdziłeś, że to dobry film? - pyta Jokasta.

- Główną rolę gra aktor, którego doskonale pamiętamy z filmu *Dirty Dancing*...

- ... ponieważ był to jedyny godny uwagi film w całej jego karierze - kończy zdanie Jokasta.

Sięga po kasety i pakuje ją do pudełka.

- Istnieją reguły, których należy przestrzegać, wybierając film. Po pierwsze, ignorujesz ten, którego tytuł nic ci nie mówi, mimo że w filmie wystąpiło trzech znanych aktorów. Musi istnieć jakiś powód, dla którego film przeszedł bez echa mimo takiej obsady. Poza tym kiedy piszą, że „film jest po mistrzowsku zagrany i wyreżyserowany” to dlatego, iż ktoś zapomniał dołączyć do niego treść. A kiedy na pudełku znajduje się informacja o efektach specjalnych, ścieżce dźwiękowej albo wyczynach kaskaderskich, oznacza to, że film nie ma niczego innego do zaoferowania. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem - potwierdzam, po czym wracam do wypożyczalni. Wałęsam się po alejkach. Fińskie filmy: nie. Podobnie jak Patrick Swayze. I wreszcie trafiam w dziesiątkę. Niemal drzę z podniecenia. Skoro nie potrafię wybrać czegoś porządnego, jedyne, co mogę zrobić, to wybrać coś nieporządnego.

Mniejsza o recenzje, gwiazdy filmowe, nawet o Finlandię. Tym razem mój wybór oparty będzie wyłącznie na stopniu nieprzyzwoitości.

Ten film ma niesamowicie prowokacyjną okładkę, dostrzegam jednak, że Australijska Rada do spraw Kontroli Mediów nie była pod szczególnym wrażeniem, kwitując go słowami: „film zawiera sceny o lekkim zabarwieniu erotycznym”. Kolejny obraz zasłużył zaledwie na wzmiankę o „kilkukrotnym użyciu obscenicznego języka”.

Dokonuję ostatecznego wyboru. „Film zawiera śmiałe sceny erotyczne”. Branie narkotyków. Naprawdę podły język. Ten film ma to wszystko! Zabieram go więc do domu.

Późnym wieczorem, chichocząc z podekscytowania, zabieramy się do oglądania. Jokasta łasi się do mnie, muskając leniwie palcami moją klatkę piersiową.

- Na jakiej podstawie stwierdziłeś, że to będzie film pornograficzny? - pyta Jokasta dziewięćdziesiąt minut później, gdy po ekranie przesuwają się napisy końcowe.

Kładę się do łóżka z poczuciem doznanej porażki. Jestem rozczarowany koreańskojęzycznym radiem nadającym z dziury zabitej dechami. Mam po dziurki w nosie Hollywoodu. Rozgoryczeń serwowanych przez fińską kinematografię na zmianę z Australijską Radą do spraw Kontroli Mediów. W tym świetle *Przeminęło z wiatrami* wcale nie wydaje się takie złe.

- Chyba zbyt pochopnie oceniłam ten film - stwierdza Jokasta. - Może by tak wypożyczyć go następnym razem?

## Sklepani

- Załatwimy wszystko raz-dwa, za jednym zamachem - mówi Jokasta, gdy podjeżdżamy do lokalnego Megacentrum Handlowego, a chłopcy walczą ze sobą o przywilej trzymania listy zakupów. Jest sobotni poranek, a my akurat wyruszyliśmy na wyprawę, śladem wielu innych osób. Na przykład Dantego.

**9.00:** Jesteśmy w Ikei, a Kosmiczny Kadet zdążył zawisnąć na stojaku na kapelusze o dźwięcznej nazwie Klug. Wszystkie otaczające nas przedmioty upierają się, by nazywać je po szwedzku. Kanapa nazywa się Toj, biurko -Brok, a lampa to Błag, co przywodzi mi na myśl imiona członków ABBY. Marzę wyłącznie o tym, by posadzić tyłek w Bjorn, a stopy oprzeć o składaną Fridę.

**9.20:** Potrzebujemy lampy do salonu i rozważamy zakup jednego z pięciu modeli: Tovik, Skimpa, Bodge, Błag oraz Barf. To już nie są odgłosy



wicia przytulnego gniazdka, tylko dźwięki wydawane przez osobę z problemami natury gastrycznej. Gdy wreszcie Jokasta decyduje się na zakup ostatniego modelu, okazuje się, że w sklepie nie został ani jeden Barf.

**9.30:** Wyganiem Kosmicznego Kadeta z namiotu o nazwie Pog, a potem już obu chłopców ze sklepu. Podczas jazdy samochodem Jokasta i ja dyskutujemy o tym, jak nazwy większości uznawanych w naszym społeczeństwie cnót zostały zamienione w nazwy produktów. Smarujemy chleb margaryną *Praise*\*<sup>1</sup>, myjemy się mydłem *Kindness*\*<sup>2</sup> i odważnie podkreślamy usta szminką *Courage*\*<sup>3</sup>. I wreszcie, za przykładem Nelsona Mandeli, przyszło nam kroczyć drogą ku Wolności.

**9.40:** Niepewnym krokiem wchodzimy do sklepu meblowego Wolność Wyboru. Mimo braku jakichkolwiek oficjalnych powiązań ze Szwecją nazwy mebli to w dalszym ciągu coś w rodzaju Terge i Flurg. Czyżbyśmy się wstydzieli bardziej swojsko brzmiących nazw? Czemu kanapa nie może się nazywać po prostu Bartek, stojak na parasole Tadzik, a żaden puf nigdy nie nazywa się Antek? Przechodzimy do sekcji z oświetleniem. Niestety, mimo że wizja Wolności jest w stanie rozjaśnić niejedno oblicze (zwłaszcza w obliczu trwającej wyprzedaży), z całą pewnością nie potrafi w gustowny sposób oświetlić naszego salonu.

**9.50:** Pojawiły się pierwsze oznaki depresji. Odwiedziliśmy kolejno: Świat Światła Suzie, Pana Lampkę oraz Świet(l)ny Sklep. Wszystkie urządzone w zbliżonym, powściągliwym stylu, przywodzącym na myśl czasy Elvise Presleya i Las Vegas około 1969 roku.

**10.10:** „Dajemy sobie spokój z lampą” - burknęła Jokasta, możemy więc przejść do punktu drugiego naszej listy, czyli prezentów urodzinowych dla dwójki kolegów z klasy Kosmicznego Kadeta.

---

<sup>1</sup> \* *Praise* - ang. czcić, wychwalać (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

<sup>2</sup> \* *Kindness* - ang. dobroć.

<sup>3</sup> \* *Courage* - ang. odwaga. Wszystkie powyższe określenia są nazwami produktów dostępnych w Australii.

**10.30:** Zaglądamy do Zabawek dla Ciebie, Pana Zabawnego i Badzielandu. Nieprzebrane ilości pogiętego plastiku zostały upchane w kolorowe, jaskrawe opakowania i starannie ometkowane, żeby można było określić, dla kogo są przeznaczone. Cena każdego, nawet najmniejszego artykułu we wszystkich tych sklepach zdaje się wynosić 29,95 dolara. Oczywiście poza artykułami kosztującymi 149,95. Kupiliśmy dwa kilogramy niebieskiego i dwa i pół kilograma różowego byle czego. Załadowaliśmy do samochodu.

**10.40:** Numer trzy na naszej liście to szafka dla Kosmicznego Kadeta. Rzecz jasna, skierowaliśmy się do Świata Taniocy i Tandety („sklepu, w którym spłata rat trwa za w s z e dłużej niż samo korzystanie z produktu”). Wszyscy klienci dobrani są według klucza: podobny wiek, dwójka dzieci, zero kasy. Wszyscy mamy też nadzieję, że do czasu, gdy zakupiona przez nas rzecz się rozpadnie, będziemy już mogli pozwolić sobie na lepszy sprzęt - choć rzut oka na asortyment i klientelę wystarczy, żeby ocenić, jak marne są na to szanse. Kupujemy trzydzieści pięć kilo zapakowanej w płaskie pudła płyty wiórowej, miejscami muśniętej klejem, by swoim kształtem mogła przypominać szuflady.

**11.29:** Opuszczamy Świat Taniocy i Tandety („gdzie możecie bezpiecznie oprzeć się na naszym doświadczeniu, ale nie o szafki”) i pozwalamy się wchłonąć tłumowi. Ulicą płynie rzeka rodziców i ich wygłodniałych dzieci, wprost do Świata Pana Hamburgera. Cumujemy przy ladzie i składamy zamówienia. Dziwnym trafem przychodzi mi na myśl Świat Taniocy i Tandety oraz Zabawimy się Twoim Kosztem. Jedzenie wydaje się już przeżute, wymiętoszone i skrupulatnie podzielone na równiutkie porcje. Jest miękkie i łatwe do połknięcia, zupełnie jakby ktoś przed nami już to zrobił. Ta myśl pociąga za sobą pewne skutki, które na szczęście udaje mi się opanować.

**12.00:** Dzieciaki na dobre pograżyły się w depresji, podobnie jak my. Batboyowi udaje się w jakiś niezbadany sposób namówić nas na wizytę w Strefie Straconego Czasu, czyli w pasażu z automatami do gier. Wygląda na to, że wydanie dwudziestu dolarów znacznie zwiększa nasze szanse na kawałek plastikowego byle czego. Batboy i ja korzystamy z maszyny narciarskiej, która na swój sposób jest naprawdę niesamowita. Zaopatrzono ją w ekran wideo, parę nart i gustowne dyby. Za dwa dolary daje całkiem porządną namiastkę jazdy na nartach.

Podobnie jak meble Kosmicznego Kadeta są prawie jak prawdziwe meble.

A plastikowe byle co przypomina prawdziwe zabawki.

A hamburger to już niemal prawdziwe jedzenie.

A światła sprawiają wrażenie czegoś naprawdę atrakcyjnego.

Co z kolei przypomina mi Dantego. Tak jak on jesteśmy gotowi na powrót do domu, mijając po drodze wszystkie dziewięć kręgów naszego współczesnego świata.

## **Jak mysz pod kanapą**

Kosmiczny Kadet chciałby mieć zwierzątko. Jego prośba o potężnego psa spotyka się ze zdecydowanym protestem. Kosmiczny Kadet zmienia więc zdanie i decyduje się na kota, lecz i tak odchodzi z kwitkiem.

- A co powiesz na świnę morską? - pyta nieśmiało tydzień później, rozmieniając swoje marzenia na coraz drobniejsze monety. Jego podły ojciec wciąż pozostaje niewzruszony. Kosmiczny Kadet odwraca się na pięcie z ustami wygiętymi w podkówkę i wlecze się z powrotem do swojego pokoju.

Jeżeli utrzyma to tempo, w ciągu najbliższego miesiąca poprosi mnie o pchłę, a ja i tak odmówię. Żeby tego uniknąć, mamroczę w kierunku jego oddalających się pleców:

- To może mysz?

Kosmiczny Kadet wita mój pomysł z entuzjazmem graniczącym z historią.

- Mysz będzie po prostu fanta st y c z n a - mówi. -Zawsze marzyłem o myszy. Zawsze.

Tłumaczę mu, że nie zgadzam się na mysz tak od razu. Najpierw on musi mi udowodnić, że n a p r a w d ę mu na niej zależy. Z miejsca wpadam na pomysł godny rodzica idealnego: dostanie mysz, jeśli będzie pamiętał o powtarzaniu prośby co tydzień przez, dajmy na to, trzy tygodnie.

Okazuje się, że Kosmiczny Kadet nie jest mistrzem w posługiwaniu się kalendarzem. Tak bardzo przeraża go myśl o przegapieniu terminu, że postanawia sięgnąć po dodatkowe środki ostrożności i pyta mnie o mysz co pięć minut, codziennie, przez bitych dziesięć dni.

W końcu się poddaję. Jedziemy do sklepu, a Kosmiczny Kadet aż drży z podniecenia na tylnym siedzeniu. To będzie jego pierwsze zwierzątko.

- Pamiętasz, na którym piętrze centrum handlowego jest sklep zoologiczny? - pyta Jokasta, na co Kosmiczny Kadet odpowiada bez zająknięcia:

- Na parterze.

Pytamy go, skąd o tym wie, na co odpowiada nam, chichocząc:

- Otworzyli go na parterze, bo dzieciakom naprawdę zależy na zwierzątkach. A kiedy sklep jest na samym dole, mogą je sobie kupić n a p r a w d ę szybko.

Docieramy na miejsce i wchodzimy do sklepu zoologicznego, który znajduje się, rzecz jasna, na parterze, dzięki czemu będziemy mogli rozstać się z pieniędzmi n a p r a w d ę szybko.

Kosmiczny Kadet wybiera mysz i klatkę dla niej. Mysz kosztuje 2 dolary. Klatka - w cenie promocyjnej - 49,95. Jest plastikowa, w jaskrawym kolorze, wyposażona w wieżyczkę obserwacyjną, po której mysz może się wspinać.

Po powrocie do domu Kosmiczny Kadet ogłasza, że zwierzątko nazywa się Puszek, i całą rodziną zasiadamy przy kuchennym stole, by poobserwować mysz biegającą w kołowrotku.

- Puszek jest bardzo szybki - stwierdza Kosmiczny Kadet i żadne z nas nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Kupując tego właśnie gryzonia, dokonaliśmy transakcji życia, wchodząc w posiadanie najszybszej i najbardziej atletycznie zbudowanej myszy w dziejach gatunku. Wszystkich nas rozpiera duma.

Z sąsiedzką wizytą wpada do nas Steve. Z coraz bardziej zasepioną miłą przygląda się Puszce wykonującemu kolejne okrążenia w swoim kołowrotku.

- Co za metafora - stwierdza posepnie, po czym wraca do ogrodu z tyłu domu, żeby móc pogapić się w pustą przestrzeń.

Jego partnerce Helen mysz wcale się nie podoba. Oświadcza za to, że mysi domek, z jarzącą się plastikową wieżyczką i tarasikiem widokowym stanowiłby doskonałą makietę budynku do wzniesienia przez radę miejską. Czy w związku z powyższym nie mamy nic przeciwko temu, żeby zrobiła kilka niezbędnych pomiarów?

Ulubioną zabawą Kosmicznego Kadeta jest wyciąganie Puszcza z klatki i trzymanie go za ogon - tak jak zademonstrowała sprzedawczyni w sklepie - by mógł biegać po ramieniu mojego syna. I za każdym razem mu się to udaje. Każdym z trzech razów. Za czwartym już nie.

Puszek ucieka. Cieszyliśmy się jego obecnością dokładnie cztery godziny, a teraz jesteśmy właścicielami całkowicie nam zbędnej plastikowej klatki dla gryzoni, z tarasikiem widokowym i jaskrawą wieżyczką.

Batboy pyta, czy skoro mysz warta dwa dolary żyje dwa lata, możemy następnym razem kupić taką za cztery, żeby pożyła dwa razy dłużej.

Kosmiczny Kadet wygląda na przygnębionego.

- Nie wiemy nawet, kiedy obchodził urodziny - mówi, jak gdyby ten fakt czynił naszą stratę bardziej bolesną.

Jokasta jest jeszcze bardziej przybita.

- Zdążyłam się już przywiązać do Puszcza - stwierdza z żalem.

I wówczas kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Puszek jest pod kanapą. Ostatnim razem kiedy zobaczyłem gryzonia w naszym domu, zawładnęła mną żądza mordy. Tym razem było zupełnie inaczej. Z czterech desek udaje nam się skonstruować rodzaj zasieków wokół kanapy, a teraz zastanawiamy się, jak podnieść mebel.

Ściągam kolejnych pomocników i wkrótce dysponujemy grupą pięciu dorosłych spierających się o najlepszy sposób obławy.

- Tylko nie róbcie mu krzywdy - prosi Kosmiczny Kadet.

- Aha - obiecuje Steve, któremu udało się już wrócić z ogrodu. - Myślę, że powinniśmy zacząć od obezwładnienia go gazem pieprzowym.

W końcu udaje nam się dźwignąć kanapę, pokonać wszystkie przeszkody i zwrócić mysz jej prawowitemu właścicielowi. Puszek wydaje się tak tym uszczęśliwiony, że raz po raz wspina się po ramieniu Kosmicznego Kadeta. Mój syn zdobywa się na mocniejszy mimo wszystko uścisk.

Po powrocie do kołowrotka Puszek bije własny rekord szybkości, co Jokasta komentuje z westchnieniem zachwytu:

- Cóż to za mysz. Absolutnie wyjątkowa.

## **Matka zamordowała mój piekarnik**

Okazało się, że wszystkie potyczki młodości mam już za sobą. Po czterdziestu latach przegranych przeze mnie sprzeczek moja matka ostatecznie udowodniła mi, które z nas naprawdę jest górą. Przyjechała z wizytą do Sydney i zaczyściła mój piekarnik na śmierć. Rozłożyła go na łopatki przy użyciu ni mniej, ni więcej tylko butelki płynu do czyszczenia i wrodzonej nadgorliwości w zwalczaniu zarazków.

Rzecz jasna absolutnie wszystkie matki są zdania, że ich dzieci mieszkają w plugawych norach. Lecz tylko mojej matce udało się pozbawić życia sprzęt kuchenny własnego syna: spsikała piekarnik takimi ilościami środka czyszczącego, że nasz dom po dziś dzień pogrąża się w ciemności za każdym razem, gdy próbujemy coś upiec.

Oczywiście byliśmy uprzedzeni o jej wizycie.

- Moja matka przyjeżdża - przekazałem Jokaście wiadomość tydzień wcześniej, obserwując jej rozbiegane ze strachu oczy poszukujące najbliższej ekstrachłonnej ściereczki kuchennej.



Moja matka przybywa zazwyczaj uzbrojona w parę białych bawełnianych rękawiczek, mających ją uchronić przed zarazkami wielkiego miasta, w szczególności tymi, które czyhają na nią w naszym domu. Czy zatem to ona ma problem z czystością, czy my? Czy to ona ma obsesję na punkcie sprzątania, graniczącą z obłędem wymagającym interwencji medycznej? Czy to raczej my żyjemy niczym zwierzęta, nurzając się w brudzie? Pytanie pozostawiam bez odpowiedzi, świadomy, jak różne są nasze standardy czystości.

W naszym poprzednim domu Jokasta w końcu pękła, oskarżając moją matkę o to, że cierpi ona na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, i zaleciła jej zainwestowanie w dobrą pomoc psychiatryczną. Moja matka na to, że czuje się świetnie, lecz skoro już o dobrych radach mowa, to Jokasta powinna zainwestować raczej w nową ściereczkę kuchenną.

Która z pań zwyciężyła tę spektakularną wojnę na porady? Niestety, hałas wydawany przez Jokastę, jednocześnie odkurzającą przedpokój i ścierającą wolną ręką kurze z książek, rozprasza mnie na tyle, że nie jestem w stanie podać odpowiedzi.

Jokasta wydaje nam rozkazy. Jej zdaniem powinienem dokończyć sprzątanie łazienki, a potem zabrać się do mycia piekarnika, doprowadzając go do takiego stanu, by nie prowokował mojej matki do chwycenia od progu płynu czyszczącego.

- Wcale nie atakuję twojej rodziny - mówi Jokasta. - Stwierdzam jedynie, że kiedy z wizytą przyjeżdża twój ojciec, musimy chować alkohol, a kiedy twoja matka - to samo robimy ze środkami czyszczącymi.

Sprzątamy już drugi dzień i w tym właśnie momencie przyjeżdża moja matka. Pomimo naszych zbiorowych wysiłków musi wziąć głęboki oddech, gdy tylko jej wzrok wędruje w kierunku kuchni.

- Wszystko wygląda wspaniale, kochani - mówi, naciągając swoje białe rękawiczki odrobinę głębiej. Kręci się po domu, używając tego fałszywie radosnego tonu, zarezerwowanego dla matek obserwujących życiowe wybory swoich synów.

Problem mojej matki istnieje już od jakiegoś czasu.

Kiedy miałem osiem lat, moja kariera w zuchach została drastycznie zakończona po tym, jak zadzwoniłem z obozu w dzikiej głuszy i nieopatrznie wspomniałem, że nie mam tam możliwości umycia rąk po skorzystaniu z toalety.

- Nie ruszaj się, zaraz tam będę - oznajmiła, po czym sprintem pobiegła do samochodu, w którym spędziła pięć godzin, by móc zaparkować nieopodal naszego kempingu, wzbijając przy tym tumany kurzu.

- Dlaczego wracasz do Sydney? - krzyczeli za mną chłopcy, kiedy wskakiwałem do samochodu.

- Żeby umyć ręce - odkrzyknąłem.

Teraz, po tylu latach, przyszła pora, by Kosmiczny Kadet i Batboy odebrali jej nauki. Okazało się, że to w Batboyu drzemie więcej z rekruta.

- Wiesz, tato - upomina mnie, że szczoteczką do mycia zębów w dłoni i buzią wypełnioną pianą niczym u psa chorego na wściekliznę - powinieneś je czyścić co najmniej pięć minut, żeby stały się n a p r a w d ę czyste.

Z Kosmicznym Kadetem sprawy mają się zupełnie inaczej.

Jokasta i ja wychodzimy wcześniej do pracy, w związku z czym Kobieta w Rękawiczkach przejmuje obowiązek przygotowania mu śniadania. Nie idzie jej jednak najlepiej.

Kosmiczny Kadet kategorycznie odmawia zjedzenia swojego tost, więc moja matka postanawia zastosować wobec niego jedną ze sw<sup>o</sup>ich genialnych technik rodzicielskich. Tych, które uczyniły ze mnie tak zrównoważoną i stabilną emocjonalnie osobę.

Wchodzi do pokoju, staje naprzeciw Kosmicznego Kadeta i udaje, że płacze.

- Jeśli nie zjesz swojego tost - zaczyna, pociągając nosem - to twój tatuś się na mnie pogniewa. A ja będę wtedy płakać i płakać.

Po kilku minutach wraca do pokoju i widzi pusty talerz.

- Zuch chłopak! Ale pięknie wszystko zjadłeś!



- Wcale nie - odpowiada Kosmiczny Kadet, z błyskiem w swoim siedmioletnim oku. - Chcę, żeby tatuś się na ciebie pogniewał, więc schowałem swojego tosta.

Kobieta w Rękawiczkach prosi i błaga. Kosmiczny Kadet pozostaje nieugięty.

Przez kilka ostatnich dni wizyty prześladuje ją myśl, że on gdzieś tam jest: w ciemnym zakamarku, poza zasięgiem wzroku, zaginiony tost, w początkowym stadium rozkładu, wystrzeliwujący w powietrze armię zarzków. Taka świadomość to prawdziwa tortura dla zarzkofoba.

Organizujemy ekipy poszukiwawcze, Kosmiczny Kadet natomiast siedzi cicho i napawa się własnym triumfem. Batboy czołga się po pokoju, zaglądając pod krzesła, podczas gdy moja matka wygląda na rozkojarzoną i nerwowo skubie brzegi rękawiczek.

Daje więc upust swoim emocjom, wyżywając się na naszej kuchence i doprowadzając ją do stanu elektrycznej nieprzytomności. Niezależnie od kosztu jej naprawy uważam, że było warto.

W dzień po wyjeździe mojej matki Kosmiczny Kadet leniwie wkłada rękę za tylne kółko od kanapy i wyciąga kawałek tostu. Z powściągliwym uśmiechem na ustach wyrzuca go do kosza.

Sięgając pamięcią do czasów dzieciństwa, stwierdzam, że nigdy nie byłem godnym przeciwnikiem własnej matki. Jednak udało mi się przynajmniej kogoś takiego wychować.

## **My, Australijczycy**

Każdy przewodnik po Australii zawiera obszerną część dotyczącą naszego slangu i wyjaśniającą słówka, takie jak brach, opalacz czy prawda jak bum-cyk-cyk. W rzeczywistości jednak rzeczy najbardziej wyjątkowe, stanowiące podwaliny naszej kultury i plemiennych wierzeń pozostają w dalszym ciągu nieudokumentowane.

Jeśli ktoś ma ochotę przeniknąć do naszej kultury, jest kilka rzeczy, o których powinien wiedzieć:

1) Rozmiar kapelusza jest odwrotnie proporcjonalny do rozmiaru posiadanej farmy.

2) Im krótsze czyjeś przezwisko, tym silniejsza sympatia do tej osoby.

3) Jeśli powiedzenie nie zawiera jednego z następujących słów: jaszczurka, pastwisko, szczur, z całą pewnością nie jest rdzennie australijskie.

4) Błyszczące sportowe auto prowadzone przez mężczyznę w średnim wieku nie wzbudza - jak u Amerykanów - zazdrości, lecz śmiech.

5) Jeśli po twoim tyłku nie wspina się ani jeden dorodny okaz mrówki drapieży, to znaczy, że wcale nie jesteś na pikniku.

6) Zwracanie się do swojego najlepszego przyjaciela *per* „cholerny skurczybyku” jest w porządku, o ile pamiętasz, by o najgorszym wrogu powiedzieć: „ma w sobie coś ze skurczybyka”.

7) Każde wydarzenie, poczynając od otwarcia obrad parlamentu, a na jakimkolwiek wydarzeniu kulturalnym kończąc, można uświetnić zaserwowaniem kielbasek z grilla.

8) Wszyscy bankierzy mają w sobie coś ze skurczybyka.

9) Każdy hamburger musi zawierać buraki.

10) Lepiej mieć w życiu pod górkę, niż skręcić sobie kark, spadając.

11) Stwierdzenie: „uwielbiamy nasz styl życia” oznacza, że wszyscy w rodzinie nadużywają alkoholu.

12) Jeśli facet obok ciebie klnie jak szewc, prawdopodobnie jest miliarderem. No, chyba że jednak szewcem.

13) Nie istnieje na świecie potrawa, której smaku nie można by uszlachetnić przez dodanie sosu pomidorowego.

14) Doskonałym przezwiskiem dla osoby rudej jest „Czarny”, podobnie jak do osoby niskiej najlepiej pasuje „Byku”.

**15)**Będąc na plaży, przeciętny Australijczyk chowa swoje klucze wraz z portfelem do kąpielówek. Żadnemu z kieszonkowców nie udało się jak do tej pory poradzić sobie z tym. Być może mamy naprawdę nierozgarniętych złodziei. Albo problem z higieną.

**16)**Australijskie wzornictwo przemysłowe nie zna przedmiotu bardziej użytecznego niż skrzynka na mleko

**17)**Wszyscy nasi superbohaterowie to łamagi.

**18)**Samcem alfa w grupie Australijczyków jest ten, który przejmie szczyptę do barbecue z rąk gospodarza i beztrudnie zacznie przekładać kiełbaski na ruszcie.

**19)**O lecie można mówić dopiero wtedy, gdy kierownica staje się zbyt gorąca, by uchwycić ją gołą dłonią.

**20)**Piwo powinno się podawać w temperaturze wywołującej u pijącego ból uszu.

**21)**Para stringów to nie nazwa skąpej części stroju kąpielowego jak w Ameryce, lecz nazwa porządnego obuwia plażowego. Widok grupy dziewczyn ubranych w czarne gumowe stringi może nie być aż tak podniecający, jak na to liczyliście.

**22)**Nic na świecie nie pachnie lepiej od rozgniecionego w dłoni liścia eukaliptusa.

**23)**Kapusiom mówimy zdecydowane „nie”.

**24)**Według historyków rozpowszechnione użycie słowa „brat” należy tłumaczyć trudnymi warunkami życia na terenie Australii w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku i wytworzeniem systemu wzajemnej pomocy, tak zwanego braterstwa. Równie prawdopodobna jest jednak teza o naszej fatalnej pamięci do imion.

**25)**Człowiek światły wybiera partnera, opierając się na guście nie tylko własnym, ale również miejscowych komarów.

**26)**Coś, czego nie można naprawić z użyciem pończochy i kawałka drutu, nie jest warte naprawiania.

**27)**Wszystkie domowe przyjęcia, nie wyłączając tych naprawdę dużych i starannie przygotowywanych, powinno się urządzać w tłocznej i gwarnej kuchni.

**28)**Rodziną najbardziej lubianą i chwaloną przez sąsiadów na każdej australijskiej ulicy jest ta, która ma basen.

**29)**Połknięcie muchy, jakkolwiek obrzydliwe, powinno zostać skomentowane po męsku: „Mmm, białko”.

**30)**Wynaleźliśmy na tym świecie wszystko, co było warte wynalezienia, lecz później sprzedaliśmy patent Jankesom.

**31)**Tost posmarowany czarną, słonawą mazią, wyglądem przypominającą smołę, uważany jest przez nas za doskonały początek dnia.

**32)**Każdy rdzenny Australijczyk potrafi przytoczyć wyssaną z palca historię o tym, jak przewidzieć deszcz, obserwując mrówki lub na podstawie śmiechu zimorodka, a każda kolejna teoria będzie absolutnym przeciwieństwem poprzedniej.

**33)**Gdy ktoś zaprosi cię na przyjęcie, powinieneś wziąć ze sobą tanie czerwone wino, ale spędzić wieczór na popijaniu piwa gospodarza. Nie martw się, nie będzie zaskoczony.

**34)**Określenie „zwykły piknik” nie jest nam znane. A przynajmniej nie jest praktykowane. Powinieneś zabrać ze sobą w s z y s t k o . Jeśli nie jesteś zmuszony do zrobienia trzech rundek do samochodu po kolejne rzeczy, to znaczy, że się nie postarałeś.

**35)**Jeśli w promieniu stu kilometrów odbywa się darmowa impreza czy inne wydarzenie, a ciebie tam nie ma, to znaczy, że jesteś frajerem.

**36)**Dziecko, zakopując swego ojca w piasku, zawsze obdaruje go biustem większym niż biust matki.

**37)**Każde nazwisko, marka i nazwa części zamiennej do samochodu powinny być skracane aż do miejsca, w którym nie będzie można zrozumieć, o czym mowa, na przykład: „Gdybym nie pchnął dyfra, tobym musiał zabrać Blacky'ego do mecha”.

**38)**W życiu każdego mieszkańca Australii przychodzi moment uzmysłowienia sobie, że środek owadobójczy marki Aeroguard jest o wiele, wiele gorszy od samych much.

**39)**Australijski charakter oznacza: zalanie się łzami podczas pierwszego wersu hymnu narodowego przy całkowitej nieznajomości kolejnych linijek.

**40)**I wreszcie, nie dajcie się nabrać żadnemu przewodnikowi. Nikt tutaj nie mówi „brachu”.

Wszystko jasne? No widzisz!

## **Burza w wiadrze wody**

Nieodłącznym elementem nauki w latach siedemdziesiątych była sekcja zwłok szczura przy każdej nadarzającej się okazji. Jeśli zamiarem nauczyciela było omówienie parowania wody w systemie rzeczonym, zρέcznie wplatał w ten temat sekcję gryzonia. Zapytaj go o masę atomową magnezu, a w odpowiedzi usłyszysz: „Podaj mi szczura”.

W mojej klasie sprawy miały się jeszcze gorzej, ponieważ mój nauczyciel uczestniczył w długoterminowym projekcie badawczym sprawdzającym, ile razy będzie w stanie doprowadzić mnie do omdlenia lub wymiotów. Za pomocą sekcji zwłok szczura, rzecz jasna.

Tak naprawdę zemdlałem tylko raz, lecz był to przypadek na tyle spektakularny i żenujący, że trudno dziwić się nauczycielowi, iż miał ochotę zobaczyć go raz jeszcze. (Było to w czasach przed wynalezieniem internetu, kiedy to nauczyciele sami musieli zadbać o rozrywkę własną i swoich uczniów).

Okazja przytrafiła się podczas wykładu na temat groźnych skutków zażywania heroiny, gdy nauczyciel w sposób zupełnie naturalny postanowił dokonać sekcji zwłok szczura. Miało to, stwierdził, pokazać nam, jak intrygujące jest ludzkie ciało. Osobiście wolałbym uzyskać podobny rezultat przez kontemplację Madame Chabrol podczas lekcji francuskiego.

Lecz zdaniem nauczyciela to musiał być szczur. Przypiął więc zwierzę do tablicy i był w trakcie prezentowania niezwykłości małych płucek, gdy poprosiłem go o zgodę na „wyjście do łazienki”. Po jej uzyskaniu podążyłem mężnie w kierunku drzwi, chwiejąc się nieznacznie na wysokości nauczycielskiego biurka, po czym śmiertelnie zbladłem i runąłem twarzą na podłogę.

Jak długo byłem nieprzytomny? Świadkowie w liczbie trzydziestu dwóch nie są co do tego zgodni, być może dlatego, że musieli skupić się na tym, by nie posikać się ze śmiechu. Jedyne, co do czego mam pewność, to to, że nie cierpię jakichkolwiek wzmianek na temat gryzoni.

Gatunek, który przypuścił szturm na naszą kuchnię w zeszłym tygodniu, to raczej mysz, nie szczur. To, co odczuwam na widok myszy, niewiele się jednak różni od tamtego pamiętnego upokorzenia. Kosmiczny Kadet natomiast domaga się absolutnej pewności, że jest to gatunek zupełnie inny niż ten reprezentowany przez Puszkę, jego domową mysz baraszkującą na tarasiku widokowym i nieświadomą całego zamieszania.

Przez ponad tydzień ustawiłem około dwudziestu pułapek, spośród których dwanaście nie zadziało wcale (w związku z czym myszy traktują je jak fantazyjną tacę, na której serwujemy im serową specjalność dnia), siedem zatrzasnęło się na czubkach moich palców, a w jedną -bez wątplenia na skutek czystego przypadku - naprawdę schwytaliśmy mysz.

I wtedy właśnie pojawił się z wizytą Locky.

Locky to nasz kumpel buszmen, właściciel farmy ryżu, noszący prawdziwe buszmeńskie buty i kapelusz, który umie zbudować silnik do traktora, dysponując zaledwie kłębkami sznurka i parą starych skarpet. Tak naprawdę jedyną rzeczą, której nie można po nim oczekiwać, jest omdlenie podczas lekcji biologii.

- Co byś zrobił na naszym miejscu z tą plagą myszy? -pyta Jokasta, uśmiechając się na myśl, że oto w jej domu pojawił się wreszcie właściwy facet na właściwym miejscu.

- Właśnie, co byś zrobił, Locky? - naciska Batboy, wpatrując się z podziwem w kapelusz Locky'ego.



Tu dochodzimy do trzygodzinnej opowieści o tym, jak Locky własnoręcznie pokonywał coraz liczniejsze zastępy myszy, aż do chwili gdy ich banda dźwignęła jego stodołę na barki i zataszczyła ją do miejscowości Deniliąuin, skąd Locky musiał ją przywlec z powrotem. Jokasta, Batboy i Kosmiczny Kadet zdają się spijać każde słowo z jego ust, zaciskając wokół Locky'ego coraz ciaśniejszy krąg adoracji i domagając się szczegółów technicznych pułapki, dzięki której ostatecznie pokonał myszy.

- Ach - wzdycha Locky - to była typowa buszmeńska pułapka.

I tutaj Locky przystąpił do opisu, a Batboy - do budowy pułapki.

Szczerze mówiąc, zrobiło mi się żal Locky'ego, że wpadł na taki głupi, dziecinny pomysł. Pułapka składała się bowiem z umieszczonej na półce pustej butelki po piwie z szyjką wystającą poza krawędź półki i kawałkiem sera w środku. Poniżej postawiliśmy wiadro z wodą. Jak do każdego wynalazku Locky'ego użyliśmy również starej skarpetki, naciągając ją na szerszą część butelki. Szyjkę dodatkowo nasmarowaliśmy tłuszczem. Zdaniem Locky'ego mysz miała wspiąć się na butelkę - akurat! - i pójść w kierunku ukrytego w środku sera, korzystając z wygodnej trasy zapewnionej przez skarpetkę. Następnie gryzoń powinien poślizgnąć się na maśle, spaść i wreszcie utopić się w wiadrze z wodą.

Podsumowując, stanęliśmy oko w oko z infantylnym pomysłem buszmena żyjącego we własnym świecie. Podczas obiadu poradziłem nawet Locky'emu, żeby zaczął spędzać nieco więcej czasu w mieście i rozszerzył w ten sposób swoje horyzonty, co umożliwi mu złapanie lepszego kontaktu z rzeczywistością. ..I w tym właśnie momencie usłyszeliśmy pierwszy plusk.

Była to tonąca mysz. Pierwsza z ośmiu złapanych w pułapkę Locky'ego.

Jedyny problem polega na tym, że od wyjazdu Locky'ego to ja przejąłem zadanie wyławiania martwych ciałek z wody, mieniąc się jednocześnie wszystkimi znanymi mi odcieniami błękitu, zieleni i żółci. I to w taki sposób, żeby Puszek niczego nie widział.

Czy zdarzyło mi się zemdleć? Zdziwiająca, ale nie. Czyżby pułapka Locky'ego uczyniła ze mnie prawdziwego mężczyznę?

## **Jajka z ograniczoną spożywalnością**

W czasach gdy miałem szesnaście lat i mieszkałem sam z ojcem, kulinarne standardy nie były wysokie. Na śniadanie wlewaliśmy po dwa surowe jajka do szklanek wypełnionych mlekiem i mieszaliśmy to wszystko widelcem (ze względu na młody wiek mogłem do swojej szklanki dodać łyżkę rozpuszczalnego kakao). Na obiad jadaliśmy kotlety jagnięce przyrządzone w piekarniku i podawane z tłuczonymi ziemniakami oraz mrożonym groszkiem.

Tak wyglądało nasze poniedziałkowe menu. To samo jedliśmy we wtorek. I w środę. A także w czwartek. Oraz w piątek. Nie do końca pamiętam, co jadaliśmy w weekendy, ale mam niejasne przeczucie, że coś w rodzaju kotletów, ziemniaków i groszku. Przypominam sobie również, że uważałem ten zestaw za coś pysznego.

Jamie Oliver, znany również jako Naked Chef, wspiął się na szczyty bestsellerów, promując proste przepisy kulinarne. Jednak nie umywa się on do mojego ojca. Ani żadnego z tysiąca mieszkających na przedmieściach kucharzy. Ci to dopiero gotują według prostych przepisów. Być może nadszedł czas, by poświęcić im nieco uwagi.

## **Kotlety jagnięce Teda z ziemniakami**

Kup dziesięć kilogramów kotletów jagnięcych i umieść je w zamrażalniku. Każdego dnia przed wyjściem do pracy wyjmij sześć z nich i rozmroź. Umieść je na dolnej półce w piekarniku i pilnuj, by się nie przypaliły. Podawaj z ziemniakami, groszkiem i sosem pomidorowym. Pyszne! (Wskazówka: jeśli zaprosiłeś na obiad wyjątkowych gości, przekrój pomidora na pół i umieść go w piekarniku wraz z mięsem).



## **Smakolyk głęboko ukryty**

Jamie Oliver uwielbia korzystać z bliskich sobie składników. My również. W szczególności tych leżących blisko siebie w szafce kuchennej.

Krok 1: Przeszukaj dokładnie szafki w kuchni, wyciągając z nich wszystkie puszkowane produkty. Otwórz je.

Krok 2: Sprawdź, czy przynajmniej dwa z nich to zupa. Jeśli nie, dolej wody.

Krok 3: Tak przygotowaną miksturą polej tłuczone ziemniaki i gotuj, aż danie będzie gorące lub dopóki ktoś nie wybawi cię z opresji zaproszeniem na obiad.

## **Jajka z ograniczoną spożywalnością**

Jamie Oliver radzi korzystać wyłącznie ze świeżych produktów, zdobywanych podczas codziennych wizyt w sklepie. My skłaniamy się do poszukiwań składników według odwrotnego klucza: szukajmy raczej we własnych lodówkach pośród produktów z jak najkrótszym terminem przydatności do spożycia. Jajka-z-ograniczoną-spożywalnością, na-wpól-świeże-mięso-mielone czy lazania-zjedz-mnie-wreszcie wymagają od rodziny wspólnego poświęcenia. Przejdziemy przez to razem. I miejmy nadzieję, że również razem z tego wyjdziemy.

## **Dwukrotnie upuszczona kielbaska**

Jamie proponuje dwukrotnie gotowanego kurczaka, lecz jest to coś znacznie trudniejszego niż przyrządzenie dwukrotnie upuszczonej kiełbaski. Zgodnie z przepisem kiełbaska powinna zostać najpierw zrzucona z rusztu na grill, żeby smakowicie okryć się warstewką popiołu, a później - tuż przed podaniem gościom - upuszczona na podłogę w kuchni, by mogła przejść subtelnym aromatem kuchni azjatyckiej, której danie zostało oczywiście dwukrotnie upuszczone podczas wczorajszej kolacji. Jest to przepis tak genialny w swej prostocie, że nie będziesz miał ochoty nikomu go zdradzić.

### **Powtórne wejście z woka**

Doznanie kulinarne zapewniające każdemu podróż w najdalsze zakątki Chin z użyciem widelca. Po prostu wrzuć wszystkie resztki z poprzedniego wieczoru do jednego naczynia i starannie wymieszaj, by wydobyć pełen bukiet smaków wieprzowiny na słodko-kwaśno dodanej do zupy z krewetek. (Wielbiciele kuchni *fusion* nie zawahają się dołączyć do tej potrawy kawałka pizzy ze środy). Krok 1: Gotuj szybko. Krok 2: Postaraj się zjeść jeszcze szybciej. Krok 3: Jak najszybciej postaraj się o tym zapomnieć.

### **Półmisek różności**

Wszystko, co udało ci się znaleźć w lodówce, zawinięte w folię lub w opakowaniu spiętym klamerką do bielizny, może stać się składnikiem pysznego półmiska różności. Ścinki sera, budzące lekkie wątpliwości salami, pojedynczy plasterki mortadeli z zeschniętymi brzegami, trzy nadgnite pomidory i pięć połamanych szaszłyków. I pomyśleć, że Włosi mają czelność twierdzić, iż to oni wymyślili *antipastol Mi scusi*, Mario, ale my to znamy od lat.

## **Potrawa jak (s)marzenie**

Według mojego przyjaciela Micka, jeśli coś nadaje się do jedzenia, musi też nadawać się do smażenia. Zwłaszcza po wielkim wieczornym wyjściu, kiedy to ludzki organizm w naturalny sposób domaga się ukojenia w postaci cholesterolu. Kotlety, bekon, jajka, śledzie, kebab, ziemniaki, grzyby i chleb - zdaniem Micka - tylko marzą o tym, by zaskwierzyć na patelni w towarzystwie dużej ilości masła. Jednak, tak jak w przypadku niejednego przepisu Jamie'ego Olivera, i ta potrawa wymaga drobiazgowych przygotowań.

Krok 1: Poprzedniego wieczoru idź do baru i zamarynuj własny mózg w alkoholu, dbając o szczelność słoika i odpowiednią ilość marynaty.

Krok 2: Obudź się z kacem stulecia.

Krok 3: Umieść całą zawartość lodówki na patelni i usmaż na maśle.

Krok 4: Jedz, dopóki nie wrócą ci wszystkie zmysły.

Krok 5: Podawaj ze szklanką soku pomarańczowego, żeby zneutralizować wszelkie szkodliwe substancje, jakie przyjął twój organizm w ciągu minionych dwunastu godzin.

## **Deser lod(ówk)owy**

Bajecznie pyszny i prosty przepis, używany do przyrządzenia deseru w większości domów niemal codziennie. Każdy domownik powinien udać się do lodówki podczas przerwy reklamowej i stojąc w poświacie otwartych drzwiczek, przeszukiwać lodówkę aż do momentu znalezienia czegoś godnego schrupania. Kostka czekolady, zawieruszone czekoladowe jajko wielkanocne, stwardniałe resztki karmelu na opakowaniu po batoniku. Przyłapano na gorącym uczynku przez któregośkolwiek z pozostałych domow-

ników powinieneś natychmiast przełknąć to, co masz w ustach, i stanowczo wszystkiego się wyprzeć.

Lepsze od kremowej tarty owocowej Jamie'ego? Prawdopodobnie nie, ale na pewno bardziej z a k r ę c o n e .

TLR

## ROZDZIAŁ 2

---

*Potem Jokasta wzdycha. Jest to przeciągłe westchnienie, w którym po-  
brzmiewają znużenie i współczucie. O ile dobrzeją rozumiem, wzdycha nad  
losem inteligentnej, młodej kobiety, która dwadzieścia lat temu, mając  
przed sobą świetlaną przyszłość, podjęła wiele nietrafionych decyzji, jakie  
zawiodły ją do momentu, gdy będąc kobietą w średnim wieku, sunie w żół-  
wym tempie mostem Anzac u boku kompletnego kretyna.*

### **Majster-klepka**

W budownictwie każda rzecz ma swoją dziwaczną, obco brzmiącą na-  
zwę, stworzoną chyba tylko po to, by doszczętnie cię upokorzyć, gdy  
ośmielisz się przekroczyć próg sklepu z materiałami budowlanymi.

- Hej, George - krzyknie herszt budowlanej bandy do kumpla. - Zgadnij,  
co ten koleś zamierza zrobić? Chce użyć zębarki turbinowej do naprawienia  
swojej młotowiertarki.

W tym właśnie momencie trzydziestu sprzedawców w kombinezonach  
odwróci się w kierunku lady i zanieśe zdrowym rechotem, wypuszczając z  
rąk niezliczone paczki bolców mocujących, zaślepek kołnierzowych i  
kształtek kanalizacyjnych wprost na podłogę.

- Bo jemu się młotowiertarka z wykrętakiem udarowym pomyliła! - wy-  
krzykną jednym głosem, śmiejąc się dobrodusznie, i odtańczą krótki taniec  
zwycięstwa, rzucając zachwycone, lecz i niepozabawione zazdrości spojrze-  
nia na narzędzia kolegów.

Czasami, patrząc na nich, mam ochotę wykręcić im jakiś numer za pomocą niezawodnego wkrętaka akumulatorowego. Niestety za każdym razem przypominam sobie, ile musiałbym najpierw w taki sprzęt zainwestować.

Tak naprawdę znalazłem się w sklepie z materiałami budowlanymi tylko dlatego, że w mojej świeżo położonej podłodze w łazience pojawiły się sporych rozmiarów pęknięcia, a spłuczka wydaje żalostny skowyt przy każdej próbie zbliżenia się do niej.

Wygląda na to, że niewłaściwie ułożyłem legary przy przebudowie podłogi. W praktyce oznacza to, że za każdym razem gdy ktoś usiłuje zbliżyć się do toalety, słyszy przeciągły, przepełniony obawą jęk.

Jokasta nazwała ten fenomen „gadającą toaletą” i twierdzi, że powinniśmy wezwać fachowca. Ma rację. Legary są krzywo ułożone, podobnie jak strop podłogi, warstwa izolacji, kleju, posadzka, aż po krokwie w dachu.

Zauważcie, że to Jokasta zapoczątkowała praktykowaną w naszym domu czarną serię ZTS, czyli „zniszcz to sam”, jak ją teraz pieszczotliwie nazywamy. To ona kupiła mi przenośny warsztat, zaprojektowany tak, by wydrenować moją kieszeń, ale też umożliwić mi pracę w drewnie i przy hydraulice. Drenaż okazał się na tyle dotkliwy, że na półmetku swojego życia byłem zmuszony przyznać się przed samym sobą, że oto stałem się mężczyzną o luksusowych zachciankach.

Przenośny warsztat powinien mieć chwytliwą nazwę, taką jak Samcomat czy Pan Złota Rączka. Przynosić ukojenie. Być mobilny. Spełniać męskie pragnienia. A przy tym wszystkim uzyskać akceptację Watykanu!

Haczyk polega na tym, że Samcomat jest dostarczany w drobnych kawałeczkach zapakowanych w płaskie pudełka i stawia faceta przed koniecznością zakupu sprzętu za pięćset dolarów, by można było to wszystko poskładać do kupy. A jednak niektórym z klientów jakimś cudem udaje się dopasować bolec E do otworu C i złożyć cacko o czterech splecionych ze sobą nóżkach i jeszcze bardziej pokrętej naturze (nadal przy aprobacie Watykanu).

Po takim wyczynie naturalne wydaje się, że nie istnieją dla nas rzeczy niemożliwe. Takie jak na przykład remont łazienki.

To właśnie przekonanie doprowadziło mnie do obecnej sytuacji: kopania rowów dla rur odpływowych i zastanawiania się nad kilkoma dodatkowymi regulacjami w prawie budowlanym, niezbędnymi narodowi Zniszcz-To-Samych:

### **Zasada 1: Winę za każdą spowodowaną przez siebie usterkę ponoszą narzędzia**

Naprawdę nie chodzi o to, że brakuje nam profesjonalizmu: to nasze narzędzia są do kitu. Nic nie mogłem poradzić na sytuację z legarami. Wszak nie dysponuję heblem! To wydatek rzędu sześćdziesięciu pięciu dolarów. Z czystej oszczędności próbowałem więc oheblować legary piłą łańcuchową. (Przysięgam, to *me* jest wymysł mojej bujnej wyobraźni). Wyłącznie własnym umiejętnościom zawdzięczam, że podłoga nie jest jeszcze bardziej wypaczona.

### **Zasada 2: Usterki chodzą stadami**

Kiedy patrzysz na rezultaty naszych wysiłków, odnosisz wrażenie, że jesteśmy tępakami i mistrzami w odstawianiu fuszerki. Pamiętaj jednak, że usterki chodzą stadami. Łazienka wygląda jak po przejściu tornado, ponieważ belka nośna jest krzywa. Dlatego też blacha nie przylega tak, jak powinna. To powoduje, że rynny wyglądają dziwnie. Ściany zaś nie mogą być w zaistniałej sytuacji proste. Gdybym miał porządniejsze narzędzia...

### **Zasada 3: Nie mieszkamy przecież w Kaplicy Sykstyńskiej!**

Nie otaczają nas jej cztery ściany. Nie stąpamy też po jej podłodze. Innymi słowy: „po jakimś czasie przestaniesz na to zwracać uwagę”. Powitalny pomruk gadającej toalety zabrzmiał w twoich uszach niczym ptasie trele zwiastujące początek nowego dnia. Rozkosznie zwichrowane kafelki staną się ukojeniem dla twoich oczu. A szczeliny w ścianie będą niczym muśnięcie słodkiej wiosennej bryzy o poranku.

### **Zasada 4: Podaj mi nazwę produktu, a powiem ci, co masz zrobić**

Znając męski strach przed czytaniem instrukcji obsługi, producenci zazwyczaj umieszczają informację o tym, jak należy daną czynność wykonać, wprost w nazwie produktu przeznaczonego do tego celu. Nazwy takie jak klej Kropelka czy Błyskawiczny Psikacz mówią same za siebie. Moim ulubionym produktem jest jednak Antyprzedziałek, czyli przeznaczone do prac domowych spodnie, które dzięki elastycznej gumce w pasie zapewniają mężczyźnie pełne poczucie bezpieczeństwa podczas zadań wysokiego ryzyka zsunienia się spodni z... bioder - nawet tak ekstremalnych, jak wczółganie się pod zlew.

### **Zasada 5: Zmierz dwa razy, nim utniesz**

To jest co prawda stara reguła, lecz ze względu na brak miejsca nigdy nie przedstawiono jej pełnej wersji w wydaniu ZTS: „Zmierz dwa razy, nim utniesz, spróbujesz coś zainstalować, zorientujesz się, że nic do siebie nie pasuje, ciśniesz deską o podłogę, nawrzeszczysz na żonę, kupisz nowy element w sklepie budowlanym, przełkniesz kąśliwe uwagi sprzedawców na temat własnej głupoty, utniesz po raz drugi i zainstalujesz”.



Uważacie może, że nikt nie jest na tyle głupi, by przejść tę drogę? Proponuję odwiedzić w moim domu i wycieczkę wokół wielkiego stosu drewna sosnowego, pociętego na kawałki o długości 1,2 metra, które planowałem wykorzystać do budowy pergoli o wysokości 1,4 metra.

Tymczasem w sklepie z artykułami budowlanymi mężczyźni zrzucili swoje skórzane fartuchy i wykonują właśnie taniec wokół sklepowej wystawy pyszniącej się za-ślepkami, dumnie dzierżąc w dłoniach błyszczące suwmiarki. Z radością bym do nich dołączył, lecz zew samotniczej natury wzywa mnie do domu.

## **Powrót mamy**

Batboy odkrył, że nowy komputer jego mamy wyposażony jest w odtwarzacz DVD. Siedząc na podłodze ze słu-uszach, można się poczuć jak w kinie. Odkrył również, że można ustawić niemieckie napisy podczas oglądania filmów, co kwalifikuje się jako odrobienie pracy domowej z niemieckiego.

Niestety mamy tylko jeden film na DVD - *Klatkę dla ptaków*, komedię z Robinem Williamsem o parze gejów; syn jednego z nich wżenią się w rodzinę obrońców moralności. Obawiam się, że Batboy nauczy się wysoce wyspecjalizowanego słownictwa, takiego jak: *Schwulen im Militär* (geje w wojsku), *Abtreibungsarzt* (lekarz przeprowadzający aborcję) oraz *Transvestitenklub* (klub dla transwestytów).

Zastanawiam się tylko, czy którekolwiek z tych słów pojawi się na sprawdzianie.

Może powinienem kupić film innego rodzaju, na przykład zawierający opis układania przyborów szkolnych na biurku przed otwarciem okna (czy też *Fenster*). Biorąc pod uwagę treść podręcznika do niemieckiego dla licealistów, Niemcy nie prowadzą szczególnie mądrych rozmów.

Tak naprawdę najistotniejszą podczas tego trudnego tygodnia rzeczą jest to, że Batboy sam motywuje się do odrobienia pracy domowej. Jokasta po

raz kolejny wyjechała do pracy w Melbourne, a ja zostałem z całą masą spraw na głowie.

Trzeba jednak przyznać, że bycie samotnym rodzicem ma jedną ogromną zaletę: pozwala na picie wieczorami tego, na co tylko ma się ochotę. Jednak już w poniedziałkowy rano mój umysł wysłał mi nieśmiały sygnał, że może to nie jest aż takie dobre.

Co gorsza, Jokasta zostawiła mi listę, znieważający mnie dokument sugerujący, że nie mam bladego pojęcia o prowadzeniu domu. Przyczepiła ją do drzwi lodówki, zaznaczając drukowanymi, wytłuszczonymi literami poszczególne dni tygodnia. Lista ma wypełnić mi szczelnie każdą chwilę od momentu otworzenia oczu i „zrobienia kanapek” o 6.45 aż po ich zamknięcie, poprzedzone „wrzuceniem korków na jutrzejszy trening do bagażnika” o 23.15.

Mój wzrok gorączkowo błądzi po liście w poszukiwaniu nieco bardziej optymistycznych zadań, takich jak: „20.30: Połóż się na kanapie z piwem w dłoni i obejrzyj film” albo: „22.15: Wymknij się z domu i zafunduj sobie płomienny romans”. Pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego takie właśnie punkty zostały pominięte.

Poza tym lista nie jest mi do niczego potrzebna i nie zamierzam na nią spojrzeć ani razu. Rzecz jasna, nie omieszkałem tego powiedzieć Jokaście przed jej wyjazdem:

- Jeśli kiedykolwiek to ja będę musiał wyjechać z domu na tydzień, wtedy naprawdę będziemy potrzebować listy. Listy tych rzeczy, które ja robię w domu.

- A czego zamierzasz użyć do sporządzenia tej listy, Kopciuszkule? Samoprzylepnej karteczki? - odparła Jokasta.

Drugiego ranka jesteśmy tak spóźnieni, że Batboyowi ucieka autobus do szkoły i muszę go tam zawieźć. Docieramy równo pół godziny po dzwonku, co Batboy przyjmuje z lodowatym spokojem.

- Co ty próbujesz zrobić, tato? - pyta, wysiadając z samochodu. - Zamienić mnie w *nervöses Wrack*?

Zapamiętać: to dziecko potrzebuje nowego filmu.

Środa: telefon od Jokasty. Kosmiczny Kadet zagłębia się w szczegóły historii, jak to „tata zapomniał mu spakować flet na lekcję muzyki”, przez co Kosmiczny Kadet pojechał na nią nieprzygotowany.

Zapamiętać: wytłumaczyć Kosmicznemu Kadetowi, dlaczego nikt nie lubi kapusiów. Wreszcie przejmuję słuchawkę.

- Wiesz, że flet znajdował się na liście. Czy ty w ogóle jej przestrzegasz? - Coś w głosie Jokasty podpowiada mi, że ważność tej listy wzrosła na tyle, że powinno się ją tytułować raczej LISTĄ.

Czwartek. Wygląda na to, że w domu nie ma ani jednej pary czystych spodenek, żadnych koszulek i skarpetek do gry w nogę. Z niedowierzaniem spojrzałem na LISTĘ i zauważyłem mały dopisek przy wtorkowej dacie, kiedy to miałem uprać chłopakom kostiumy po treningu.

Informacja utknęła gdzieś pomiędzy „kup więcej chleba” i „kup prezent na urodziny Briony”. Ciekawe, czy Briony ucieszyłaby się z banknotu dziesięciodolarowego w kopercie. Mam masę gotówki, zważywszy wszystkie oszczędności, jakie poczyniłem, nie kupując chleba.

Wyciągam mokry i śmierdzący kostium piłkarski z kosza na pranie i próbuję namówić Batboya, żeby go włożył.

- Wszystko będzie w porządku - mówię. - Drużyna przeciwna nie ośmieli się do ciebie zbliżyć, dopóki będziesz miał to na sobie - staram się brzmieć jak jego kumple.

Piorunuje mnie spojrzeniem i mruczy pod nosem:

- *Also das ist die Hölle* („I oto znalazłem się w piekle” - *Klatka dla ptaków*, scena ósma, wers piąty).

Piątek. Według LISTY Jokasta będzie w domu o 21. Jakim więc prawem dzwoni z lotniska i mówi, że przyleciała wcześniejszym samolotem i mamy się jej spodziewać za dwadzieścia minut?

Od razu wiedziałem, że cała ta LISTA to stek kłamstw. Cała nasza trójka zaczyna histerycznie - *hysterisch* - sprzątać i porządkować. Nie mamy cienia szansy wygrać tego wyścigu z czasem.

- Radzisz sobie, tato? - uprzejmie dopytuje się Batboy, patrząc, jak wypycham pudełka po pizzy do kosza na śmieci.

- Nie, synu - odpowiadam. - Czuję się, jakbym pędził na grzbiecie oszalałego konia w kierunku płonącej stodoły.

Batboy kiwa głową ze zrozumieniem:

- No tak, scena dwudziesta, wers ósmy: *Ein psychotechnes Pfred zu einem brennenden Stall reiten will.*

Na myśl przychodzi mi tylko jedno pytanie: dlaczego język szaleńczej farsy jest w stanie tak trafnie opisać życie właśnie naszej rodziny?

## **Hej, za rok matura...**

Na samo wspomnienie egzaminu maturalnego większość z nas oblewa zimny pot. Na szczęście dla osób, które dopiero czeka konfrontacja z komisją (maturalną), przygotowałem kilka dobrych rad.

**1)** Nie wierz żadnemu ze swoich kolegów, który twierdzi, że jeszcze nie zaczął się uczyć. W wolnym tłumaczeniu znaczy to, że nie ma zamiaru zdać najgorzej w klasie i woli, żebyś tą osobą był ty.

**2)** Przyjmowanie tabletek pobudzających to błąd. Poprzednie roczniki nałykały się ich niczym ja wstydu w młodości. W rezultacie usiłowały zdać maturę z matematyki, wpisując do każdego zadania odpowiedź: „W czasie krótszym niż pociąg jadący z punktu A do punktu B”.

**3)** Niezależnie od walorów smakowych Białego Rosjanina napój ten nie może być traktowany jako pomoc w nauce języka rosyjskiego i historii Związku Radzieckiego.

**4)** Może ci się zdarzyć, że staniesz przed komisją maturalną kompletnie nagi i zlany p to oznaczać, że a) właśnie śnisz swój przedegzaminacyjny koszmar albo b) podejmujesz śmiałą próbę zwrócenia

na siebie uwagi egzaminatorów, bo pilnie potrzebujesz gumki do mazania. W obydwu przypadkach zasada: „siedemnaście filiżanek kawy to jednak za dużo” sprawdza się doskonale.

5) Nie wahaj się przed użyciem swoich przyjaciół jako swoistych *aides-mémoire*. Gigantycznych rozmiarów pryszcz wznoszący się na twarzy twojej przyjaciółki może ci przypomnieć, w jak przebiegły sposób Szwajcarzy zapisali się na kartach historii drugiej wojny światowej. Płatki łupieżu sypiące się z głowy Tony'ego mogą pomóc uzmysłwić sobie rolę śniegu w oblężeniu Stalingradu. Równie przydatna może okazać się nauka płynąca z widoku pana Flei, nauczyciela matematyki: nigdy nie noś przez dwadzieścia lat tej samej pary spodni bez zafundowania im od czasu do czasu wizyty w pralni chemicznej.

6) Pamiętaj, że wiele wybitnych postaci, jak na przykład Winston Churchill, nie radziło sobie najlepiej w szkole. Z drugiej strony sir Winston nie liczył na to, że dostanie się na Wydział Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu w Sydney. Pamiętaj: liczba stanowisk brytyjskiego premiera może się okazać niewystarczająca dla wszystkich nastolatków wychowanych na przedmieściach Sydney.

7) Chociaż tatuowanie i przekłuwanie ciała stało się ostatnio popularne, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że komisja zaakceptuje tekst monologu Hamleta wytatuowany na wewnętrznej stronie twojego uda.

8) Podczas nauki do egzaminu rodzice będą gotowi usługiwać ci na każdym kroku. Bądź władczy. Rozkoszuj się tym. Wykorzystaj ich. Zamiast prosić tatę o przygotowanie filiżanki kawy, zagoń go do usmażenia ci naleśników i wyciśnięcia soku pomarańczowego, używając argumentu o „paliwie dla twojego mózgu”. Dręcz swoje rodzeństwo. Domagaj się ciszy w każdym zakątku waszego domu. Miej ataki złości, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota. Rozrzucaj książki i kubki po kawie, gdzie tylko się da. Bądź upierdliwcem. Pamiętaj, że matura jest swoistym rytuałem przejścia, momentem podjęcia przez twoich rodziców ostatecznej decyzji: tak, w przyszłym roku pomożemy mu wziąć i spłacać kredyt hipoteczny na jego samodzielne mieszkanie.

9) Całkowite zaniedbanie higieny osobistej w czasie przygotowań do egzaminu jest błędem. Podczas mojego egzaminu z fizyki pięciu uczniów poległo na skutek własnego zapachu: znaleziono ich później nieprzy-

tomnych. Wyłącznie zbieg okoliczności (oraz odcisk ich niedomytych twarzy na karcie egzaminacyjnej) zdecydował o zdobyciu przez nich wysokiego wyniku na teście wielokrotnego wyboru.

**10)** Dlaczego nie zacząłeś się uczyć wcześniej? Czemu byczyłeś się w trzeciej klasie i zmarnowałeś większość czasu spędzonego w czwartej? Byłeś aż tak głupi? Przygotuj się na to, że tego rodzaju myśli mogą się pojawić. Nie daj się jednak zwariować. Egzaminy najlepiej zdają ci, którzy pamiętają o kilku prostych zasadach:

Głównym motywem literackim jest zmaganie się człowieka z naturą, ze szczególnym naciskiem położonym na udrękę ludzkiej egzystencji. Zwroty, których można użyć w ciemno do opisu każdej książki, to: „przejmująca historia jednostki uwikłanej w trudy egzystencji”, „autor posługuje się dogodną paletą środków wyrazu oraz „bohater w niezwykle sposób odkrywa swoje miejsce na ziemi”. I nawet jeśli nigdy w życiu nie miałeś w ręku noweli czy dramatu, o które pytają cię na egzaminie, zawsze możesz użyć uniwersalnego zakończenia: „Autor, nie bacząc na swe dramatyczne doświadczenia, nie traci nadziei - będącej jednocześnie jego przekleństwem - iż człowiek pomimo swej pozornej małości stworzony jest do czynienia rzeczy wielkich”.

Historia zaś jest wypadkową czynników ekonomicznych i społecznych. Zwrotu „w czasie gwałtownego rozwoju ekonomicznego i intensywnych przemian społecznych” możesz użyć, nawet gdy nie masz bladego pojęcia, o którym stuleciu mówi twój egzaminator, z prostego powodu: świat cały czas się zmienia zarówno pod względem ekonomicznym, jak i społecznym. **11)** Przeczytaj dokładnie wszystkie polecenia, zanim zaczniesz odpowiadać na pytania. Stwierdzenie „to dla mnie kompletna chińszczyzna” jest na miejscu wyłącznie wtedy, kiedy naprawdę zdajesz egzamin z chińskiego. I bądź świadomy tego, do czego ja doszedłem już dawno: żadne z twoich przyszłych życiowych doświadczeń nie będzie tak upiorne jak to.

**Wszystkie drogi prowadzą do domu**



Melbourne jest płaskie i symetrycznie pocięte siatką dróg. Nic dziwnego, że jego mieszkańcy rzadziej niż reszta ludzkości narzekają na problemy w związkach. W Sydney do każdego miejsce można dotrzeć na piętnaście sposobów.

To miasto wzniesione przez ludzi, których wypłatę stanowił rum, a dodatkowym utrudnieniem w pracy była przyczepiona do nogi żelazna kula. Rzut oka na Sydney z lotu ptaka pozwala się domyślać, że projekt sporządzono spiro-grafem. Oto garść argumentów potwierdzających tę teorię. Ulice: Comenarra Parkway kontra Pacific Highway. Oxford Street kontra William. Mona Vale Road kontra Pittwater.

Będziemy chyba musieli ograniczyć wspólne wypadki do kina z Jokastą z powodu coraz gorętszych dyskusji prowadzonych po wyjeździe z parkingu. Czy powinniśmy skręcić w prawo i pojechać Parramatta Road? Czy raczej w lewo i przejechać przez most Anzac? Zanim wybierzesz, pozwól, że się do czegoś przyznam: całym sercem jestem za wyborem Parramatta Road.

Jokasta siedzi obok mnie i marudzi:

- Nie mogę uwierzyć, że po raz kolejny wybrałaś tę drogę. Istne szaleństwo.

Zwykle po prostu ignoruję jej komentarze, ale dzisiaj coś we mnie pęka. Gwałtownie wykonuję manewr zmiany kierunku. Na samym środku drogi.

- Okej, wygrałaś. Prowadź.

Jokasta każe mi przestać zachowywać się jak rozkapryszony dzieciak i stwierdza, że tylko wyraziła swoją opinię.

- Cóż, wygląda na to, że właśnie wysłuchałem twojej opinii - mówię. - I teraz to ty musisz mi powiedzieć, jak mam jechać.

Jej wyraz twarzy wskazuje na to, że Jokasta nie marzy o niczym innym.

W tego rodzaju sporach kierowca znajduje się zawsze na zwycięskiej pozycji. Jokasta kieruje mnie do mostu Anzac, a moim zadaniem jest udowodnić jej, że to najdłuższa i najmniej rozsądna z możliwych tras.

Szybko rozglądam się po drodze, szukając szansy dla siebie. Sunące w żółtym tempie samochody, między którymi, o ile wykażę się odrobiną sprytu, będę mógł utknąć. Autobusy wypuszczające stado pasażerów na przystanku. Pułapki w postaci pasów skrętu. I wreszcie sygnalizacja świetlna, która dzięki mojej ślamazarności będzie zawsze działała na naszą niekorzyść.

Jokasta stwierdza:

- Specjalnie starasz się jechać jak najwolniej.
- To jest po prostu taka okropnie trudna droga - zaprzeczam.

W poczuciu triumfu dostrzegam zepsutą taksówkę na zewnętrznym pasie i posyłam Jokaście spojrzenie zwycięzcy. Mam nadzieję, że był to dla niej dostatecznie czytelny komunikat: „Tego rodzaju wypadki są normą na moście Anzac, podczas gdy na Parramatta Road nie zdarzają się nigdy. Kolejny dowód na to, że znowu miałem rację”.

Zdaję sobie sprawę, że może się to wydawać nieprawdopodobne: przekazać tyle informacji za pomocą jednego grymasu. Żeby to zrozumieć, musielibyście zobaczyć, jak zmrużyłem oczy, wbiłem w nią wzrok i wymownie westchnąłem.

Tak! Westchnąłem! (Chociaż faktycznie zastanowiło mnie też, dlaczego wyobrażamy sobie, że westchnienia są w stanie wyrazić wiadomość tak okropną, że boimy się ją wypowiedzieć głośno).

Światła przed nami po raz kolejny zmieniły się na czerwone. Tym razem pozwalałam sobie na ledwie zauważalne prychnięcie. Tak dyskretne, że byłbym w stanie się go wyprzeć, gdyby Jokasta zwróciła mi uwagę, lecz jednocześnie tak dobitne, by na pewno je usłyszała.

Słowem: i d e a l n e .

Doszedłem do momentu, w którym należało podjąć męską decyzję o przyszłości naszego sporu. Mogłem albo go nieco podkreślić, albo przyznać, że jestem drażliwym dupkiem. Wybrałem to pierwsze.

- Jest dokładnie tak samo jak z King Street - mówię. - Okrążasz całe Sydney, żeby tylko nią nie jechać. W czym tkwi problem?



Jokasta zakazuje mi nawet wspominać o King Street i stwierdza, że mój pomysł użycia King Street do jazdy na zachód, podczas gdy na mapie dokładnie widać, że prowadzi ona na południe, jest kolejnym dowodem mojej pogłębiającej się niepoczytalności. Później zaczyna kreślić palcem na przedniej szybie różne mapy Sydney, pokazując, gdzie mieszkamy („Tu!” - stwierdza dobitnie, dźgając szkło), i udowadniając, że wszystkie wybierane przeze mnie drogi do domu („Tu, tam, a nawet tutaj”) wiodą w dokładnie przeciwnym kierunku.

Potem Jokasta wzdycha.

Jest to przeciągłe westchnienie, w którym pobrzmiewają znużenie i współczucie. O ile dobrze ją rozumiem, wzdycha nad losem inteligentnej, młodej kobiety, która dwadzieścia lat temu, mając przed sobą świetlaną przyszłość, podjęła wiele nietrafionych decyzji, jakie zawiodły ją do momentu, gdy będąc kobietą w średnim wieku, sunie w żółwym tempie mostem Anzac u boku kompletnego kretyna.

Zdaję sobie sprawę, że może się to wydawać nieprawdopodobne: przekazać tyle informacji za pomocą jednego westchnienia. Żeby to zrozumieć, musielibyście wsłuchać się w ten przeciągły, gulgoczący dźwięk.

Pozwalam sobie na dyskretny uśmieszek. Jokasta zachowuje się teraz w sposób równie paskudny co ja. Myślę, że można to w pewnym sensie nazwać zwycięstwem.

Mimo moich wysiłków docieramy do domu w rekordowym czasie. Jokasta nie mówi nic. Za to się uśmiecha.

Odwracam się do niej:

- To, co widzę na twojej twarzy, chyba nie jest uśmiechem a-nie-mówiłam? - pytam.

- Nie - odpowiada kpiąco. - Po prostu cieszę się, że jesteśmy w domu.

Stoimy na podjeździe. Mimo wszystko jakoś trudno mi się zgodzić z tym, że „jesteśmy w domu”, w pełnym tego określenia znaczeniu. Następnym razem będę musiał postarać się bardziej.

## Kodeks narzeczonego

Zapomnijcie o finansowanym przez rząd programie przygotowującym do życia w rodzinie. Potrzeba nam porad dotyczących prawdziwych wyzwań życia we dwoje. Zanim powiesz sakramentalne „tak”, po prostu zaniś poniższą listę swojemu wybrankowi i sprawdź, na ile punktów będzie w stanie się zgodzić.

Jeśli okaże się, że na mniej niż dwadzieścia - cóż, osobiście nie zawraciałbym sobie głowy taką osobą.

▸ Przyrzekam flirtować wyłącznie z kobietami o sylwetce podobnej do sylwetki mojej partnerki, a na pewno nie z kimś, kto byłby od niej szczuplejszy.

▸ Przyrzekam głośno się śmiać, gdy moja partnerka będzie gwiazdą wieczoru, choćby zabawiała towarzystwo anegdotkami, które już parę razy słyszałem.

▸ Przyrzekam nie nazwać żadnego z naszych dzieci dziwacznym lub nowomodnym imieniem.

▸ Przyrzekam nie kasłać, nie kichać, nie oddychać ani w żaden inny sposób nie sugerować swojej obecności podczas kolejnego odcinka serialu o lekarzach.

▸ Przyrzekam nie jeździć na jednej szesnastej baku benzyny, ponieważ wiem, że drażni to moją partnerkę.

▸ Możemy mieć różne zdania na temat Tony'ego, mojego kumpla ze szkolnej ławy, ale to ja będę pokrywał koszty drobnych remontów i napraw będących konsekwencją jego wizyt w naszym domu.

▸ Przyrzekam nigdy, niezależnie od okoliczności, nie używać słowa „histeryczny”.

▸ Przyrzekam słuchać i nie komentować zawodzenia jej ulubionego wykonawcy.

▷ Przyrzekam nie pouczać swojej partnerki, gdy będzie prowadziła samochód - będę miał w pamięci to, że kiedy nie ma mnie w pobliżu, jakimś cudem udaje jej się nie zabłądzić.

▷ Przyrzekam nie poprawiać jej, kiedy myli słowa śpiewanej piosenki.

Przyrzekam nigdy nie wspominać o zespole napięcia przedmiesiączkowego podczas naszych sprzeczek ani po nich, niezależnie od swoich podejrzeń co do jego wpływu na przebieg naszej rozmowy.

▷ Przyrzekam powstrzymać się od odciągania partnerki od krawężnika, za każdym razem gdy oczyma wyobraźni widzę ją wpadającą pod nadjeżdżający samochód - będę miał w pamięci to, że kiedy nie ma mnie w pobliżu, jakimś cudem udaje, się jej pozostać przy życiu.

▷ Przyrzekam, że będąc jej partnerem, podczas karcianej gry w pięćsetkę powstrzymam się od następującego komentarza: „Co za idiota przebija ósemką kier, kiedy nie ma w ręku aty?“, choćby to była najświętsza prawda.

▷ Przyrzekam, że w restauracji zamówię dla siebie deser, podczas gdy ona skromnie odmówi, zarazem w pełni świadomy, że kiedy kelner go przyniesie, ona wyliże mój talerz do czysta.

▷ Przyrzekam powstrzymać się od używania zdrobnień, takich jak: niunia, lala i stara.

▷ Przyrzekam nigdy nie prosić o osobny billing jej rozmów.

▷ Zgadzam się na powyższy punkt, pod warunkiem że oznacza to przymknięcie oka na obciążenie karty kredytowej moimi wydatkami w Świecie Alkoholi Theo.

▷ Zgadzam się na użycie przez nią zaimka „my” w opisie prac wykonywanych wyłącznie przeze mnie i prowadzących do uszkodzeń kręgosłupa, tak jak w zdaniu skierowanym do jej siostry: „Wiesz, wymieniliśmy całe ogrodzenie w zeszłą sobotę”.

▷ Przyrzekam nauczyć się dziwacznych określeń używanych przez jej rodzinę, a potem nauczyć ich nasze dzieci, by nie dopuścić do zaginięcia tej tradycji.

▷ Przyrzekam ze spokojem przyglądać się, jak mierzy pięć na pozór identycznych czarnych topów, po czym radośnie przyznać jej rację, że „drugi jest zdecydowanie najładniejszy”.

▷ Mimo to pozostanę czuły na możliwą zmianę jej nastroju i równie entuzjastycznie przyjmę ostateczną decyzję o zakupie czarnego topu numer cztery.

▷ Gdy już będziemy starzy i siwi, przyrzekam nie zacząć farbować włosów wcześniej niż ona.

▷ Przyrzekam nie przeciągać żadnego z jej znajomych na swoją stronę podczas sporów dotyczących dekoracji domu.

▷ Przyrzekam szczerze jej współczuć w chorobie i powstrzymać się od myśli, że to musi być jej wina, że zachorowała.

▷ Przyrzekam, że po dwuipółgodzinnej tyradzie na temat własnych problemów w pracy postaram się od czasu do czasu zapytać, jak jej minął dzień.

▷ Przyrzekam, że przechodząc kryzys wieku średniego, nie zacznę interesować się sportowymi samochodami, podniebnym nurkowaniem ani pobierać lekcji gry na gitarze.

▷ Przyrzekam, że powstrzymam się od kończenia naszych kłótni jednym z popularnie stosowanych wariantów słowa „przepraszam”: ledwie słyszalnym przepraszam, wykrzyczanym przepraszam, a już na pewno przepraszam warunkowym („Przepraszam, jeśli t a k to odebrałaś”).

▷ Zgadzam się na przyjęcie definicji męskich prac domowych wykraczającej poza „prace wymagające użycia drabiny”.

▷ Przyrzekam stać grzecznie z tyłu i rozkoszować się chwilą, gdy to partnerka będzie w centrum zainteresowania.

▷ Przyrzekam nigdy, nawet w czasie najbardziej zażartej kłótni, nie mówić: „Z dnia na dzień coraz bardziej przypominasz swoją matkę”.

▷ Zgadzam się na powyższy punkt, pod warunkiem że ona powstrzyma się od stwierdzenia: „O rany, jesteś zupełnie jak twój ojciec”.

▷ Przymierzam komentować każdą zmianę w jej fryzurze przez kolejnych sześćdziesiąt lat, jakby były to rewelacja, triumf i sensacja.

▷ I wreszcie przymierzam, że zawsze będę uważał ją za śliczną i seksowną, nawet w podomce i rozczłapanych kapciach.

## Kinopisy

Krytycy jednogłośnie domagają się od filmów większej subtelności i wyrafinowania. Ja nie. Ja mam już i tak dość kłopotów ze zrozumieniem, o co w tych filmach chodzi. Mam dość fabuł, w których bohaterowie przebiegają się za kogoś zupełnie innego. Fabuł zawierających zawikłane zwroty zwrotów akcji. Kryminałów o tak pogmatwanej intrydze, że po dziś dzień zachodzę w głowę, kto tak naprawdę był mordercą.

Jokasta należy do osób cierpliwych. Na końcu każdej sceny włącza pauzę i tłumaczy mi, co się właśnie wydarzyło. Zazwyczaj zadaje jej jeszcze jedno pytanie, w rodzaju:

- Dlaczego właściwie ten mąż ją zabił? Wydawało się, że są doskonałym małżeństwem.

W tym momencie Jokasta najczęściej wydaje z siebie przeciągły jęk, co nie przeszkadza jej w udzieleniu mi odpowiedzi:

- Ten facet z czarnymi włosami i pistoletem to nie jest jej mąż, tylko włamywacz. Mąż to ten koleś.

W tym momencie ponownie uruchamia wideo i pokazuje mi na ekranie mężczyznę, który wypisz, wymaluj przypomina tego poprzedniego. Obaj są wysocy, przystojni i ciemnowłosi. Jakim cudem mam dostrzec różnicę?

Marzę o producencie filmowym, który wyciągnie do widowni pomocną dłoń - obsadzi kogoś z czarnymi włosami w roli męża, a mordercą uczyni

nisRiego blondyna. Albo jeszcze lepiej, ubierze jednego w kilt, a drugiemu każe zapuścić brodę.

Nie wiem jak wy, ale kiedy ja oglądam film, staram się nie zaprzętać sobie głowy imionami postaci. Zamiast tego tworzę sobie w umyśle obraz bohaterów. Myślę na przykład: O, jest Facet w Kilcie. O rany, wyciąga spluwę! O, nie! Morduje Brodacza!

Oczywiście domyślam się, do czego może to doprowadzić. Idąc o krok dalej, niebezpiecznie zbliżamy się do filmu o pokemonach, w którym każda postać ubrana jest od stóp do głów w charakterystyczny dla siebie kolor.

Co zresztą z ogromną przyjemnością widziałbym w hitach kinowych. Wyobraźcie sobie tylko *Być jak John Malkovich* z Johnem Cusackiem owiniętym fioletową pończochą i Cameron Diaz pokrytą żółcią wzorowaną na Pikachu. Nawet ja miałbym wtedy szansę załapać, o co w tym filmie chodzi.

Napięcie wzrasta, kiedy wybieramy się do kina, bo tam Jokasta nie zezwala na gadanie. Wszystkie pytania muszą zostawić na koniec, zazwyczaj więc siedzę przed ekranem i pozwalam, by film spłynął po mnie niczym woda po kaczce. Kilka lat temu wybraliśmy się na *Kochanicę Francuza* - jak pamiętacie, wątek dziewiętnastowiecznego romansu toczy się tam równoległe ze współczesną historią miłosną. Tak skomplikowana fabuła, jak słusznie się domyślacie, pozostała daleko poza moim zasięgiem. I jak się okazało, nie tylko moim, lecz również pary w średnim wieku siedzącej za nami.

Przez cały seans z tylnego rzędu dochodziły teatralne szepty obojga: „Czemu on ma wąsy? Przecież w poprzedniej scenie ich nie miał. Czemu ona jest ubrana w minispódniczkę? I co tam robi ten samochód?”.

I wreszcie, z lekceważącym prychnięciem: „Wtedy nawet nie mieli samochodów”.

Wreszcie Jokasta nie wytrzymała, odwróciła się do nich i wypaliła:

- Słuchajcie, akcja filmu rozgrywa się na dwóch płaszczyznach. Pierwsza to rok 1867, druga to czasy współczesne, i cała sztuka polega na przenoszeniu się z jednej do drugiej. Kapewu?

Oczywiście byłem tak samo poirytowany jak ona, co nie zmienia faktu, że byłem również wdzięczny za bezcenną wskazówkę pozwalającą mi wreszcie zrozumieć fabułę.

Opera Australijska wprowadziła kilka lat temu napisy wyświetlane na ekranie umieszczonym nad sceną dla osób zagubionych w gąszczu obcojęzycznych słów. Nazywają się one *sur-titles*. Pozwoliło mi to wpaść na pomysł stworzenia kinopisów, prostych informacji wyświetlanych na kinowym ekranie (dla widzów mających problemy ze zrozumieniem zawilej akcji), odpowiedników słówka szepniętego przez opiekuńczego i bystrzejszego od ciebie przyjaciela.

Wyobraźmy sobie jedną z tych dezorientujących scen wesela, gdzie w najbardziej odpowiednim momencie pojawiłby się kinopis: „Ona wcale nie wychodzi za mąż za własnego brata, tak się po prostu złożyło, że obaj mają czarne włosy”.

Albo podczas krwawej strzelaniny: „Ten facet, który go właśnie zastrzelił, jest oficerem policji, którego widziałeś w poprzedniej scenie”.

Jestem nawet w trakcie tworzenia kinopisów do najbardziej kultowych filmów współczesnego kina - wyświetlano by je w kluczowych i jednocześnie najbardziej zagmatwanych momentach fabuły, jak na przykład:

„Tak, ona naprawdę jest facetem!” - *Gra pozorów*.

„Uwaga! Fabuła filmu nie jest ułożona chronologicznie” - *Pulp Fiction*.

„To wszystko sprawka żony” - *Uznany za niewinnego*.

„Faye Dunaway gra jednocześnie siostrę i matkę tej dziewczyny” - *Chinatown*.

„Bohater w kółko przeżywa jeden i ten sam dzień” - *Dzień Świstaka*.

„On tylko przebiera się za własną matkę, tak naprawdę ona nie żyje” - *Psychoza*.

„Różyczka to nazwa sanek, na których zjeżdżał, gdy był dzieckiem” - *Obywatel Kane*.



Tymczasem w zaciszu naszego domu Jokasta nadal tkwi przed ekranem telewizora z pilotem od wideo w ręku - z wyrazem rezygnacji na twarzy i ze stoickim spokojem tłumaczy Kosmicznemu Kadetowi:

- W tym momencie powinieneś przede wszystkim przyjąć do wiadomości, że Clark Kent jest Supermanem.

A później z niepokojem spogląda na mnie.

- Nie zadrezczaj się, jeśli też tego nie zrozumiałeś. -Szuka słów, które pozwolą mi zapomnieć o własnym upokorzeniu. - Pamiętaj, że nawet Lois dała się nabrać.

I pomyśleć, że wystarczyłoby kilka marnych kinopisów, by przywrócić pewnemu facetowi jego utraconą godność.

## **Siedmiolatkiem być**

Jest coś magicznego w sznurówkach Kosmicznego Kadeta. Niezależnie od tego, ile razy mozolnie byś je zawiązał, po chwili znowu będą smętnie ciągnęły się za jego butami. Cóż to za siła, która nie pozwala im się związać na stałe? Skąd to pragnienie niezależności? Na początku meczu piłki nożnej wiążę je porządnie, a później przekładam pod spodem buta i związuję końcówki na wierzchu. Dla zupełnej pewności dorzucam jeszcze kilka supełków i ze dwie, trzy pętelki.

Cała konstrukcja przypomina teraz podwodną pułapkę Houdiniego. Z braku łańcucha i kłódki nic więcej nie mogę zrobić.

Kosmiczny Kadet wbiega na boisko, jeden jedyny raz kopie piłkę i zostaje odgwizdany przez sędziego. Gra zostaje wstrzymana. Białe sznurówki powiewają nad murawą niczym konające mewy.



Gdyby bycie siedmiolatkiem zostało podciągnięte do rangi zawodu, z opisem stanowiska i listą celów do zrealizowania, Kosmiczny Kadet spełniałby wszystkie kryteria. Zachowuje się jak podręcznikowy siedmiolatek.

Co powinno wzbudzić nasze podejrzenia, że w pobliżu znajduje się siedmiolatek? Poniżej lista zaledwie kilku oznak.

1) Plaster traktowany jest przez niego jak szczytowe osiągnięcie współczesnej medycyny. Potrafi uleczyć wszystko, zwłaszcza gdy przykleimy go na uszkodzonej części ciała z odpowiednią dawką dramatyzmu, czci i skupienia. Co ważniejsze, jedno schludne opakowanie zapewnia siedmiolatkowi jednocześnie opatrunek i godło odwagi, a chroniąc przed zarazkami, informuje cały świat o nadludzkim bólu, z jakim rannemu przyszło się zmierzyć. Korzystając z doświadczenia siedmiolatków, środowisko lekarskie dawno już powinno rozpocząć serię testów badających skuteczność plastrów w walce z tyfusem, chorobą Alzheimera i trądem.

2) Znalezienie butów należących do siedmiolatka jest niemożliwe. Zrzucone gdzie popadnie, mszczą się, chowając się pod kanapą, za pralką, pod babcią. Wiele z nich kończy marsz ku wolności zwycięsko, znikając bez wieści. Wcale bym się nie zdziwił, znajdując pewnego dnia trzydzieści kilka par uciekinierów chowających się na poddaszu, marzących o wolności, spowitych w opary taniego alkoholu i majsterkujących przy budowie lotni.

3) Mycie zębów - zdaniem siedmiolatka - polega na kilkakrotnym machnięciu szczoteczką w kierunku twarzy i zaciągnięciu się ledwie wyczuwalnym zapachem pasty do zębów. Analogicznie, mycie rąk ogranicza się do rzucenia podejrzliwego spojrzenia w kierunku mydelniczki przed ucieczką do ogródka. Siusianie natomiast polega na wejściu do toalety, zlokalizowaniu muszli klozetowej i celowaniu mniej więcej w tym kierunku. „Muszla i ja byliśmy dokładnie o tej samej porze w tym samym miejscu. O co ci jeszcze chodzi?”

4) Głowa siedmiolatka i jej nakrycie wykazują dziwne podobieństwo do jego sznurówek, za wszelką cenę starających się trzymać jak najdalej od siebie. Czapka, która znajdzie się na głowie dziecka tuż przed wyjściem z domu, zniknie w niewyjaśnionych okolicznościach, jeszcze zanim dotrze

ono do samochodu. Stąd moje żarliwe poparcie dla przywrócenia czapek porządnie zawiązywanych pod brodą. Czy będzie to *oznaczać* uszkodzenie psychiki pokolenia siedmiolatków? Na pewno. Ale przynajmniej unikną szkodliwych promieni UV.

5) Lista akceptowanych przez siedmiolatka dodatków do kanapek kurczy się z dnia na dzień o jedną pozycję, dopóki nie ograniczy się tylko do masła orzechowego.

6) Omawianie reguł gry i debatowanie nad nimi zawsze trwa dłużej niż sama gra. To jak ze średnim szczeblem menedżerskim w kiepsko prosperującej firmie. Nikt nigdy nie zajmuje się niczym pożytecznym, ale na pierwszy rzut oka każdy ma pełne ręce roboty.

7) O co tak naprawdę chodzi z tymi patykami? Kosmiczny Kadet nie może się bez nich ruszyć. Przechadza się z patykami wetkniętymi w kieszenie i wystającymi mu zza paska. Niektóre z nich to wyimaginowane miecze i karabiny, ale część to po prostu zwykłe patyki. „Nie zgubiłeś chyba mojego patyka?” - pyta z paniką w oczach. Wracamy więc do lasu, deptając po drodze trzy miliony patyków, w poszukiwaniu tego patyka.

8) Istnieje prosta zależność pomiędzy wrażliwością na ból a okolicznościami wypadku. Przeciętny siedmiolatek popisujący się wyczynami na trampolinie przed swoją śliczną szesnastoletnią opiekunką jest w stanie wyjść ze zderzenia z metalowym słupkiem z promiennym uśmiechem na twarzy. „To nic takiego” - powie, ścierając strużkę krwi ze skroni i nieznacznie się chwiejąc. Ale spróbujcie zbliżyć się do niego z grzebieniem w rękę...

9) Śpiąc we własnym łóżku, dziecko przybierze rozkoszną pozę zwiniętego w kłębek aniołka. Pozwól mu przespać się w swoim łóżku, a ułoży się idealnie po przekątnej, w pozycji wymarzonej do robienia gwiazdy. Jak ktoś o wzroście niewiele przekraczającym metr i sylwetce patyka jest w stanie całkowicie wypełnić sobą małżeńskie łóżko? Oto kolejna z nierozwiązanych zagadek bycia siedmiolatkiem.

10) W urodziny i Wigilię otworzy prezent najdziwaczniejszy z możliwych - trzymetrową dmuchaną kaczkę, model National Gallery wykonany z zapalek, zestaw do przygotowania przyjęcia w stylu japońskim - i powita

go rozbijając szczerymi słowami: „To jest dokładnie to, czego potrzebo-  
wałem”.

11)Istnieje tyle powodów, by wymknąć się z łóżka, ile minut mijających pomiędzy położeniem się spać o 21 a momentem zaśnięcia o 22. Ochota na szklankę wody, duchy, jeszcze większa ochota na wodę, hałasy za oknem, pod kocem, potrzeba wypicia trzeciej szklanki wody, za zimno pod kocem, niewygodna poduszka i - tak! - pięć spacerów do toalety na skutek wyżłopa-nia zbyt dużej ilości wody.

12)Każdy dzień to nowa przygoda, a żaden z nich nie powinien przypominać poprzedniego. Zamek z rakiетки do ping-ponga i patyczków po lodach, gliniany dzbanuszek, własny kawałek ogródka, makieta zbudowana z klocków Lego i wysuszonej trawy, skrytka dla żaby, jeśli kiedykolwiek będzie mieć takie zwierzątko. Gdyby tylko entuzjazm siedmiolatka trwał dłużej niż jeden dzień, nasz dom nie byłby pełen świeżo rozpoczętych zamków, dzbanuszków, ogródków, makiet i skrytek. Lecz gdy ten moment nadejdzie, wówczas sznurówki przestaną się rozwiązywać. A nasz bohater nie będzie miał już siedmiu lat.

## **Dziewczyńskie spodnie**

Praktykantka w sklepie odzieżowym Jay Jay's Jeans mierzyła mnie wzrokiem, próbując zgadnąć, czy mam w sobie dość testosteronu, by udźwignąć jej śmiałą propozycję. Sposób, w jaki stałem przed nią, a może raczej widok mojej pupy opiętej parą lewisów 501 s, pomógł jej w podjęciu tego ryzyka.

- Mógłby pan kupić te spodnie - mówi - ale mamy dokładnie taki sam model, tyle że tańszy o sześćdziesiąt dolarów.

- Dokładnie taki sam?

- Tak, dokładnie taki sam, tylko że jest to model dla p a ń .

Na samą myśl o tym, że przecież przez całe swoje życie próbowałem się wślizgnąć w damskie spodnie, oblewam się rumieńcem. Damskie lewisy kosztowały trzydzieści trzy dolary, podczas gdy te dla facetów - aż dzie-

wiećdziesiąt dziewięć. Stałem przed dramatycznym wyborem pomiędzy własną tożsamością - wpisaną w historię osiągnięć dokonanych przez męską część populacji - a zaoszczędzeniem sześćdziesięciu sześciu dolarów. Oczywiście wybrałem pieniądze.

W życiu każdego faceta nadchodzi moment, gdy odczuwa pokusę włożenia damskich ciuszków. Mój właśnie nadszedł. Wszedłem do przebieralni i wskoczyłem w spodnie. Były skrojone nieco inaczej, ale kto zauważy różnicę? Ważne, że były o w i e l e tańsze.

Wszedłem z przymierzalni i zaprezentowałem dzinsy. Podobały się obu sprzedawczyniom.

- Tak naprawdę wygląda w nich pan lepiej niż w męskim modelu - stwierdziła młodsza z nich, jednak odebrałem jej entuzjazm jako zbędny.

- To prawda - odezwała się druga. - Na niektórych mężczyznach damski fason leży po prostu świetnie.

I nawet wiedziałem, na których. Tych z biodrami stworzonymi do rodzenia dzieci.

Wsiadłem do samochodu, gdzie już czekali na mnie dzieciaki i Jokasta. Wciąż lekko zawstydzony i niepewny wyszeptalem całą historię wprost do ucha ukochanej, powiedziałem jej o różnicy w cenie, kroju i wreszcie opinii obu sprzedawczyń.

Jokasta zareagowała z właściwą sobie powściągliwością i wrażliwością, czego zresztą powinienem się spodziewać.

- Hej! - zawołała do dzieciaków, klepiąc się w udo. - Spójrzcie na tatę w jego nowych dziewczynskich spodniach.

Zastanawiam się, czy wiecie, co to znaczy mieć dziecko wkraczające w okres dojrzewania. Bo jeśli nie, to nie jesteście sobie w stanie wyobrazić, jak zabawny może być dla niego widok własnego ojca w damskich spodniach. Uwierzcie mi jednak na słowo, że bardzo zabawny.

Znajdowaliśmy się więc wszyscy w samochodzie. Ja w swoich tanich damskich dzinsach, Jokasta tak usilnie starająca się nie roześmiać, że opluła

przednią szybę, i Batboy zwijający się ze śmiechu na tylnym siedzeniu, wysławiający: „Dziewczyńskie spodnie, dziewczynskie spodnie”.

Batboy ma jednak duszę komedianta i doskonale wie, jak ważne jest wycucie odpowiedniego momentu. Uspokaja się więc i czeka; czai się aż do chwili, gdy po powrocie do domu mijamy się w korytarzu, i wtedy szczerzy zęby w uśmiechu, krzycząc:

-Cześć, dziewczynko!

W tym momencie staje się dla mnie jasne; powinienem pójść w ślady swoich kolegów i zaprzestać w wieku szesnastu lat eksperymentowania z wkładaniem kobiecych ciuchów. Niezależnie od zaoszczędzonych pieniędzy te dzinsy są przeklęte.

Wkładam je ponownie na niedzielne barbecue. Jakaścicie wystarczyło zaledwie kilka minut, by podzielić się nowiną z gośćmi, i teraz wszystkie kobiety chcą poznać rozmiar noszonych przeze mnie damskich dzinsów. Podaję im go więc i wtedy kończą się szyderstwa z moich „dziewczyńskich” dzinsów. Od tej pory wszyscy żartują z tego, że noszę „dzinsy dla grubych bab”.

W poniedziałek muszę włożyć je do pracy. Wydaje się to najrozsądniejszym rozwiązaniem, ponieważ muszę jeszcze pojechać z Kosmicznym Kadetem autobusem do szkoły. Czy uda mi się jednak przełamać klątwę dzinsów dla grubasek?

Choć znajdujemy się w autobusie od zaledwie dziesięciu minut, Kosmicznemu Kadetowi udaje się rozpracować zakrętkę butelki z napojem. Radośnie wylewa mi jej zawartość na krocze. Nie wyglądam już jak pulchna dziewczyna jadąca autobusem, wyglądam jak jadąca autobusem pulchna dziewczyna dotknięta nietrzymaniem moczu.

Plama wygląda strasznie: wielki ciemny placek rozciąga się od linii brzucha aż do połowy długości moich ud, a jednak kiedy przekraczam szkolną bramę, nikt nie zwraca na to uwagi. Inni rodzice spotkali się już z syndromem zalanych sokiem nóg, podobnie jak widzieli kołnierz z vegemite, ramiona w maśle orzechowym i pupę w okruchach zbożowego ciasteczka.

W pracy, dla odmiany, wszyscy się gapią. Dostaję wiadomość, że mam się stawić w gabinecie szefa, stoję więc przed nim w swoich dziewczynskich dzinsach, zasłaniając krocze egzemplarzem „Biuletynu”, i omawiamy moje dzisiejsze obowiązki. Dostrzegam, że przełożony wpatruje się w moje przemoczone spodnie - myśli pewnie: „Kto powierzemy mu kontrolę nad czymkolwiek, jeśli nie jest w stanie kontrolować własnego układu moczowego?”

Wreszcie dzinsy są suche. Odbieram Kosmicznego Kadeta ze świetlicy i wracam do domu, swoich bliskich i rodzinnego ogniska.

- Cześć, dziewczynko - mówi Batboy, szczerząc zęby w uśmiechu.
- Cześć, dziewczynko - mówi Jokasta, dając mi całusa. Dziewczynka wróciła do domu.

TLR



## ROZDZIAŁ 3

---

*Jokasta uznała, że w dyskusji na temat mojego problemu alkoholowego powinna wziąć udział jeszcze jedna osoba - Simon. Cóż, Simon to naprawdę miły gość... ale poza tym jest lekarzem.*

### **Magnes na Kobiety**

Sposób, w jaki wychowali mnie rodzice, zapewnił mi wiele korzyści w dorosłym życiu. Główną spośród nich jest niepodważalne wytłumaczenie, dlaczego nagle się załamię i stanę psychopatycznym szaleńcem (o ile czeka mnie taki właśnie los]. Przyczyny takiego obrotu sprawy są zbyt liczne, by je tu wymieniać, przynajmniej dopóki sędzia tego wyraźnie nie zażąda przed ogłoszeniem wyroku. Na pewno jednak warto wspomnieć o tapecie w moim dziecięcym pokoju.

Podczas gdy dla rodziców większości ośmiolatków urządzenie chłopięcego pokoju oznacza kupienie czterech litrów niebieskiej farby i lampki nocnej, moi podjęli decyzję o zakupie fototapety. Konkretnie była to tapeta przedstawiająca Jamesa Bonda oraz powtarzający się motyw sportowego samochodu, lśniącego rewolweru, kilku dość realistycznie wyglądających otworów po kulach oraz grupy półnagich kobiet, prawdopodobnie złych sowieckich szpiegów.

Biorąc pod uwagę mój ówczesny rozwój psychiczny i seksualny, trudno ocenić, jak duży był wpływ tapety w bondowski wzorek, lecz muszę przyznać się do powracającego jak bumerang snu, w którym padałem ofiarą brutalnego mordy dokonywanego przez własną tapetę. I wciąż, lata później, ogarnia mnie dziwny niepokój, gdy tylko znajdę się w większej grupie, szczególnie złożonej z półnagich kobiet z rosyjskim akcentem.





Później przekonujemy się, że para szczęśliwych gatek gra pierwsze skrzypce nie tylko w przypadku młodzieńczych randek, ale w każdym istotnym momencie naszego życia:

- a) szczęśliwe gatki do rozmów o podwyżce,
- b) szczęśliwe gatki do publicznych występów i wreszcie
- c) szczęśliwe gatki do zaliczania egzaminów.

Niewypowiedziane na głos pytanie brzmi: dlaczego facet, którego szczęśliwym kolorem jest czerwony - tak jak to jest w większości przypadków - nie kupi sobie po prostu dwóch tuzinów czerwonych bokserek, by zawsze mieć na sobie swoją szczęśliwą parę? Odpowiedź brzmi (a raczej cichutko mruczy, bo wypowiadam ją szeptem): bo wtedy straciłyby swoją magiczną moc, właśnie dlatego. Szczęśliwe gatki to delikatny instrument - muszą poleżeć dostatecznie długo w szufladzie, by zgromadzić wystarczającą ilość energii i pomóc nam, gdy będziemy tego naprawdę potrzebowali.

Rzecz jasna nie chodzi wyłącznie o kolor, lecz także o dopasowanie - a jest to cecha tak subtelna, że nie można jej kupić hurtem, lecz jedynie cieszyć się, gdy uda nam się trafić na właściwą parę, która nie będzie ani zbyt luźna, ani zbyt obcisła i będzie odpowiednio wyprofilowana, by dawać poczucie bezpieczeństwa i komfortu.

Mimo to magiczne gatki nigdy nie dawały stuprocentowej gwarancji sukcesu, dlatego też byliśmy zmuszeni do desperackich prób z innymi potencjalnymi Magnesami na Kobiety - podejmowaliśmy ryzyko wkładania poliestrowych podkoszulków, zapuszczania włosów do ramion, a nawet kolekcjonowania płyt Joni Mitchell.

To były jednak zaledwie początki prac nad odkryciem Magnesu. Wielu młodych mężczyzn wystawiło się na działanie tych przedmiotów i poległo - znane są przypadki uduszenia na skutek zaciągnięcia się zapachem własnych pach po włożeniu feralnego podkoszulka czy nieodwracalnych uszkodzeń, powstałych zarówno u kobiet, jak i mężczyzn narażonych na

kontakt z (teraz już wiemy, że morderczymi) dźwiękami wydawanymi przez Joni Mitchell.

Gdybym tylko jako ośmiolatek miał dość odwagi, by przeciwstawić się własnym rodzicom i zacytować słowa wypowiedziane przez Oscara Wilde'a na łożu śmierci: „Albo ta tapeta, albo ja, jedno z nas musi odejść”.

## **Simon mówi**

- Gdybyś pił trochę mniej, miałbyś szansę nieco bardziej przypominać Simona - stwierdza Jokasta otwarcie i bez ogródek, pozwalając, by to zdanie ułożyło się idealnie pomiędzy nami.

Simon, który zaprosił nas na weekend, jest w kuchni, tuż za ścianą, przygotowuje musli i radośnie przy tym podśpiewuje. Za każdym razem gdy uderza w wyższy ton, przypomina to cios nożem w sam środek mojego kaca.

Simon to mój przyjaciel z dawnych lat. Byliśmy kumplami od naszych dwunastych urodzin. A szkolni kumple są naprawdę ważni w życiu każdego faceta. Świetni do opowiadania historyjek, nabijania się z dawnych czasów, powierzania sekretów. Znacznie mniej przydatni, gdy twoja partnerka zaczyna używać ich jako punktu odniesienia do wytknięcia ci, w jakim stadium rozkładu znajduje się w danym momencie twój organizm.

- Simon wygląda tak dobrze - mówi Jokasta, drążąc swój ulubiony temat. - Cóż, właściwie to wygląda ś w i e t-n i e. Jego twarz jest taka świeża. I ma w sobie tyle radości o poranku.

W pomieszczeniu obok Simon uderza w wyjątkowo wysoki ton w swojej autorskiej wersji *Jak dobrze wstać skoro świt*, wywołując pewien rodzaj burzy elektrycznej w zakończeniach nerwowych mojego mózgu.

- Spójrz tylko na niego - ciągnie Jokasta, wykonując dłonią nieokreślony ruch w kierunku kuchni, jak gdyby urok Simona był na tyle duży, by mógł zostać zauważony nawet przez ścianę z podwójnej warstwy cegieł. -

On nie wygląda rano jak łajza. Nie czuje się zmęczony samym faktem otworzenia oczu. A wszystko to dlatego, że ma rozsądne podejście do alkoholu.

Z mojej piersi wyrywa się westchnienie. Zostałem zaatakowany, i to właśnie w momencie kiedy jakakolwiek szansa, by się obronić i przypuścić kontratak, została mi brutalnie odebrana przez nadużycie alkoholu.

Nie może być nic gorszego, myślę. Ale jak się okazuje, wcale nie mam racji.

Jokasta decyduje, że w dyskusji na temat mojego problemu alkoholowego powinna wziąć udział jeszcze jedna osoba - Simon. Cóż, Simon to naprawdę miły gość i było cudownie odwiedzić go w wakacje i poznać przepis na szczególnie pożywne musli... ale poza tym jest lekarzem.

Kiedy więc Jokasta prowadzi nas oboje do kuchni i pyta Simona, czy uważa, że jego stary przyjaciel pije za dużo, ten odpowiada:

- Tak, myślę, że zdecydowanie powinien się ograniczać - przerywa, żeby dosypać kolejną garść organicznych płatków do musli. - Nie może przekraczać liczby czterech standardowych drinków dziennie. I oczywiście co tydzień powinien zachowywać pełną abstynencję przez dwa dni.

Wrzuca garść suszonych moreli, po czym kontynuuje:

- Rzecz jasna musicie być świadomi, że mogły już nastąpić pewne nieodwracalne zmiany w jego mózgu.

I to jest właśnie kłopot wynikający z posiadania przyjaciela, który skończył jako lekarz. W jednej chwili obaj macie po piętnaście lat i upijacie się do nieprzytomności wódką marki Smirnoff pociaganą z piersiówki podczas kradzieży samochodu twoich rodziców. W następnej obaj zbliżacie się do czterdziestki, a on robi ci wykład. I to najczęściej na temat kondycji twojej prostaty.

Jokasta czuje, że zbliża się długo wyczekiwany przez nią moment triumfu. „Chcę zobaczyć, jak tu i teraz przyznajesz się przed Simonem, że masz problem z piciem”.

Przez moment zastanawiam się, czy nie jest to najlepsze rozwiązanie, lecz szybko biorę się w garść. Przyznanie się do tego stałoby w jawnej sprzeczności z „kodeksem kłótni małżeńskich”, którego najważniejszy punkt brzmi: „Nigdy nie przyznawaj się do niczego” (jak w zdaniu: „Wcale nie byłem pijany, po prostu jedzenie u twojej siostry podrażniło florę bakteryjną mojego wrażliwego żołądka”).

Najważniejsze jest to, by nie pozwolić jakimś tam faktom odebrać ci zwycięstwa. Zwłaszcza że zgodnie z „kodeksem” obie strony konfliktu mają prawo odwoływać się do kontrowersyjnych faktów z zamierzchłej przeszłości (tak jak w odpowiedzi: „Może i piję za dużo, ale przynajmniej potrafię wycofać samochód, nie rozjeżdżając przy tym kota sąsiadów”).

Tym razem jednak Jokasta łamie zasady gry. Nie dba o zdobywanie punktów. Nie krzyczy. Nie zaprzęta sobie głowy zwróceniem mi uwagi, że w 1979 roku to jednak była wina kota. Zamiast tego przybiera najbardziej przerażający z dostępnych jej tonów: ton współczującej (chlip) troski.

- Dorobisz się nieodwracalnych zmian w mózgu - mówi Jokasta, ciepło, z oczami wypełnionymi smutkiem - a ja będę musiała dalej z tobą żyć... obserwując, jak twój stan dzień po dniu się pogarsza. To będzie takie okropne.

Piję tylko o ciu pin kę więcej niż Simon, a mimo to umysłowi Jokasty udało się przedstawić całą moją żalospną historię aż do chwili stoczenia się na dno.

- Utracisz jasność umysłu i zamienisz się w faceta z żyłastym czerwonym nosem, śmierdzącego whisky nawet przed śniadaniem.

Głos Jokasty załamuje się w momencie, gdy zaczyna opowiadać o kolejnych stadiach mojego upadku - atakach, grobowym wyrazie twarzy doktorów, decyzji o zabranii mnie z domu - tutaj dochodzimy do rozdzierającej sceny, w której Batboy i Kosmiczny Kadet odwiedzają mnie w ośrodku odwykowym, wchodzą do baraku, w którym mieszkam z drugim facetem gdzie obaj codziennie śpimy na pryczach i drepczemy spod prysznic owinięci szorstkimi, wążiutkimi ręcznikami.

- Postaram się zachować w pamięci obraz faceta, jakim byłeś, zanim sprawy przybrały tak fatalny obrót - szłocha Jokasta.

Nawet Simonowi zajętemu polerowaniem pojemnika na musli coraz trudniej zachować powagę.

Wiedziałem, że nadszedł ten moment. Jeden jedyny raz zamierzałem złamać uświęconą przysięgę dotyczącą małżeńskich kłótni. Postanowiłem przyznać się do winy.

Tego ranka przyrzekłem więc Jokaście, że się poprawię. Wszystko, byle tylko uniknąć jej obrazowych opisów.

## **Więcej w pasie, mniej na liczniku**

Wszyscy wiemy, ile wyzwań niosą ze sobą czterdzieste urodziny. Lecz kiedy zbliżają się moje, nie muszę szukać potwierdzenia w metryce. W ciągu tygodni poprzedzających to wydarzenie zaobserwowałem czterdzieści powodów, dla których jestem pewien, że stuknęła mi czterdziestka.

1) Zorientowałem się, że nie myślę już o seksie na okrągło, tylko co 12,7 sekundy.

2) Zacząłem kupować odtłuszczone mleko.

3) Głównym kryterium wyboru filmu przestały być dla mnie nazwisko reżysera, scenarzysty czy gwiazdorska obsada, lecz to, w którym kinie są najwygodniejsze siedzenia.

4) Po raz pierwszy od piątych urodzin mój wiek i rozmiar spodni stały się alarmująco do siebie zbliżone.

5) Teraz nie tylko policjanci wyglądają na młodszych ode mnie - nawet nowy rzecznik Związku Emerytów i Rencistów wygląda przy mnie jak młodzieniaszek.

6) Przyłapuję się na wygłaszaniu słów: „ta dzisiejsza młodzież...”.

7) Będąc w ogrodzie przyjaciela, odkrywam, że w jakiś magiczny sposób dysponuję wiedzą, iż roślina rosnąca w żywopłocie z lewej to rokitnik, z prawej - paproć.



8)Przeszedłem przez fazę myślenia: „Ten nasz premier to naprawdę rozsądny człowiek”.

9)Odbywam żarliwe dyskusje z przyjaciółmi na temat ich szafek kuchennych.

10)Przerzucam się na ser w wersji *light*.

11)Dzwonię do firmy meblarskiej i zamawiam katalog z szafkami kuchennymi.

12)Zauważam, że stacje radiowe z muzyką lekką, łatwą i przyjemną nagle znacznie się poprawiły i grają „hity na czasie”.

13)To samo zaczynam sądzić o Village People.

14)Zaczynam kupować herbatniki w wersji *light*.

15)Przestaję wkładać koszulę w spodnie, pozwalając jej swobodnie wisieć w nadziei, że ktoś może uznać mój brzuch za kłęb materiału. Zdaję sobie sprawę, że dzieli mnie tylko krok od noszenia tunik.

16)Otrzymuję katalog z szafkami kuchennymi i zabieram go do łóżka zamiast powieści.

17)Zaczynam kupować odtłuszczoną szynkę.

18)Odkrywam, że wreszcie udało mi się zapomnieć wszystko, czego nauczyłem się w szkole, poza gradientem adiabatycznym (3,3 stopnia co tysiąc stóp) oraz faktem, że rudowłosi zawsze uciekają się do nieczystych zagrań podczas bójek.

19)Zdałem sobie sprawę, że w ciągu minionego miesiąca pomalowałem cztery różne obiekty farbą o odcieniu zgniłozielonym.

20)Odkryłem, że bezczelny dzieciak ganiający po przychodni to lekarz we własnej osobie.

21)Że c o on zamierza mi zrobić?

22)Kupuję podręcznik na temat kompostowania.

23)Osiągam fazę myślenia: „Muszę sobie kupić teczkę i wreszcie zacząć trzymać wszystkie gwarancje i rachunki w jednym miejscu”.



**24)**Wpadam we wściekłość, jeśli przegapię start wiadomości o siódmej-Tjakby od stopnia mojego doinformowania zależało bezpieczeństwo narodowe.

**25)**Irytuje się, kiedy ktoś użyje słowa „bezstronny”, mając na myśli „postronny”.

**26)**Batboy jest ode mnie lepszy w tenisa.

**27)**Do problemu dźwigania ciężkich rzeczy podczas prac w domu nie podchodzę już z myślą, ile muszę sobie i innym udowodnić, ale ile kilogramów powinienem zrzucić.

**28)**Batboy biega szybciej ode mnie.

**29)**Staję się bardziej cierpliwy. I czasami zdarza mi się na coś cierpieć.

**30)**Skręt przestaje mi się kojarzyć z czymś przyjemnym, a zaczyna - z bólem kręgosłupa.

**31)**Zacząłem kupować odtłuszczone lody.

**32)**Z niepokojem zauważam, że ktoś wydrukował informacje na opakowaniu panadolu mniejszą niż zazwyczaj czcionką.

**33)**Dzwonią do mnie z firmy produkującej szafki kuchenne, a ja wybieram jeden z tańszych laminatów zamiast - jak do tej pory - najtańszego.

**34)**Włączam się do dyskusji politycznych słowami: „Myślę, że jest sporo prawdy w tym, co mówisz”, i naprawdę tak sędzę.

**35)**Kupuję dżem bez dodatku cukru.

**36)**Mecz piłki nożnej powoduje u mnie całkowitą niezdolność chodzenia przynajmniej do następnych Mistrzostw Świata.

**37)**Mój roczny rachunek za dentystę po raz pierwszy przekracza sumę wydaną przeze mnie na ubrania i płyty.

**38)**Opisuję sześćdziesięcioletniego przyjaciela jako „faceta w średnim wieku”.

39) Przywożą szafki razem z instrukcją, jak powinniśmy o nie dbać. Zabieram ją do przeczytania w łóżku, ale zasypiam przed doczytaniem pierwszej strony.

40) Zastanawiam się nad urzędzeniem przyjęcia urodzinowego w sobotę, ale w porę przypominam sobie, że to oznacza przegapienie odcinka serialu kryminalnego. A to właśnie wtedy główny bohater ma przeprowadzić ważną rozmowę z nadkomisarzem!

## Bitwa o Fairyland

Znajdujemy się właśnie w Centrum Magii i Zabawy, a sprawy mają się coraz gorzej. Matka jubilatki stoi przy ladzie z kamiennym wyrazem twarzy i wymachuje groźnie kwitkiem.

- Jakim sposobem udało się panu zgubić tę rezerwację? - pyta mężczyznę stojącego za kontuarem.

Rachunek potwierdza, że rezerwacja została dokonana. Dokładnie na teraz. I to na całe czarodziejskie przyjęcie („Ciasto, gry i zabawy - wszystko z prawdziwą wróżką! Po prostu podrzućcie nam dzieciaki, a my zajmiemy się resztą!").

Co więcej, kwit, którym matka wymachuje, wykonując przy tym serię gniewnych ruchów, potwierdza, że w przyjęciu weźmie udział piętnaście dziewczynek i jeden chłopiec.

Tym chłopcem jest Kosmiczny Kadet, który teraz stoi tuż koło mnie, a jego podejrzliwość stopniowo rośnie, gdy pokój wypełnia się spowitymi w tiul dziewczynkami przebranymi za wróżki.

Kosmiczny Kadet dla kontrastu ubrany jest w swój ulubiony wyjściowy strój: flanelową koszulę w niebieską kratę, chustę w kolorze morskim i czarne kowbojskie buty. Jego włosy zostały nażelowane w taki sposób, by jak najwierniej oddawać fryzurę jego ulubionego piosenkarza Elvisa.

Nagle fala wróżek przeciska się gniewnie w kierunku zamkniętych na cztery spusty drzwi prowadzących do magicznej groty i dochodzi do prze-

pychanki. Migoczące skrzydła gną się i wiją, tiul wiruje w szaleńczym tańcu. Gdyby wszystkie dziewczynki wypuściły w tym samym momencie powietrze, część z nich miałaby szansę naprawdę się unieść.

Wraz z upływem czasu dobry nastrój wrózek pryska. Z niepokojem myślę o tym, że lada chwila w ruch pójda ich czarodziejskie różdżki. Dreszcz przerażenia przebiega przez drobne ciało Kosmicznego Kadeta.

Tymczasem przy ladzie kierownik w dalszym ciągu próbuje wytłumaczyć przyczynę zagubienia rezerwacji. W swej naiwności postanawia wybrać najbardziej zaczepne ze wszystkich rozwiązań.

- Niech pani posłucha - zwraca się do mojej znajomej, matki jubilatki, a ja momentalnie zaczynam mu współczuć. Ostatni facet, jaki ośmielił się powiedzieć „niech pani posłucha” do Diany, piastuje obecnie stanowisko naczelnego eunucha na dworze sułtana Dubaju.

Niczego nieświadomy, brnie dalej:

- Co ja mam, pani zdaniem, zrobić? Jeśli nawet przyznam, że nawaliłem, to skąd mam wytrzasnąć tę cholerną wrózkę? I to w niedzielę o dziesiątej rano! - pozwala sobie na poufale mrugnięcie, a na jego twarzy pojawia się lubieżny uśmiezek: - Jedyne co mogę zrobić, to zamachać dla pani magiczną różdżką.

Kierownik Centrum Magii i Zabawy był przekonany, że żart jest w stanie rozładować nawet najbardziej napiętą sytuację. Czyż to nie zadziwiające, jak bardzo facet może się mylić?

Kolejna fala wrózek płynie w kierunku wejścia. Okazuje się, że są to goście drugiego przyjęcia, o którego rezerwacji kierownikowi również udało się zapomnieć. W przedsionku magicznej groty znajduje się teraz trzydzieści sześć wrózek - wszystkie spowite tiulem i z wiankami na głowach.

Trzydzieści sześć dziewczynek i Kosmiczny Kadet, który teraz siedzi z grobową miną na styropianowym muchomorze, od czasu do czasu rzucając mi oskarżycielskie spojrzenie. Pytanie „jak mogłeś mi to zrobić?” nasuwa się na myśl nieprzypadkowo.

Przy ladzie stoją już dwie wściekłe matki. I kierownik, którego oczy powoli zaczynają wypełniać się strachem. Być może nie jest w stanie zała-

twić wróżki w tak krótkim czasie, ale w tym momencie jego największym problemem jest konfrontacja z dwoma ogrami.

- Słuchaj, koleś - mówi moja znajoma, celując kwitkiem prosto w jego twarz. - Lepiej znajdź wróżkę, praw-oziwą magiczną wrozkę, i to zaraz.

- W przeciwnym razie - włącza się druga z matek, wymachując długą, spiczastą różdżką swojej córki - zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby to znikło.

Po twarzy kierownika przebiega skurcz.

- Cóż - zaczyna niepewnie - myślę, że mogę zadzwonić po Tracey.

Dotarcie na miejsce zabiera Tracey godzinę. Godzinę, podczas której trzydzieści sześć młodocianych wróżek trenuje magię zemsty na Centrum Magii i Zabawy, a Kosmiczny Kadet podejmuje rozsądną decyzję zajęcia bezpiecznej pozycji za swoim muchomorem.

Wreszcie Tracey się pojawia - i wtedy staje się jasne, dlaczego kierownik nie zdecydował się do niej zadzwonić w pierwszej kolejności. Wygląda na to, że zeszłej nocy Tracey intensywnie czarowała na swój sposób. Jak to wróżki mają/w zwyczaju, zaliczyła naprawdę magiczny i, jak można było zauważyć, sownie posypany czarodziejskim pyłkiem wieczór.

- Achhhh, dźndbry, dzieci - mówi Tracey, łypiąc na dzieciaki przekrwionymi oczami, które w magiczny sposób udało się jej otworzyć. Dziewczynki wpatrują się w nią, pełne naiwnej nadziei, lecz mętny wzrok Tracey zamiast na nich ląduje na Kosmicznym Kadecie. Fala konsternacji leniwie przelewa się po umyśle Tracey.

- A niech mnie, jeśli to nie Elvis. Chodź no tu, brachu.

Kosmiczny Kadet ześlizguje się więc ze swojego magicznego muchomora i idzie usiąść na kolanach wciąż nie mogącej do siebie Tracey, żeby wysłuchać opowieści wróżki. Tego poranka szczególnie zresztą niesamowitych.

Porównując je z innymi tego rodzaju przyjęciami, to było zdecydowanie jednym z najlepszych.

## Staruszek emu

Kosmicznemu Kadetowi po raz kolejny udało się przeciągnąć nastolatkę na swoją stronę: siedzi teraz „na barana” u naszej młodej znajomej i jest dźwigany na plażę. Razem z Batboyem i Jokastą idziemy po drugiej stronie drogi i nie mogę się powstrzymać od powiedzenia czegoś. Krzyczę więc, zaciągając południowoamerykańskim akcentem:

- Wiesz, że rozpuścisz tego dzieciaka? Rozpuścisz go na amen.

Jedyny problem polega na tym, że kiedy wykrzykuję te słowa, mijam samochód. Za kierownicą siedzi kobieta. Na tylnym siedzeniu wiezie dziecko. Okno jest otwarte. Myśli, że mówiłem do niej.

Naciskając hamulec i nie kryjąc zaskoczenia, pyta:

- Przepraszam, co pan powiedział?

Mamrocze przeprosiny. Mówiłem do mojej znajomej. O, tamtej.

Oczywiście we wskazanym przeze mnie miejscu nikogo już nie ma. Kobieta kręci głową, zaniepokojona liczbą szaleńców błakających się po ulicach od momentu wprowadzenia na naszym osiedlu polityki równych szans. A później odjeżdża. Wtedy też zauważam Batboya stojącego u mojego boku, niezdolnego do wykonania najmniejszego ruchu z powodu zażenowania.

Stoi wyprostowany, ze wzrokiem wbitym w ziemię, w bezpiecznej odległości ode mnie. Jego język ciała mówi wszystko: „Ja tylko czekam, żeby przejść na drugą stronę ulicy. Ten wrzeszczący grubas? Nigdy wcześniej go nie wi-

W końcu wszystkie dzieciaki uważają, że mają najbardziej obciachowego tatę na świecie. Ale tylko Batboy ma co do tego absolutną pewność.

Po jakimś czasie podnosi wzrok i mówi, co o mnie myśli.

- Och, tato - w jego ustach słowo rozciąga się do „ta-tooooooooooo”. Po-brzmiewają w nim żal i smutek, jakich można się spodziewać co najwy-żej na afrykańskim pogrzebie.

Powodem, dla którego idziemy na plażę, jest pokaz aborygeńskich arty-  
stów. I zgadnijcie, co się stało? W połowie przedstawienia zapraszają  
ochotników spośród publiczności do wzięcia udziału w występie. Jak zaw-  
sze skory do zabawy, dzwigan się ze swojego miejsca. Jednocześnie za-  
uwazam wyraz twarzy Batboya. Jest wstrząśnięty. Nie może uwierzyć wła-  
snym oczom. Dwa razy w ciągu jednego dnia.

Tym razem prawie płacze. „Och, tatooooooooooo”.

Jak to zwykle bywa, aborygeńskim tancerzom udaje się zwerbować tyl-  
ko dwóch ochotników. Jesteśmy więc ja i trzyletni chłopiec.

Uczą nas tańca emu, który polega na paradowaniu po plaży, potrząsaniu  
pupami i dziobaniu piasku od czasu do czasu. Kiedy już jesteśmy syci, mu-  
simy także odegrać ten charakterystyczny ruch ziarna przesuwającego się w  
dół długiego przelyku emu. Muszę przyznać, że dałem z siebie wszystko,  
by w tej roli zablysnąć. Podobnie zresztą jak rzeczony trzylatek.

Zanim udaje mi się zakończyć występ, Batboy zakrywa rękami oczy.  
Jokasta tłumaczy mu:

- Nie przejmuj się. Nikt nie wie, że to twój tata. Będziemy udawać, że  
usiadł koło nas zupełnie przypadkiem.

Oboje są odwrócenii w drugą stronę i udają, że mnie nie widzą. Nagle  
doznaję olśnienia, że jest w ich reakcji coś, co mi się podoba. I nawet  
wiem, co: czuję się tak cudownie ekscentrycznie. Oto ja: siwiejący facet z  
hipoteką na karku, a jednak w oczach własnego syna pozostający naj-  
bardziej niezwykłym dziwakiem, jakiego nosi ta ziemia.

To właśnie jest ta wspólna równość: dla każdego z naszych dzieci je-  
steśmy właśnie tym. Pępkiem świata. Najwyższą instancją. Każdy z nas za-  
sługuje na miano Najbardziej Obciachowego Rodzica Świata.

Nawyki podśpiewywania sobie podczas przechodzenia przez szkolną  
bramę. Stary, rżący podczas jazdy samochód. Tendencja do wkładania  
pozaciąganych, samodzielnie uszytych spodni na koncert z okazji zakoń-  
czenia roku szkolnego. Nie jest to nic szczególnego. Z punktu widzenia na-

szych zażenowanych dzieci są to jednak zachowania dość obciachowe, by zamienić każdego z nas w Che Guevarę przedmieść.

Wracamy do domu. Jest niedzielny wieczór. Praca domowa domaga się odrobienia. A jednak Batboy zdaje się o niej nie pamiętać.

- Idź odrobić pracę domową albo.

- Albo co? - pyta Batboy.

I nagle wpadam na genialny pomysł.

- Taniec emu. Mam wrażenie, że twoi koledzy bardzo chętnie go zobaczą. Zwłaszcza ten numer z połykaniem ziarna.

Uśmiecha się, świadomy tego, że żartuję, a potem ponownie na mnie spogląda. Myśli, że żartuję. Ale, być może, zdecyduje się jednak odrobić pracę domową. Gdy się ma za ojca niekwestionowanie najbardziej obciachowego faceta na świecie, ostrożności nigdy za wiele.

## **Prawo urlopowe**

Każdego lata, niezależnie od tego, czy wyruszasz w głąb lądu, czy na wybrzeże, pewne rzeczy pozostają niezmiennie. Oto zaledwie kilka z dziwacznych praw urlopowego życia.

1) Hotelowa restauracja połączona z kręgielnią zawsze serwuje chińszczyznę. Na czym to właściwie polega? Jaki jest związek pomiędzy toczeniem kul a południowochińską kuchnią? Dlaczego nie jest to knajpa z rodzaju tych, gdzie można samodzielnie przyrządzić stek? I w którym momencie władze Australii podpisały cyrograf skazujący wszystkich gości hotelowych na jednolitą dietę złożoną z wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym?



2) Kierownik basenu jest zawsze totalnym skurczybykiem. Dajcie facetowi megafon, gwizdek, skażcie go na długotrwałe przebywanie w towarzystwie setek małych dzieci i... sami wpadnijcie na to, jaki będzie efekt. Chociaż trzeba przyznać, że stopień przejrzystości wody w ogromnym stopniu zależy od faszystowskich inklinacji kierownika basenu.

3) Właściciel lokalnego sklepu mięsnego jest zawsze zabawny i przyjacielski, niezależnie od tego, czy w małym, czy w dużym mieście, w głębi łądu czy na wybrzeżu. Kto zna powód, dla którego tak się dzieje? Czy chodzi o hormony zawarte w wołowinie? Czy raczej o to, że tylko właściciel dysponuje wiedzą na temat ilości polepszaczy dodanych do jego kiełbas?

4) Nie istnieje ani jedno miasto w Australii, które nie szczyciłoby się zdobyciem tytułu zwycięzcy corocznego konkursu na najbardziej zadbane miasto w kraju. Podobnie jak nie istnieją u nas puby, które nie byłyby „historyczne”.

5) Trzydzieści procent każdego urlopu traci się na poszukiwanie kremu do opalania. Niezależnie od długości urlopu zabierz dziesięć tubek. Zapelnij nimi bagażnik. Drugiego dnia zorientujesz się, że zapas zniknął. Podobnie jak szczoteczki do zębów. Ewentualnie twój ulubiony miś. Lub też kluczyki do samochodu.

6) Rozmiar basenu w hotelu jest odwrotnie proporcjonalny do rozmiarów szyldu go reklamującego. Podobnie jak rozmiar porcji w hotelowej restauracji jest odwrotnie proporcjonalny do liczby przymiotników opisujących potrawy w menu.

7) Asfalt ustępuje miejsca błotowi dokładnie w punkcie minięcia siedziby lokalnych władz.

8) Każde miasto marzy o sławie. Dlatego też istnieją dwa wjazdy do Parku Narodowego Warrumbungles, trzy stolice uprawy australijskiej słodkiej kukurydzy, dziesięć miast, w których rośnie najwyższe drzewo w kraju, a nawet udało nam się odwiedzić - jadąc na zachód, nad wielką niecką artezyjską - miasto z największym otworem wiertniczym świata. To, czego wciąż nam brakuje, to nowa generacja tablic w rodzaju: „Witajcie w Zwyczajnościach - miejscu roszcującym sobie najbardziej nieuzasadnione pretensje do bycia wyjątkowym”.

9) Namiot nigdy nie zmieści się z powrotem do pokrowca. Mleko zawsze się rozleje, gdy postawisz je na podłodze namiotu. Pod każdym śledziem nieuchronnie znajdzie się kamień. Pod twoim śpiworem na pewno przepływa żyła wodna. I tak dalej.

10) Szansa na zjedzenie ryby zmniejsza się z każdym kilometrem, z którym przybliżasz się do wybrzeża. Kupiliśmy pyszną flądę w Tamworth, a później spędziliśmy tydzień nad morzem, żywiąc się hamburgerami wołowymi (przywiezionymi prawdopodobnie z terenów równinnych). Kto jeździ po całym kraju, w momencie gdy jego jedzenie już zdążyło to zrobić?

11) Im brudniej w przydrożnym zajeździe, tym lepsze serwowane w nim hamburgery.

12) Im bardziej poetycka nazwa miasteczka, tym jest ono posepniejsze. W każde wakacje wędrujemy palcem po mapie, oczarowani pięknie brzmiącymi nazwami: Windy Glen, Sassafras, River Bend. I wszystkie te miejscowości są brzydkie jak noc. Albo wcale nie istnieją. Dla kontrastu naprawdę piękne miejsca kryją się pod szkaradnymi nazwami, takimi jak Coalmine czy Abattoirville. Weźmy przykład najpiękniejszego wodospadu w Sydney, nazwanego Pittwater. Skoro nikt nie wysilił się, by wymyślić lepszą nazwę, czemu nie przestano na Pitce?

13) Kartografowie przygotowujący mapy Australii mają niezwykle wybujałą fantazję. Wystarczy wspomnieć nieistniejące w rzeczywistości miasta, oznaczone na mapie dużą kropką. Wielkie rzeki, suche od lat, oznaczone na mapie kolorem błękitnym. I wreszcie atrakcje turystyczne, które były atrakcyjne w późnych latach pięćdziesiątych.

14) Im dalej wyjeżdżasz na wakacje, tym większe prawdopodobieństwo rozłożenia ręcznika plażowego lub zaparkowania samochodu obok znajomej osoby. W moim przypadku chodzi o szefową. Jeśli mam być szczery, liczyłem na to, że nikt poza moją rodziną nie będzie oglądał na mnie różowej, kupionej może zbyt pochopnie, koszulki. „Tylko jedno zdjęcie, na naszą biurową tablicę ogłoszeń” - powiedziała szefowa, sięgając po aparat.

## Do pracy by się szło...

Pierwszy dzień po powrocie z urlopu uzmysławia ci, jak to wszystko jest bezmyślnie urządzone. Cały biurowy dryl. Kto w ogóle wymyślił te reguły? Kto zdecydował, że należy pracować, gdy jest się w pracy? Podczas urlopu organizm odzwyczajają się od tego rodzaju upokarzających czynności, a duch wreszcie może rozpostrzeć skrzydła. Niestety, ponownie trzeba wrócić do kieratu. Co gorsza, rozleniwione ciało z trudem znosi wykonywanie kolejnych okrążeń. Spójrzmy prawdzie w oczy: to najzwyczajniej w świecie boli.

Zilustrujmy to przykładem:

**6.30:** Słyszę dźwięk budzika. To nie może być prawda. Czuję się okropnie. Armia niewidzialnych potworów z upodobaniem dźga miniaturowymi szpilkami moje gałki oczne. Podniebienie przypomina w dotyku paździerz zdarty ze ścian lokalnego Domu Seniora.

Udaje mi się sprytnie przemycić dźwięk dzwonka do fabuły snu. Znajduję się właśnie wewnątrz płonącego budynku, ogłuszony alarmem przeciwpożarowym. Płomienie zaczynają konsumować kolejne warstwy mojej skóry - już dawno zdążyły strawić moje włosy, a przed sekundą doszło do eksplozji jąder. Co prawda jest to potwornie bolesne, ale w dalszym ciągu lepsze od obudzenia się.

**6.40:** Budzik dzwoni po raz drugi. Wyczołguję się z łóżka i usiłuję zebrać myśli. Dzień, który właśnie się rozpoczął, nie będzie miał nic wspólnego z pływaniem, grą w tenisa, objaniem się i czytaniem książek. Kilka ziarenek piasku leżących na podłodze obok pary sandałów śmieje mi się w żywe oczy. Ha, ha, ha.

**6.45:** Zaczynam się niechętnie ubierać. Nie mogę pojąć, kto wymyślił ten strój. Czarne spodnie w kant, biała koszula i krawat - odpowiednik tabliczki z numerem przypisanym każdemu pracownikowi. Moje ciało najlepiej czuje się w zestawie urlopowym: podkoszulku w rozmiarze XXL i szortach. Brzuch mógł w nim swobodnie zwisać. A stopy salutowały słońcu z wysokości moich gumowych niebieskich kłapek.

Właśnie okręcam krawat wokół szyi i zaciskam do momentu, gdy uczucie dyskomfortu wciąż jeszcze można nazwać „znośnym”. Doskonale. Trudno nie zauważyć podobieństwa do pętli zakładanej sobie na szyję przez samobójcę - zwisającej na tyle swobodnie, by szef mógł ją w każdej chwili uchwycić. Cała armia zmierzających do pracy potępieńców, każdy ze swoją pętlą. Dzięki Bogu, wciąż jeszcze mamy prawo wybrać jej kolor, w przeciwieństwie do wielu sytuacji, w których nawet to prawo jest nam odebrane. Moja jest szpanersko żółta, a twoja?

**6.55:** Jem śniadanie, stojąc nad zlewozmywakiem. Pomiedzy kolejnymi kęsami wbiegam do pokoju starszego syna i usiłuję go obudzić, wykorzystując wypróbowaną już wielokrotnie, skuteczną metodę krzyków i kłapsów. Wracam do zlewu po kolejną łyżkę wodnistych płatków, krzyczę na syna, ładuję naczynia do zmywarki, połykam jeszcze trochę płatków, wrzeszczę na syna, pakuję teczkę, a potem jeszcze przez chwilę się wydzieiram. Jeszcze ze dwie godzinki i będę miał pewność, że przynajmniej jeden z nas jest w pełni przytomny.

**7.05:** Golę się nad umywalką. O co w tym właściwie chodzi? Czyżby o to, że mężczyzna musi pozbyć się wszystkich widocznych oznak męskości przed wejściem do biura? Przesuwam maszynkę po skwaszonej twarzy, przekonany, że jest to metafora kastracji - pracownik udowadnia w ten sposób swoją uległość i pokorę. Z roztargnienia zacinam się okrągłe pięć razy.

**8.15:** Opuszczam dom, wyglądając jak siedem nieszczęść, i z piskiem opon pakuję się w najbliższy korek. Tego ranka zabiera mi dwadzieścia minut, żeby przejechać jeden kwartał i kolejnych czterdzieści, żeby dostać się do centrum.

**9.15:** Pędzę do swojego biurka. W związku z miesięczną nieobecnością w mojej skrzynce tkwi sto siedemdziesiąt sześć e-maili, niemal wszystkie dotyczące problemu z klimatyzacją w filii biura w Adelajdzie. W ramach zemsty wysyłam pod wszystkie dostępne mi adresy pracowników biura w Adelajdzie swoją opinię na temat sposobów pozbywania się zbędnego owłosienia z nosa.

**10.05:** Hasło w moim komputerze wygasło, a ja nie pamiętam, jak uruchomić pocztę głosową. Rozwiązanie obu tych problemów pochłania czterdzieści minut. Decyduję się na ostateczny skok na łono Abrahama, lecz

wtedy odkrywam, że okna są na stałe zaśrubowane. To tylko potwierdza moją teorię o istnieniu osób, które próbowały to zrobić przede mną.

**10.45:** Czeka mnie spotkanie z zarządem, podczas którego najważniejszym punktem będzie „taktyka firmy”. Słowo „udogodnienia” na pewno też się podczas niego przewinie. Musi istnieć w tej firmie przynajmniej jedno okno z poluzowanymi śrubami...

**13.05:** Stoję w niekończącej się kolejce po kanapkę, by móc sobie kupić coś niskokalorycznego i pozbawionego smaku. „Wakacje przecież się skończyły”.

**13.30:** Schodzę w dół i kupuję sobie trzy czekoladowe batoniki dla poprawienia nastroju. „Wakacje przecież się skończyły”.

**14.00-18.00:** Wykonuję prawdziwą pracę. Podejmuję decyzje. Wspominam urlop, kiedy to jedyną decyzją, jaką musiałem powziąć, było: czy powinienem wypić po obiedzie drugie piwo? (Tak na marginesie, musicie wiedzieć, że „nie” jest jedyną rozsądną odpowiedzią na to pytanie).

**18.45:** Z piskiem opon ląduję w korku, a potem siedzę i obserwuję, jak płynie czas. Mijają całe dni, nim przedostają się nieco w głąb ładu, kolejne rządy są wybierane i obalane, lodowce topią się i zamarzają ponownie.

**19.30:** Zapadam w sen. Kark staje się coraz bardziej napięty i niedługo będzie idealnie pasował do kieratu, organizm zapomni, że istnieje jakaś inna pozycja. Kolejny urlop już za jedenaście miesięcy.

## ROZDZIAŁ 4

---

*Właściwie to sama jestem trochę chora - stwierdza następnego dnia Jokasta, leżąc na brzuchu na samym środku przedpokoju i pojękując. - To przypomina poród, jakieś osiem dziesiątych bólu, który się wtedy odczuwa. Wygląda na to, że sama będę potrzebować odrobiny opieki.*

### **Specjalna troska**

Tym razem Jokasta przeszła samą siebie - spójrzcie, jak wślizguje się do mojego pokoju z talerzem zupy (z własnoręcznie otworzonej puszki) i armią tostów, które, jak twierdzi, „pomogą jej żołnierzycowi zwalczyć zdradzieckie wirusy”. Wszystko to schludnie ułożyła na tacy, a nawet ozdobiła kwiatkiem - co prawda dość mizernie wyglądającą stokrotką włożoną do słoiczka po vegemite. Wszystko to było tak niepodobne do Jokasty, że zacząłem się martwić. Być może byłem bardziej chory, niż mi się wydawało.

Prośba o ugotowanie mi zupy jest zazwyczaj kwitowana przez nią pustym śmiechem oraz ciśnięciem we mnie książką kucharską. Dzieci wykształciły już w sobie odruch kulenia się za każdym razem, gdy proszą kogoś z nas o coś do jedzenia.

Lecz tym razem Jokasta krząta się wokół mojego łóżka niczym troskliwa pielęgniarka z serialu, pochylając się nade mną ze swoim zdolnym do postawienia umarłego na nogi biustem i łagodnym uśmiechem na twarzy. Być może choroba pozbawiła mnie tchu i odebrała jasność umysłu, lecz jednocześnie podarowała Jokaście potulność baranka. To się nazywa wirus!



Większość kobiet staje się bezradna w obliczu bladego, chorego faceta. Jest to zjawisko absolutnie niesamowite i prawdopodobnie dlatego kolejne pokolenia mężczyzn robią wszystko, by zobaczyć ich reakcję na własne oczy. Niektórzy wykorzystują do tego celu oczy jelonka Bambiego (szeroko otwarte, błagalne, zranione). To żalosne, że trzeba się uciekać do tak niecznych środków, by zasłużyć na odrobinę współczucia. Czasami jednak nie ma innego wyjścia.

Moja matka dla odmiany obstaje przy teorii, że choroba jest zawsze oznaką moralnego upadku i niewłaściwego zachowania, w związku z czym nie zasługuje na współczucie, o pielęgnacji chorego nie wspominając.

Spróbujcie jej powiedzieć, że poszliście do lekarza, który na dodatek stwierdził, że jest to coś poważnego, a zobaczycie na jej twarzy prawdziwy niepokój.

- Co? Poszedłeś do lekarza? - zawieszają głos z niedowierzaniem. - Nic dziwnego, że jesteś chory.

Moja matka uważa, że większość chorób wywołują nadmiar pożywienia i oddawanie się obrzydliwym nowoczesnym praktykom, takim jak jedzenie czosnku i wychodzenie z domu bez ochronnych rękawiczek.

Jeśli chodzi o metody wychowawcze, zawsze uważała, że jej głównym obowiązkiem jest uzmysłowienie mi, jakiego mam w życiu farta, tak jak w poniższej wymianie zdań:

- Mamo, mamo, to straszne, spadłem właśnie z roweru, rozciąłem sobie nogę i teraz wszystko jest we krwi.

- Pomyśl tylko, jakim jesteś szczęściarzem, skoro los dał ci rower, z którego mogłeś spaść.

(Jak sami widzicie, wysiłek włożony w wypowiedzenie tego zdania jest nieporównywalnie mały w stosunku do zabandażowania rany, która do tego czasu osiągnęła już rozmiary Amazonki).

Jest też mój przyjaciel Simon - uosobienie łagodności w stosunku do swoich pacjentów, a kompletnego braku empatii dla rodziny i znajomych. W niedalekiej przyszłości planuję pójść do jego gabinetu i odrąbać sobie rękę tylko po to, by usłyszeć jego zniecierpliwiony głos, gdy, nie odrywając oczu od gazety, będzie wypowiadał słowa:



- Och, Richard, weź się wreszcie w garść.

Jak widzicie, nie ma co liczyć na choćby odrobinę szacunku, o ile nie wykorzystamy w tym celu szczypty aktorskiego talentu, który na szczęście mam. Być może podobne przedstawienia bywają wystawiane również w twoim domu?

## **John Wayne**

Leżę w łóżku, Jokasta przynosi mi aspirynę. Mój cel: pokazać Jokaście nagłe pogorszenie stanu mojego zdrowia bez ujawniania, jaki ze mnie mięczak i naciągacz. Decyduję się na numer z Johnem Wayne'em. Mam tu na myśli scenę, w której dostaje on tomahawkiem w głowę, a na jego twarzy pojawia się męski, dzielny uśmiech. Uśmieszek odwagi maskujący grymas niewyobrażalnego bólu. Przesyłam taki właśnie uśmiech Jokaście - pozwalając, by przez chwilę drżał na moich wargach, sugerując głębię przeżywanego przeze mnie cierpienia - i nagle jej mózg eksploduje pod wpływem istnej burzy hormonów. Z jękiem współczucia biegnie do kuchni ugotować więcej zupy.

## **Lord Byron**

Dzień drugi, a książkę powoli opada z sil. Na dźwięk kroków Jokasty załóżnie padam na poduszki i prezentuję lorda Byrona. Błatego i osłabionego, z bezwładnie kołyszącą się głową i wzrokiem wbitym w przestrzeń. Co prawda śmierć na suchoty jest na Zachodzie rzadkością, ale objawy wydają się jednoznaczne. Jokasta biegnie wy-krochmalic moją najlepszą koszulę.

## **Camille**

*Dzień trzeci*, choroba przybiera na sile tak bardzo, że mój organizm przestał tolerować jakikolwiek rodzaj alkoholu.

A niech to, myślę sobie, nie sądziłem, że jestem aż tak poważnie chory.

Wracam do łóżka roztrzęsiony i rozpoczynam odgrywanie sceny śmierci z filmu *Camille*.

- To było straszne - żalę się Jokaście. - Zajrzałem do lodówki i... niczego nie poczułem. Nie miałem ochoty nic z e go z niej wyjąć.

UWAGA: Scena z *Camille* nie działa. Spodziewane współczucie nie wystąpiło. Zamiast tego pacjent padł ofiarą agresji. NIE PRÓBOWAĆ PONOWNIE.

## **Brando**

Dzień czwarty, nadszedł czas na odsłonę Marlona Brando. Leżę na łóżku nieogolony, ubrany w biały podkoszulek i wrzeszczę na całe gardło:

- Stella!

Gdy wreszcie Jokasta staje w drzwiach, prezentuję pełen wachlarz swoich możliwości: lituję się nad sobą, dokonuję żalostnej introspekcji w parze z kilkoma nieskoordynowanymi ruchami, pilnując, by w żadnym z wypowiedzianych przeze mnie zdań nie można się było dopatrzeć sensu.

- O, widzę, że jesteś już prawie zdrowy - cieszy się Jokasta.

UWAGA: Strategia przestała działać. Hormony w organizmie Jokasty wróciły na swoje miejsce. Po zupie słuch dawno zaginał! Armia tostów walczy już chyba na innym froncie! Czy uda mi się uratować sytuację?

## Ostatnie tchnienie

Zauważam, że Jokasta nazywa moją chorobę „grypą”. Szczerze mówiąc, uważam to za obelgę. Już lepiej bym wyszedł na wizycie u Simona. A nawet na telefonie do własnej matki. To, co mnie dopadło, to jakiś nieznany współczesnej medycynie szczep wirusa. Czy Jokasta na prawdę jest nieświadoma tego, że mężczyźni nigdy nie chorują na coś tak pospolitego jak grypa? To dobre dla kobiet. Takich jak Jokasta.

Tak naprawdę w chwili, gdy ja wychodzę z choroby, Jokasta zdaje się zapadać na coś podobnego. Oczywiście nie aż tak poważnego. Świadczy o tym fakt, że prawie wcale nie jęczy ani się nie skarży i choć musiała położyć się do łóżka, wciąż zachowuje hardą postawę. To niesamowite, jak bardzo wirus potrafi osłabnąć przez dosłownie kilka dni.

Według mnie problem polega na tym, że brakuje jakiegoś obiektywnego kryterium odczuwania bólu, które pomogłoby odróżnić naciągaczy (takich jak na przykład kobiety) od osób naprawdę cierpiących do granic ludzkiej wytrzymałości (jak choćby mężczyźni).

Niech ktoś wreszcie wynajdzie termometr mierzący ból: wystarczyłoby go wsunąć pod pachę, a potem dumnie oznajmić, że cierpi się „na ósemkę”. W zasadzie kobiety już mają coś podobnego. Zdarza im się przecież mówić:

- To było gorsze niż poród.

Zauważcie, że dobrały jako kryterium jedyną konkurencję, w której nie możemy się z nimi zmierzyć, wynosząc się w ten sposób na chorobowe wyżyny.

- Właściwie to sama jestem trochę chora - stwierdza następnego dnia Jokasta, leżąc na brzuchu na samym środku przedpokoju i pojękując. - To przypomina poród, jakieś osiem dziesiątych bólu, który się wówczas odczuwa. Wygląda na to, że teraz ja będę potrzebować odrobiny opieki.

Rzuca mi błagalne spojrzenie jelonka Bambiego i nagle nie pozostaje mi nic innego, jak tylko wziąć się w garść, zapakować ją do łóżka i ugotować zupę.

Na szczęście w tym właśnie momencie dzwoni moja matka.

- Czy mogłabyś porozmawiać z Jokastą, mammo? Coś mi się zdaje, że znowu najadła się czegoś w restauracji i wyszła na dwór bez rękawiczek.

## **Zbrodniarze kuchenni**

Nareszcie pojawiły się namacalne dowody na to, że ktoś usiłuje mnie otruć. Na przykład każdego wieczoru po kolacji obserwuję u siebie zaburzenia wzroku i opuchliznę. A ja przecież wypilem zaledwie butelkę czerwonego wina i zjadłem tylko dwadzieścia trzy kiełbaski!

Być może właśnie dlatego Jokasta zarządziła w naszym domu ograniczenie spożywania alkoholu i wprowadziła dietę niskotłuszczową. Jak dotąd jedynym zauważalnym rezultatem jest mój wzrok na stale utkwiony w drzwiczkach kuchennej szafki.

Gdy tak stoję koło niej, cichutko skomląc, zastanawiam się nad dziwnymi regułami rządzącymi jedzeniem i piciem. Oraz regułami, które powinny nimi rządzić. Czyż nie nadszedł najwyższy czas, by jakoś skatalogować te odwieczne prawa?

1) Produkty wyjadane bezpośrednio z szafki bez zamykania drzwiczek i zamiaru zasiadania z jedzeniem do stołu nie powinny wliczać się do dziennego limitu spożytych kalorii.

2) Piwo smakuje coraz gorzej z każdym kolejnym kuflem, zaś czerwone wino w miarę picia smakuje coraz lepiej.

3) Połamane ciasteczka znalezione na samym dnie pudełka nie powinny zawierać absolutnie żadnych kalorii.

4) Zachęcanie innych do jedzenia to coś więcej niż tylko przejaw dobrych manier. Po jakimś czasie będziemy w porównaniu z nimi wyglądać na chudzielców.

5) Kwestię brukselki pomińmy milczeniem.

6) W lodówce nigdy nie ma miejsca. Podobnie jak czegoś, co byłoby warte zjedzenia.

7) Gdyby ostrygi nie były takie drogie, ludzie przyznaliby, że wyglądają one jak smarki.

8) W każdej szafce kuchennej jeden z produktów występuje w ilości hurtowej. Charakteryzuje się tym, że kupujemy kolejne jego opakowania przy każdej wizycie w hipermarkecie. W naszym domu takim produktem są siekane migdały. W tej chwili mamy zapas sześciu opakowań, co wystarczy, by spokojnie przeżyć kolejnych piętnaście lat.

9) Skrót UHT oznacza Upiorny Haust Trucizny.

10) Przepis na specjalność każdego porządnego kucharza powinien zawierać „ćwierć szklanki białego wina”, zmuszając go do otworzenia butelki na długo przed pojawieniem się pierwszych gości.

11) Uwaga! Wyżej wymieniona butelka wina wstawiana raz po raz do lodówki nigdy się nie schłodzi.

12) Jedzenie zdrowych warzyw powinno dostarczać negatywnych kalorii, dzięki którym można by było jeść śmieciowe jedzenie.

13) Gdy oddalamy się od najmodniejszych przedmieść Sydney, z każdym kilometrem zmienia się definicja słów „krwisty”, „średnio-” i „dobrze wysmażony”. Poproś o krwisty stek w Balmain, a kucharz obetrze zwierzęciu zadek i umieści na twoim talerzu. Zrób to samo w Broken Hill, a jedyne, czego możesz się spodziewać, to przeciągłe, zdziwione spojrzenie.

14) Kiedy gotujesz dla znajomych, najwięcej wysiłku włoż w przystawkę. Przy deserze będą już zbyt pijani, by poczuć, jak smakuje.

15) Resztek chińszczyzny na wynos nie należy wyrzucać od razu po zakończeniu posiłku. Powinny zostać schowane do lodówki przynajmniej na trzy tygodnie i wyrzucone dopiero wtedy, gdy zaczną pełzać.

**16)**Żołądek do trawienia deseru jest zupełnie odrębną częścią zwykłego żołądka. Główny żołądek może być pełny po zjedzeniu obiadu, podczas gdy żołądek deserowy wciąż pozostaje pusty i domaga się jedzenia. Tak naprawdę niektórzy mieszkający w Sydney smakosze zaopatrzeni są w aż cztery oddzielne żołądki, podobnie jak krowy. Żołądek do przystawek, do dania głównego, do deseru i wreszcie żołądek do małego co nieco.

**17)**Książki kucharskie wydane w twardej oprawie, z tytułami w rodzaju *Przepisy z ogrodów Toskanii*, napisane kwiecistym językiem i ozdobione artystycznymi zdjęciami zawsze będą się kurzyć na półce. Wszystkie przepisy, które wypróbujesz, będą pochodziły z pisemka o gotowaniu zatytułowanego „Zjedz to Sam”.

**18)**Mleko smakuje o niebo lepiej, gdy pijesz je o drugiej w nocy prosto z kartonu.

**19)**Nikt nie ma ochoty wyjść stęchłej resztki płatków kukurydzianych z dna pudełka, podobnie jak nikt nie ma prawa jej wyrzucić. W większości rodzin obowiązuje zakaz otwierania nowej paczki przed skończeniem starej, co wymusza na wszystkich członkach rodziny jedzenie tostów przez cztery kolejne tygodnie, dopóki mama nie ustąpi.

**20)**W każdej szafce kuchennej kryje się schowany głęboko żaloszny stosik indyjskich przypraw sprzed czterech lat, kiedy kupiłeś książkę kucharską poświęconą kuchni indyjskiej. Wyrzuć je w tej chwili! Śmiało! Zrób to!

**21)**Książki kucharskie zawsze podają czas zbyt krótki, by cokolwiek przygotować. Próbują nam również wmówić, że przepis pozwala wyżywić dziesięć osób, podczas gdy tak naprawdę powinieneś się cieszyć, jeśli jedzenia starczy dla dwójki chudych jak opłatek mnichów. Albo wszyscy autorzy tych przepisów to chudzielcy z uszkodzonym piekarnikiem, albo cała reszta świata to tłuste obżartuchy z uszkodzonymi piekarnikami. Tak czy siak, producenci piekarników powinni się bliżej przyjrzeć tej sprawie.

**22)**Kawałeczków czekolady odłamanych od całej tabliczki, ale mniejszych od pełnej kostki nie powinno się wliczać do puli zjedzonej czekolady.

**23)**W poszukiwaniu ostatniej butelki piwa popularną praktyką jest zerwanie się z kanapy i przeszukiwanie lodówki przez co najmniej pięć minut, w nadziei że w ciągu ostatnich dwóch minut od momentu, gdy po raz

ostatni podnosiłeś worek z marchewką, dokonał się cud. To - rzecz jasna - raczej się nie zdarza.

24)I wreszcie punkt ostatni, co nie oznacza, że najmniej ważny: picie whisky jest zawsze błędem.

## **Mężczyzna upadły**

Przyjaciele potrafią być okrutni. Wspólnie kupili Jo-kaście na urodziny składane drewniane krzesło, prześliczne zresztą, żeby mogła siadać na nim w ogrodzie i marzyć o innym, lepszym życiu. Usiadła więc i zachwalała zalety krzesła, a jej znajomi cieszyli się jej radością, pili jej zdrowie i wtedy właśnie, tak! - ja również zostałem zaproszony, by na nim usiąść, co też zrobiłem, w pełni zrelaksowany, z drinkiem w rękę.

I właśnie w tym momencie krzesło się złamało. Nie pękło. Rozpadło się na kawałki. Z eleganckiego krzesła zamieniło się w stos drewnienek do kominka, i to w niespełna sekundę, pozostawiając mnie rozłożonego na ziemi, z beładnie rozrzuconymi kończynami, rozlanym drinkiem i widownią złożoną z grupy przyjaciół znajdujących się w stanie gdzieś pomiędzy przerażeniem a wybuchem śmiechu.

Milczenie przerwał Jeff, rzucając komiczną uwagę:

- Poznajcie Richarda, pogromcę krzesel.

Kilkoro z przyjaciół zachichotało, co natychmiast zachęciło Jeffa, który uwielbia być w centrum uwagi, do kontynuowania tematu. Krzesło zostało wyprodukowane w Wietnamie, więc kiedy ja gramoliłem się z podłogi, Jeff kreślił przed resztą znajomych obraz jego budowy - oto mieszkańcy wioski proszą najgrubszego mężczyznę w okolicy o przetestowanie krzesła, sadzając mu dodatkowo dwójkę dzieci na kolanach. Krzesło przyjmuje na siebie ten ogromny ciężar bez cienia skargi, w związku z czym pakunek zostaje wysłany na eksport.

- Nie byli w stanie wyobrazić sobie faceta z tyłkiem tak gigantycznym jak twój - Jeff kończy swoją opowieść szybkim, współczującym wzruszeniem ramion. - Nawet ci z najbujniejszą wyobraźnią.



To był naprawdę cios poniżej pasa. Później już wszyscy się ze mnie nabijali, aż ze śmiechu rozboleły ich brzuchy, a ja, najlepiej jak potrafiłem, starałem się naprawić to wszystko. Najwyraźniej nie chodziło jednak o moją nadwagę, lecz raczej o kiepski klej i nieprzemyślaną konstrukcję krzesła.

Pozostało mi jednak stawić czoła Jokaście i jej rozczarowaniu, spowodowanemu nie tyle katastrofą z udziałem nowego krzesła, ile raczej z udziałem - niegdyś smukłego - ciała jej męża.

Co jest gorsze? Czy sposób, w jaki oplakuje swój zniszczony prezent, czy to, jak patrzy na mnie za każdym razem, gdy siadam na krzesle, spodziewając się, że nie podoła ono tak dużemu... wyzwaniu? Zdecydowanie warto byłoby się bliżej przyjrzeć wymogom stawianym wietnamskiemu klejowi.

Usiłując odzyskać swoją nadszarpniętą godność, rozpoczynam kampanię: wszystkie nowoczesne meble wykonane są z możliwie najcieńszych kawałków drewna i plastiku, ilość surowców jest skrupulatnie wyliczona i żałośnie mała. Żeby udowodnić Jokaście, że mam rację, zabieram ją na przegląd naszych mebli ze Świata Taniochy i Tandety, kupionych w płaskich opakowaniach i przeznaczonych do samodzielnego montażu, spośród których żaden nie wygląda tak jak w dniu zakupu. Pokazuję jej łuszczące się kawałki obić, rozklejające się szuflady i wydęte płyty wiórowe. Każda z oglądanych przez nas powierzchni może przyprawić o początki depresji.

Nie wspominając nawet o traumie wywołanej składaniem tego wszystkiego i dopasowywaniem bolca A do otworu B podczas załamania nerwowego C.

Nagle w trakcie wizytacji sypialni Batboya, kiedy wpatruję się w jego mizerny stolik, nawiedza mnie filozoficzna myśl: dlaczego nic nie jest budowane tak, by przetrwało jak najdłużej? Zamiast tego żyjemy w świecie zbudowanym z dykty i gipsu, melaminy i plastiku, i nawet nie zauważamy, że nasza kultura posiadania-rzeczy-przez-chwilę zatacza coraz szersze kręgi, dotykając także mebli, a nawet architektury.

Wstrząśnięty własnym odkryciem (i potrząsając różnymi częściami ciała z emocji) wygłaszam swoją teorię Jokaście. Ona spokojnie mnie wysłuchuje, unosząc brwi w rozbawieniu.

- Może powinieneś zeskoczyć już z tej mównicy - odzywa się w końcu.
- Dopóki się pod tobą nie rozleciała.

I tak to właśnie wygląda. Moi przyjaciele czekają tylko na okazję do opowiedzenia jakiegoś niewybrednego kawału o mnie i moim wielkim bum; mężczyźni o potężnych biodrach, mocno stąpającym po ziemi i wzbudzającym przerażenie wśród właścicieli mebli.

- Siadaj, Richard - mówią na przykład. - Potrzebujemy trochę drewna do kominka.

Albo:

- Richard niedługo wpadnie, może powinniśmy nieco wzmocnić ganek?

Lub:

- Usiądź na łóżku, Richard, myślałem o nadaniu mojej sypialni odrobiny japońskiego stylu.

Jedyne, co mi pozostaje, to wspomnianie cudownych czasów przed wypadkiem, zanim jeszcze mój tyłek stał się obiektem drwin. Czasów sprzed Wielkiego Krachu.

## **Krykiet podwórkowy**

Nadchodzi taki moment w historii każdej dyscypliny sportowej, gdy jej reguły zostają spisane i sformalizowane.

Z całą pewnością taki właśnie czas nadszedł i dla krykieta podwórkowego.

## Reguła Krykieta podwórkowego

1) W grze nie ma żadnych przegranych. Tutaj, w przeciwieństwie do pozostałych dziedzin życia, każdemu należy się druga szansa.

2) Bramka może być wykonana z dowolnego materiału, tradycyjnie jednak jej funkcję pełni kosz na śmieci. Powszechnie uznanym faktem jest, że pojawienie się na przedmieściach koszy na kółkach spowodowało powstanie nowej grupy miotaczy, wierzących, że bramka powinna być wysoka na długość ramienia i szeroka przynajmniej na metr.

3) Wymiary pola powinny się mieścić między liczbą jedenastu a trzydziestu trzech jardów, w zależności od stopnia upojenia alkoholowego osób je wyznaczających.

4) Odbijający zostanie uznany za „niewyautowanego”, jeśli piłka uderzy w górną część kosza na śmieci.

5) Młodszy gracz, poniżej ósmego roku życia, mają prawo chlipać podczas opuszczania boiska. Powinni również odmówić zwrotu kija, po czym rzucić się do szaleńczej ucieczki i pozwolić gonić się swoim wściekłym i błagającym o litość ojcom. Tego rodzaju praktyka znana jest jako „rozrywka na świeżym powietrzu”.

6) Gra powinna zawierać element „lej-i-wiej” - gdy tylko kij dotknie piłki, musisz zacząć biec. Nie mamy całego dnia na tę grę: w końcu trzeba się jeszcze obezreć.

7) Wujek w średnim wieku, który w przeszłości był dumą szkolnej drużyny krykieta, ma prawo do wykonania jednej rundy honorowej w ciągu popołudnia - i starcia na proch bramek ustawionych przez swojego jedenastoletniego bratanka - żeby móc udowodnić sobie i innym, że wciąż ma to coś.

8) Nikt nie ma prawa ganić wujka w średnim wieku za jego zachowanie. Ból wywołany wypadnięciem dysku stanowi wystarczającą karę.

9) Piłka spadająca z dachu powinna zostać złapana jedną ręką. Zawodnicy mogą zaopatrzyć się w plastikowy kubek z winem trzymany w lewej ręce jako ochronę przed nieumyślnym złamaniem tej zasady.

10) Babcia, o ile zostanie jej powierzony kij, ma prawo do wykorzystania jednego z młodszych zawodników, by pobiegł w jej imieniu. To się nazywa młodzieńcza szybkość w połączeniu ze starczą mądrością.

11) Zezwala się, by rzucający nasaczył piłeczkę tenisową wodą z pobliskiej kałuży dla dodania rozgrywce tempa i dramatyzmu, szczególnie jeśli za obowiązującą przyjmiemy odmianę krykieta zwaną „cel uświęca środki”.

12) Jeśli biorącemu udział w grze siedmiolatkowi udało się obieć boisko ponad dwadzieścia razy, zezwala się rozproszyć jego uwagę stwierdzeniem, że właśnie usłyszeliśmy dźwięk przejeżdżającej gdzieś w pobliżu furgonetki z lodami.

13) Jeśli piłeczka utkwi w drucie kolczastym, zawodnicy mają prawo wyciągnąć ją z użyciem jednej ręki w zamian za zdobyty punkt. Kto powiedział, że życie jest *fair*?

14) Przebicie piłki nad płotem oznacza wykluczenie z gry. Jeśli pałkarz nie jest w stanie zlokalizować piłki, reszta graczy może go bezkarnie okrzyknąć kłamczuchem i pozerem.

15) W przypadku ograniczonej liczby graczy dopuszczalne jest wprowadzenie systemu „punktów automatycznych” polegającego na tym, że każda piłka posłana w kierunku pomocników bramkarza jest uznana za ziapaną.

16) Niektórzy gracze są zdania, że „punkty automatyczne” zubażają grę o tak zwany czynnik ludzki. Dla tych osób idealnym rozwiązaniem jest gra według zasad angielskich, kiedy to każda piłka rzucona w kierunku pomocników bramkarza jest uznawana za upuszczoną.

17) Piłki, które utknęły na drzewie, uznaje się za złapane. Przez Joela Garnera<sup>4</sup>, jeśli drzewo jest naprawdę wysokie.

---

<sup>4</sup> \* Joel Garner - zawodowy gracz w krykieta, znany ze swojego nieprzeciętnego wzrostu (2,03 m).

**18)**Jeżeli w grze bierze udział ograniczona liczba zawodników, spośród których jeden jest świetnym i trudnym do pokonania pałkarzem, możliwe jest wprowadzenie systemu „bramek elektrycznych”, w którym można wyeliminować tego kłopotliwego zawodnika poprzez zdobycie jakiegokolwiek bramki, niekoniecznie tej, do której on biegnie.

**19)**Każdy najmniejszy błąd zawodnika powinien zostać skomentowany przez pozostałych graczy pogardliwymi uwagami w rodzaju: „Łamaga, nie umie grać!” Gracze, którzy są niekompetentni i psują każdą piłkę, powinni uparcie twierdzić, że specjalnie kładą grę, ponieważ są na usługach Salima Malika\*<sup>5</sup>.

**20)**Ponad wszelką wątpliwość zostało udowodnione, że gra w podwórkowego krykieta to niezawodny test charakteru. Czy w decydującym momencie szesnastolatek delikatnie rzuci piłkę w kierunku swojego pradziadka? Czy ciśnie w niego z całych sił w nadziei wcześniejszego otrzymania spadku? Nigdy byś się tego nie dowiedział, gdyby nie podwórkowy krykiet.

**21)**Nieczyste rzuty zostaną przyjęte z dezaprobatą, zwłaszcza gdy graczowi zabraknie elementu w postaci puszki piwa w dłoni. Jak powiedziała Shoab Akhtar\*<sup>6</sup>: „Jest masa sposobów, by coś lub kogoś rzucić bez uciekania się do wątpliwych zagrywek”.

**22)**Punkty karne zostaną przyznane zawodnikom rzucającym piłkę na stos drewna (z obawy przed węzami) albo w kierunku nowiutkiego samochodu wujka Terry'ego (z obawy przed wujkiem Terryem).

**23)**Pies będzie traktowany jako palec boży - jego działania na boisku wnosić będą tak konieczny w każdej grze element czystego farta, równoważąc umiejętności techniczne graczy.

**24)**Zdrowo myślący zięć z niewiadomych przyczyn kilkakrotnie nie trafi w piłkę rzuconą przez tatusia. Będzie bowiem świadomy zbliżających się świąt i tego, że wino na prezent można z równym powodzeniem wybrać z

---

<sup>5</sup> \* Salim Malik - pakistański gracz w krykieta.

<sup>6</sup> \* Shoab Akhtar - pakistańska gwiazda krykieta, najszybszy miotacz na świecie.

półki z trunkami za ponad piętnaście dolarów, co z tej z sikaczami tańszymi niż pięć dolarów za butelkę.

**25)**Po tym jak szesnastolatekowi uda się okrążyć boisko dwudziestopięciokrotnie, można oficjalnie go wyśmiać i wyszydzić, zmuszając do rzucenia superłatwej piłki babci, która następnie wyda z siebie przeciągły, przejmujący do szpiku kości jęk i padnie na kolana, by ją chwycić.

I tak mecz podwórkowego krykieta po raz kolejny odsłania sekret rodzinny: te idiotyczne geny niezdrowego współzawodnictwa nie wzięły się znikąd.

### **Niezła sztuka...**

To Batboy był osobą, która doznała olśnienia. Przełomowej wizji. Pojechaliliśmy do galerii sztuki skuszeni nową wystawą malarstwa tradycyjnego. Najpierw jednak postanowiliśmy zejść na dół i zapoznać Batboya ze sztuką współczesną, szczególnie zaś ze znajdującą się na parterze instalacją z kamieni ułożonych w krąg i zwisających z sufitu.

Za każdym razem, gdy ogląda się sztukę współczesną, jakiś wewnętrzny głos podpowiada, że „dziecko zrobiłoby to lepiej”, w związku z czym uznaliśmy, że warto poznać jego zdanie na ten temat.

Batboy przyznał, że nie byłby w stanie stworzyć niczego lepszego, i przyglądał się kręgowi zwisających z sufitu kamieni w niemym podziwieniu, tym większym, że odkrył tkwiący w nich potencjał zastosowania ich jako broni. Szczególnie zaskakujący okazał się moment, gdy przeszliśmy na piętro z malarstwem tradycyjnym, a Batboy oznajmił, że w porównaniu z oglądanym wcześniej użytkowym dziełem sztuki tradycyjne obrazy są co najmniej dziwne.

Po dokładnym przyjrzeniu się dziełom sztuki tradycyjnej musieliśmy przyznać mu rację. Każde z nich obfitowało w dziwaczne symbole archaicznego myślenia: jednorożce, nimfy, krucyfiksy, mężczyźni z ciałami zwie-



rząt, odcięte głowy ułożone na tacach oraz mrowie jeleni i lutni. Malarstwo tradycyjne ma bzika na punkcie lutni.

Tyle się mówi na temat dziwactwa sztuki współczesnej, lecz kiedy w końcu otworzą ci się na nią oczy, jedyne, co ujrzysz, to nagi i piękny w swej prostocie krąg kamieni, w którym nie ma niczego dziwnego.

Tymczasem piętro wyżej, w części galerii poświęconej malarstwu tradycyjnemu, zobaczysz kołosa z nogami kozła karmiącego szatana własną obnażoną piersią (oj, czyżbym zapomniał wspomnieć o piersiach?), podczas gdy postaci na drugim planie ktoś zdążył odrąbać głowę. Batboy ma rację. To naprawdę pokręcone. Pojedź z tym na biennale, a oskarżą cię o bycie typowym modernistycznym sy-barytą.

I wtedy odkrywam jeszcze jedną charakterystyczną cechę sztuki tradycyjnej. Wszystkie przedstawione na obrazach kobiety są nagie. Jeśli będziemy mieli do czynienia z grupą ludzi zajmujących się jakąś banalną czynnością, taką jak gotowanie posiłku czy odrąbywanie ropiejącego łba demona uwięzionego w ciele kobiety, mężczyźni zawsze będą ubrani w najbardziej odpowiedni na daną okazję strój, podczas gdy kobiety, ups!, z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn zapomną na sobie cokolwiek włożyć.

Co najdziwniejsze, nikt nawet nie stara się wytłumaczyć, czemu te kobiety są nagie. Są gołe i już. Z zasady.

Dobrze, że przynajmniej producenci filmowi starają się, by nagość bohaterek wynikała logicznie ze scenariusza („scena piąta: Sharon decyduje, że w golfie jest jej zdecydowanie za gorąco, i postanawia go zdjąć”). Ale artyści o to nie dbają. Mogą chcieć namalować kobietę spawającą oś swojego ciągniętego przez woły wozu, a i tak jedyna myśl, jaka im przyjdzie do głowy, to: „A czemu by jej nie rozebrać?”

To tak jak na tym słynnym obrazie Maneta *Śniadanie na trawie*. Widzimy grupę przyjaciół, którzy wybrali się na piknik: wyciągnęli się na kocyku, mężczyźni są ubrani od stóp do głów, a całość obrazu dopełniają serbrie King Island oraz chardonnay Rosemount.

I co wtedy decydują się uczynić kobiety? Oczywiście rozebrać się do rosołu i wyeksponować własną goliznę na tle plastikowej zastawy, wesołe jak szczypioerek na wiosnę.



My, faceci, oglądaliśmy ten obraz, będąc jeszcze w szkole. Przestudowaliśmy jego reprodukcję na plakacie wiszącym w kuchni. I od tamtej pory wzięliśmy udział w czterech tysiącach pikników, zawsze mając cień nadziei.

Wniosek? Manet zadawał się z dziewczynami zupełnie innego pokroju niż te, które my zapraszaliśmy na pikniki.

Albo weźmy inny przykład: słynny obraz autorstwa Sida Longa przedstawiający różowe flamingi. Widzimy na nim dwie kobiety obserwujące wspaniałe stado tych ptaków. Zgadnijcie, co robią, by zintensyfikować przyjemność płynącą z tej czynności? Zrzucają ciuszki. Nagość okazuje się jedynym sposobem, by dobrze przyjrzeć się flamingom, tylko dlaczego kobiety odwiedzające zoo zdają się o tym nagminnie zapominać?

Zdecydowanie dobrą wiadomością jest rosnąca popularność artystów takich, jak Robert Mapplethorpe, po którego pracach to głównie mężczyźni przechadzają się nago. Mężczyźni oliwiący i preżący z dumą swoje ciała. Mężczyźni zrzucający ubrania bez śladu prowokacji. Mężczyźni przyglądający się swoim odbiciom w lustrze i stwierdzający: „Mmm, całkiem niezłe”.

Dotarcie do tego miejsca w sztuce zabrało nam jakiś czas. Ale przynajmniej istnieje artysta, który oddaje swoją sztuką realia przeciętnego australijskiego domu na przedmieściach.

## **Koza ofiarna**

Niekiedy podczas gotowania jestem zmuszony zadać zaskakujące pytanie. Na przykład:

- Kto, do cholery, przełożył wyciskacz do czosnku, skoro powinien leżeć właśnie tutaj, w środkowej szufladzie?

W tym momencie Jokasta zazwyczaj zauważa, że w naszym domu są tylko dwie osoby, które używają wyciskacza do czosnku. Ona i ja. Oznacza to, że moje pytanie w gruncie rzeczy wcale nie jest pytaniem, lecz nieudolnie zawoalowanym oskarżeniem.

Jokasta stwierdza również, że mężczyźni są mistrzami w zadawaniu „pytań” w rodzaju: „Kto zgubił moje kluczyki?”, „Kto przełożył moją torbę w inne miejsce?” czy „Kto popsuł pralkę?” Pytań, na które mężczyźni, jak się wydaje, doskonale znają odpowiedź. Możemy myśleć, że wszczynamy subtelne dochodzenie, ale z punktu widzenia Jokasty jesteśmy armią wiernych naśladowców Emila Zoli wrzeszczących *J'accuse* nad blatem kuchennym.

Weźmy przykład z poprzedniego tygodnia, gdy wykańczaliśmy naszą nowiutką łazienkę. Schodziłem właśnie z drabiny, gdy poślizgnąłem się na otwartej skrzynce z narzędziami i wykonałem karkołomne pikowanie głową w dół w kierunku wciąż jeszcze gadającej toalety. Moją naturalną reakcją po chwili odpoczynku na podłodze było zadanie pytania:

- Kto położył moją cholerną skrzynkę na narzędzia tuż obok tej cholernej drabiny?

Rzecz jasna było to rzucone mimochodem pytanie z gatunku retorycznych. Biorąc jednak pod uwagę to, że byliśmy z Jokasta jedynymi osobami w pomieszczeniu, zdaję sobie sprawę, że mogła w nim pobrzmiwać nuta *J'accuse*.

Jokasta odpowiedziała w sposób spokojny i ostrożny. Byłem w szoku. Po raz pierwszy w ciągu naszych wspólnie spędzonych lat udzieliła mi dokładnie takiej odpowiedzi, jaką pragnąłem usłyszeć.

- Ja to zrobiłam — powiedziała Jokasta. - To moja wina. Nie mogłeś wiedzieć, że ją przesunęłam. I to w takie idiotyczne miejsce! Teraz, jak słusznie się domyślasz, jest mi strasznie głupio. A na samą myśl, że mogłeś sobie zrobić krzywdę...

Cudownie było usłyszeć te słowa - czułe i przyjmujące na siebie całą winę - ale nie minęła chwila, a gdzieś głęboko w mojej głowie odezwał się ostrzegawczy głos, mówiący: „Uważaj, chłopie, na moje oko ona próbuje cię wykiwać”.

I zaiste tak właśnie było.

Jokasta stała naprzeciw mnie, w asyście pociętych w najprzeróżniejsze kształty kawałków drewna i złowieszczo wymachiwała w moją stronę dłu-tem.

- Wiesz, właśnie olśniło mnie, na czym polega moja rola. Jestem kozłem ofiarnym. Osobą, która bierze każdą winę na siebie. Spójrz tylko na ekipę robotników przeciętnego placu budowy - zobaczysz facetów od noszenia cegieł, od robienia stolarki i od elektryki. I wreszcie faceta od zrzucania na niego winy. Kozła ofiarnego. Spójrzmy prawdzie w oczy, to może być najważniejsza z ról. Stolarz może zapobiec zawaleniu się sufitu. Ale to kozioł ofiarny nie pozwala załamać się samemu stolarzowi - pieszcząc jego ego, bierze na własne barki brzemień jego błędów.

Zbieram się na odwagę i wtrącam:

- Słuchaj, ja tylko zapytałem...

- Nie - przerywa mi Jokasta. - Ja nie jestem zła, ja tylko chcę powiedzieć kilka słów w imieniu wszystkich kozłów i kóz ofiarnych pełniących swoje obowiązki w pracy i w domu. Domagam się docenienia usług, jakie świadczymy. Jak handlowiec w małej firmie, który zostaje oskarżony przez swojego szefa i kolegów o zastój w interesach. Za każdym razem gdy sytuacja robi się napięta, pojawia się widmo zwolnień i plan reorganizacji firmy, podnosi się lament: „Ale to wina Gordona”. Jokasta wyjaśnia:

- Gordon jest kozłem ofiarnym i w gruncie rzeczy to właśnie on sprawia, że cały interes w ogóle się kręci. I wreszcie mamy grupę udomowionych kóz ofiarnych, heroicznie biorących na siebie winy pozostałych domowników. Facet przypala zapiekankę? „Ach - powiada koza -powinam ci zwrócić uwagę na wybór odpowiedniej temperatury”. Weźmy inną sytuację: wstawiony facet cofa samochód na podjeździe i wali w ogrodzenie. Oczywiście wina leży po stronie kobiety, bo już dawno powinna przesunąć to ogrodzenie odrobinę w lewo.

Postanawiam usiąść na swojej skrzynce z narzędziami i zwiesić smutno głowę.

- Chłopie - ciągnie Jokasta, luzując swój pas z narzędziami. - Jedyne, czego oczekuję, to odrobina uznania. Jak choćby dziś. Bez dobrej kozy ofiarnej straciłbyś cały animusz. Nie mógłbyś już odgrywać roli doskonałego fachowca, pokaranego przez los nieporadnym, podcinającym ci skrzydła pomocnikiem.

Jokasta przesyła mi jeden z tych swoich cudownych uśmiechów, a ja postanawiam przejść nad całą sprawą do porządku dziennego - wymierzyć i odciąć kolejny potrzebny mi kawałek drewna.

I kiedy planuję ostro zabrać się do roboty, oboje z Jokasta zauważamy problem.

- No nie - mówi gniewnie Jokasta - nie mogłeś być chyba tak głupi i kilka razy z rzędu ciąć drewno w taki sposób, żeby nie nadawało się absolutnie do niczego. Chodzi mi o to, że tylko idiota zrobiłby podobną rzecz. Hm, w takim razie to musi być moja wina. Najwyraźniej zupełnie wytrąciłam cię z równowagi tym swoim gadaniem.

Patrzę w górę i napotykam ten charakterystyczny błysk w oku mojej życiowej partnerki, który od dawna napawa mnie lękiem.

- Jak widzisz - dodaje szeptem, jakby powierzała mi sekret - ja naprawdę jestem najlepszą kozą ofiarną na świecie.

## **Reguły gry zwanej życiem**

Istnieje wiele potwierdzonych naukowo reguł mających wpływ na nasze życie. Czy zatem nie nadszedł najwyższy czas, by przytoczyć przynajmniej tuzin najważniejszych?

### **Reguła 1: Im brzydsza kanapa, tym większy komfort płynący z jej użytkowania**

Jest to jedna z najważniejszych zasad rządzących światem, na równi z  $E = mc^2$ . Wystarczy zapaść się w naprawdę szkaradną kanapę i od razu można poczuć się jak w niebie: kojący odcień pomarańczowego welurowego obicia, stopniowe zanurzanie się w poduszki, jęk sprężyn poddających się

twojemu zacnemu ciężarowi. Ludzie podążający ślepo za modą będą w tym czasie siedzieć sztywno na czymś lśniącym i włoskim, z tapicerką tak naprężoną, że byłaby w stanie odbić naboje.

Reguła sprawdza się także w restauracjach. Stąd dodatkowa zasada: im droższa restauracja, tym mniej wygodne krzesła. Królestwo za pierwszorzędą restaurację z wygodnymi winylowymi kanapami.

## **Reguła 2: Im gorsza jakość skarpetki, tym dłuższy jej żywot**

Spędziłem pół życia, kupując stylowe biznesowe skarpetki z bawełny. W ciągu zaledwie kilku tygodni od zakupu jedna z nich niechybnie zaginie w akcji lub zacznie przypominać ser szwajcarski. Istnieje jednak niewytłumaczalna zależność: brzydka nylonowa skarpetka pozostanie ci wierna przez długie lata. Wystarczy, że raz, w 1977 roku, powinie ci się noga - kupisz skarpetki z nylonu, skarpety w szkocką kratę czy choćby z jakimś napisem -a po dwudziestu latach ich widok wciąż będzie cię prześladował. Co więcej, będziesz zmuszony je wkładać co piątek, gdy pozostałe zawodniczki zaginą w bliżej niewyjaśnionych okolicznościach.

## **Reguła 3: Każda wrzucona do zlewu łyżeczka w sposób magiczny ułoży się tuż pod kranem**

Nikt nie wie, dlaczego tak jest, ale zawsze gdy odkręcisz kran do oporu, to każda z łyżeczek znajdujących się w promieniu pięćdziesięciu metrów ułoży się dokładnie pod strumieniem. Efekt: fontanna wody o sile wodospadu atakująca osobę, która ośmieliła się pozmywać.

#### **Reguła 4: W przypadku przetworzonego jedzenia nadzieja nie umiera nigdy**

Mrożona lazania. Pizza z mikrofalówki. Makaron instant: „Zalej wodą i rozkoszuj się spaghetti carbonara niczym z włoskiej restauracji”. Ile produktów, tyle obietnic - i tyle samo gorzkich rozczarowań.

Jak zawodna bywa ludzka pamięć... Moja ręka zawisa niepewnie nad zamrażarką w hipermarkecie, nęcona pokusą w postaci obiadu rodzinnego: mięsa zapiekanego z warzywami. Jak kiepsko to może smakować? Dwie godziny później jemy rodzinny posiłek i poznajemy odpowiedź na to pytanie: naprawdę kiepsko. Lecz jakimś cudem tydzień później Jokasta i ja lądujemy dokładnie w tym samym miejscu, z wózkiem na zakupy, marudząc przy lodówkach. Jesteśmy niczym Adam i Ewa - jeszcze przed ugryzieniem mrożonego jabłecznika z niespodzianką -bezbronni wobec typowo ludzkich rozważań: „No powiedz sam, jak kiepsko...”.

#### **Reguła 5: Mężczyźni są genetycznie pozbawieni umiejętności przeczytania przepisu do końca, nim zaczną gotować**

Ta reguła wyjaśnia, dlaczego czekając na obiad przyrządzany przez gospodarza domu, goście powinni spodziewać się jego rozdzierającego krzyku około godziny dwudziestej. Jest to bowiem moment, gdy przewrócił stronę książki kucharskiej i przeczytał następującą instrukcję: „Krok 4: gotować na wolnym ogniu przez sześć godzin”.

#### **Reguła 6: Wygoda i zadowolenie trzymanego w ramionach niemowlęcia są odwrotnie proporcjonalne do samopoczucia osoby trzymającej**

Dziecko jest gotowe przestać płakać dopiero wtedy, gdy stojąc na jednej nodze, pochylisz się w lewo i zaczniesz kołysać do tyłu.

**Reguła 7: Wszystkie muszle klozetowe są zaprojektowane tak, by uniemożliwić desce utrzymanie się w pozycji pionowej i pozwolić jej zamknąć się z głośnym trzaskiem w najmniej odpowiednim momencie**

To jest właśnie główna przyczyna chorób nerwowych obserwowanych wśród męskiej części populacji. A także przyczyna występowania mokrych desek klozetowych.

**Reguła 8: Telefon dzwoni tylko i wyłącznie wtedy, gdy zasiadasz do obiadu**

W przeciwieństwie do dzwonka, który dzwoni tylko i wyłącznie wtedy, gdy bierzesz prysznic. Osoby łaknące kontaktu z innymi ludźmi powinny natychmiast pobiec pod prysznic z obiadem w ręku.

**Reguła 9: Im więcej sportu uprawiają twoje dzieci, tym gorsza będzie twoja kondycja**

Wszystkie imprezy sportowe na terenie Australii odbywające się z udziałem dzieci stosują ten sam sposób zbierania funduszy: sprzedaż kiełbasek z grilla. Dzieci w coś grają, ty jesz. Stąd dziwna zależność: im większe z nich zuchy, tym większe wasze brzuchy.



## **Reguła 10: Kserokopiarki nigdy nie działają**

Co dowodzi, że technika stacza się po równi pochyłej od czasów używania niezawodnej maszyny roneo (to z kolei tłumaczy genezę często słyszanego w biurkach lamentu: „Gdzież jest mój roneo?”).

## **Reguła 11: Informacje radiowe o szczególnym dla ciebie znaczeniu są podawane dokładnie w momencie, gdy wjeżdżasz do tunelu**

Audycja zostaje przerwana półtorej sekundy po wjeździe do tunelu, a przy wyjeździe masz jeszcze szansę usłyszeć jej ostatnie słowo.

## **Reguła 12: Im więcej razy usłyszysz frazę: „twój telefon jest dla nas ważny”, tym większa pewność, że wcale tak nie jest**

Mógłbym tak wymieniać w nieskończoność. Na przykład: „Im mniejsza dostępność żarówki na rynku, tym częściej będziesz ją musiał wymieniać”. Albo: „Im ładniejsza koszula, tym większe prawdopodobieństwo, że rozleje ci się włożone do przedniej kieszeni pióro”. Czy wreszcie: „Szansa na to, że dziecko zwymiotuje na swojego rodzica, wzrasta wraz z ceną ubrania, które ten ma na sobie”.

Ale jak wykazały badania naukowców, tego rodzaju lista nigdy nie będzie kompletna. Zadzwońmy do was z kolejnymi uwagami, gdy tylko zechcecie jeść obiad. ?

# ROZDZIAŁ 5

---

*Jokasta, sprzątając pralnię, odkryła, że wcale nie mamy trzech koszy z ubraniami do uprasowania. Mamy ich aż cztery. I właśnie ten czwarty wypełniony po brzegi czeka od kilku miesięcy na swoją kolej. Jest to tak zwany morderczy kosz. Kosz rzeczy zbyt trudnych.*

## **Monolog we wnętrzu**

Klęcząc na podłodze w łazience, uzbrojony tylko w egzemplarz „Domu z Pomysłem”, podjąłem się największego znanego gatunkowi ludzkiemu poświęcenia. Naprzeciw mnie, na wyciągnięcie ręki stoi nasza pralka - sześćdziesięciokilogramowy zardzewiały kolos, ociekający jadem i wodą z proszkiem do prania, gotowy do rozpoczęcia szarzy szaleńczego wirowania.

W miarę jak przyspiesza, zaczyna się trząść, dygotać i dudnić, by wreszcie w ataku paniki ruszyć w kierunku drzwi. Patrząc na tę wielką, opasłą, chromowaną bryłę, drżącym krokiem zmierzającą do samozagłady, nie mogę się oprzeć porównaniom z Elvisem w 1977 roku.

Właśnie próbuję wcisnąć Elvisowi egzemplarz „Domu z Pomysłem” pod lewą przednią nogę. Staram się osiągnąć stan równowagi, pomimo że pralka raz po raz wpada w dołek w nierównej podłodze. Podobnie zresztą jak jej właściciel.

Wygląda na to, że pralka obrała sobie zupełnie inny cel: zmienić swojego pana w krwawą miazgę, z niewielką pomocą ściany łazienki. Padam plackiem na podłogę i zaczynam wpychać „Dom z Pomysłem” pod nogę Elvisa. Ponieważ magazyn się podarł, dostrzegam część jego zawartości. Lazur wody w basenie. Niedzielne śniadanka. Dzieła sztuki użytkowej.

- Włóż, do cholery - mamroczę pod nosem, popychając gazetę, z policzkiem przyklejonym do drżącego boku Elvisa fundując płatkom uszu niespotykaną formę fizycznej aktywności. - Trzęś się, trzęś, maleńka...

Złożyłem magazyn w taki sposób, że widzę w pełnej krasie jeden z typowych dla „Domu z Pomysłem” artykułów, zakończony zdaniem: „Prowadzenie wyrafinowanego, ale i relaksującego stylu życia nie jest niczym trudnym”.

Tak naprawdę to nie wiem, dlaczego kupujemy z Jokastą tego rodzaju czasopisma. W teorii powinny one zawierać dobre rady dotyczące prowadzenia domu. Zawsze jednak okazuje się, że rady te mogą zostać wykorzystane tylko przez osoby dysponujące kwotą pięciu milionów dolarów oraz sztabem dekoratorów i innych fachowców. Trzeba przyznać, że wszyscy bohaterowie artykułów w tym piśmie zastosowali się do tego bez mrugnięcia okiem.

Weźmy ten artykuł, na którym właśnie spoczęła dygocząca noga Elvisa. Brett i Veronica, mieszkańcy Darling Point, zdecydowali się na budowę domu na nadbrzeżu zaprojektowanego przez najlepszego architekta, posiadłości wyposażonej w stajnię, basen i mieszkanie dla babci. Co ciekawe, Brett jest dziedzicem imperium SaltyBitz, podczas gdy Veronica sama zajmuje się projektowaniem jako wolny strzelec i to jej dziełem jest kolekcja dobrze wszystkim znanych luksusowych akcesoriów łazienkowych. Warto też wspomnieć o jej bliskim spokrewnieniu z królową Saby.

Czy muszę czytać dalej? Muszę. Moja głowa jest przyciśnięta do artykułu, podczas gdy moja miednica drży konwulsyjnie, a kolana wbijają się boleśnie w szczelinę podłogową, w której zawsze gromadzi się woda po kąpieli dzieciaków.

Fotografie ukazują dom wielkości porównywalnej ze stadionem piłkarskim w Sydney, wyposażony w zaledwie garstkę mebli złożoną w dużej mierze z krzeseł wykonanych przez Duńską Komisję do spraw Tortur. Są to krzesła wybitnie minimalistyczne. Skrajnie minimalistyczne. Tak naprawdę to tylko dwa paliki rozstawione niedbale na podłodze, ponad którymi goście powinni zawisnąć. Prawdziwa okazja: dwa tysiące dolarów za sztukę. Zdaniem mizdrzącej się Veroniki: „Obnażenie prawdziwej natury mebla, dotarcie do jego głębi, do jego wewnętrznej drewnowatości, no cóż, to musi kosztować”.

Veronica opisuje swój dom jako „przytulny, prawdziwy, tradycyjny”, podając przy tym własną definicję słowa „przytulny”: „To miejsce, do którego możesz z powodzeniem zaprosić garstkę dwustu sześćdziesięciu najbliższych przyjaciół na zorganizowane naprędce przedstawienie opery *Aida* i wciąż mieć gdzie urządzić końskie wyścigi”.

Jak słusznie się domyślacie, dzieciom Bretta i Veroniki daleko do przeciętności. Daję Elvisowi kolejnego kuksańca w bok i przypominam sobie tytuł książki, którą gdzieś ostatnio widziałem. *Jak zwiększyć własne IQ, żywiąc się utalentowanymi dziećmi*. Dzięki Bogu za to, że obdarzona smykałką do robienia interesów Veronica zdecydowała się mimo wszystko wychować je pod swoimi skrzydłami w przytulnym nadmorskim gniazdku.

W momencie gdy pralka zaczyna wściekle wypływać wodę, ochlapując mi nogi, dociera do mnie, jak wiele łączy mnie z Veronica.

I tu cię mam, Veronico, myślę sobie, z niejaką dumą wpatrując się w swoje przemoczone džinsy. Nie tylko ty możesz się pochwalić bliskim kontaktem z wodą.

Pralka dostaje ataku spazmów, rytmicznie uderzając w łuszczącą się płatami farby ścianę łazienki, aż nagle cykl wirowania ustaje. Uspokajam się, pozwalając swojej głowie opaść miękko na wciąż ciepły bok Elvisa. Leżę beczynnym, zastanawiając się, skąd Veronica sprowadziła swoją pralkę. Pewnie ze Szwecji.

Tyle się mówi na temat zgubnego wpływu supermode-lek z okładek kolorowych pism na postrzeganie własnego ciała przez zwykłe kobiety, lecz co z wpływem lektury „Domu z Pomysłem” na morale domowników? Być może potrzebuję po prostu czasopisma bliższego mojemu stylowi życia. Czegoś takiego, jak „Kiepski Pan Domu” lub „Dom i Ogród Obiboka”. Czy wreszcie „Gafy z Szafy”.

Poklepuję czule bok Elvisa i zabieram się do wyjmowania świeżo - i po mistrzowsku! - wypranych ubrań.

Może i dom Veroniki, podobnie zresztą jak jej pralka, jest elegancki, ale od czasu do czasu każdemu z nas należy się dreszczyk emocji. Zwłaszcza podczas prania.

## To i oWWWo

Już od paru lat świat ma bzika na punkcie stron internetowych i e-biznesu - zjednoczonych wspólnym pragnieniem pisania CoDrugiego SłowaŁącznie bez NajmniejszegoPowodu.

Z całą pewnością nasz głód nie został jeszcze nasycony - wciąż mamy chrapkę na rozwiązania, które pomogą nam zastąpić prawdziwe doznania tymi odczuwanymi bez konieczności wychodzenia z wirtualnego świata.

**ZapachRoz.com**: Strona ZapachRoz co pół godziny będzie ci zakłócać pracę, zastępując aktualnie przeglądaną przez siebie stronę internetową realistycznym obrazkiem róży, zmuszając cię do zrobienia sobie przerwy i przynajmniej rzucenia okiem na róże. Czterokrotny zdobywca wyróżnienia w kategorii Najbardziej Irytująca Strona Internetowa.

**WirusowyPrzemianowywacz@CyberSiostry.com**: Jako Stowarzyszenie CyberSióstr nie możemy zrozumieć, dlaczego wirusy komputerowe noszą żeńskie imiona, mimo że za ich powstanie odpowiadają komputerowi maniacy rodzaju męskiego. Nic nowego. Nasz Wirusowy Przemianowywacz przeczesuje sieć i nazywa problem po imieniu - Barry, Steve czy Brian.

**PustaSzafka.com**: W PustejSzafce rozumiemy, że zakupy przez internet są mocno przereklamowane: czasochłonne, obciążone ryzykiem otrzymania niewłaściwego towaru przez tępotę szesnastoletniego pakowacza, a wszystko, czego powinieneś się spodziewać, to otrzymanie siedemdziesięciopięciokilogramowej paczki suszonej bazylii na skutek wciśnięcia błędnego klawisza podczas składania zamówienia. W PustejSzafce pomagamy pechowym internetowym zakupowiczom, dostarczając im przepisów kulinarnych pozwalających na wykorzystanie tego, co znajdują w swojej szafce kuchennej - paczki ryżu i starej puszki gulaszu angielskiego.

**UpiorneDzieciaki.com**: Być może dzieciaki przestały uprzykrzać ci życie, odkąd utknęły w sieci. Dlaczego więc nie miałbyś sobie ściągnąć kilku UpiornychDzieciaków? Będziemy przerywać ci pracę na komputerze, wyświetlając prośby o ciasteczka, picie i odrobinę uwagi. Możecie pracować

na dwóch oddzielnych komputerach, a mimo wszystko dzięki Upiornym-Dzieciakom cały czas czuć ciepło domowego ogniska.

A już wkrótce dla naszych młodszych użytkowników: **DespotycznyTata.com**. W przeciwieństwie do twojego nasz cybertata faktycznie skontroluje to, czym zajmujesz się w sieci, zamiast ściągać pornosy w zaciszu własnego pokoju. Godziny kontaktu do przeżycia na Własnej Skórze! Sprawi, że poczujesz się jak buntownik buszujący w sieci.

**PochlaniaczCzasu@TelstraBigPond.com**<sup>7</sup>: Jako pracownicy firmy telekomunikacyjnej mamy dość skarg i zażaleń ze strony mieszkańców zapadłych dziur i terenów wiejskich na temat ilości czasu potrzebnej do ściągnięcia jednej głupiej strony internetowej z użyciem naszych przedpotopowych linii telefonicznych. Dlatego też postanowiliśmy wprowadzić pewne zmiany. Wyślij do nas list ze szczegółowym opisem swojego problemu, a w odpowiedzi otrzymasz egzemplarz *Wojny i pokoju* Tołstoja w miękkiej oprawie - idealnej lektury podczas oczekiwania. Powiedz „nie” zmarnowanemu na ściągnięcie stron internetowych TelstraGodzinom!

**CzatujZKlasa.com**: Spędziliśmy długie godziny, monitorując pokoje czatowe dla nastolatków na stronie Yahoo.

Ze zgrozą zauważyliśmy, że poziom prowadzonych w nich rozmów jest żenująco niski. Młodzi ludzie z całego świata spotykają się ze sobą i nie mają sobie prawie nic do powiedzenia. No może poza: „Hallllo” i „Jest tam ktoś????” albo „Kto jeszcze lubi Britney Spears?” Ściągnij nasz RozmownyFiltr i poczuj różnicę. Wpisz pytanko „Kto jeszcze lubi Manchester FC?”, a nasz filtr automatycznie przekształci je w zapytanie o ich ostatni mecz z Leeds. Wspomnij Jennifer López, a nasz RozmownyFiltr zamieni tę uwagę w pytanie o bardziej wyrafinowaną Macy Gray. Nie kłam tylko i wyłącznie w kwestii swojego wieku, płci czy zawodu, kłam natomiast na temat swojego wyczucia smaku.

**MowyPozegnalneNaPogrzebTaty.com**: W galopującym świecie sprzedaży internetowej trudno znaleźć czas dla własnych rodziców. Szczególnie kiedy dają wyraz swojemu przywiązaniu do StaregoPorządku, umie-

---

<sup>7</sup> \* Telstra BigPond - nazwa australijskiego dostawcy usług internetowych.



rając. Zaloguj się na naszej stronie, wprowadź kilka danych dotyczących swojego taty, takich jak jego imię czy hobby, a nasze oprogramowanie GłębokieUczucia stworzy dla ciebie chwytającą za serce mowę pogrzebową. Pogrzeb trochę w sieci, nim pogrzebiesz tatusia.

**ToIoWWWo@computerBS.com**: Czy istnieje prosty sposób na zdobycie odjazdowej nazwy dla strony internetowej, takiej jak goFish, Excite czy Yahoo? Tak! Wystarczy odwiedzić naszą stronę ToIoWWWo. Pamiętaj, jak naprawdę działa sieć - pełno w niej pracowników gigantycznych korporacji, ubranych w nudziarskie garnitury i udających nastolatków. Nasza zasada brzmi: im większa firma, tym bardziej dziecinną powinna nosić nazwę. Tak żeby nikt nie domyślił się prawdy - że nowa odjazdowa gospodarka niczym nie różni się od starej, w której poważne pieniądze zarabia zaledwie kilka międzynarodowych korporacji. Tylko nie mówcie o tym nikomu.

**MailowyObronca.com**: Wiele firm generuje tak dużo korespondencji wewnętrznej, że nie starcza im czasu na pracę. W MailowymObroncy udało nam się odkryć pewną zależność: im nudniejszy wydział, tym większą rozsyła liczbę e-maili. W<sup>T</sup> większości firm najwięcej e-maili zostaje wysłanych z Działu Szkoleń oraz Działu Zachowań w Przypadku Pożaru, a także z samego Działu IT. MailowyObronca zrywa połączenie każdej pracującej w tych działach osobie w momencie, gdy ta usiłuje się skontaktować ze światem zewnętrznym. Uznana za Stronę Najskuteczniej Przeciwdziałającą Ogólnoświatowemu Sfiksovaniu.

**NienawidzeNadetychKomputerowcow.com**: Nasza strona została stworzona z myślą o każdym, kto ma dość maniaków komputerowych. Uważamy, że treść jest ważniejsza od szybkiej przesyłki, wynalezienie internetu nie może się równać z wymyśleniem jo-jo, a każdy, kto wierzy w rewolucyjność sieci, jest dziwakiem. Zdobyła tytuł Najrzadziej Odwiedzanej Strony w ciągu dwudziestu lat swojego istnienia. I jesteśmy z tego bardzo dumni.

**Wszystko za friko**



Kosmiczny Kadet i ja, godni reprezentanci nizin społecznych, przystaliśmy na poboczu drogi. Usadowiliśmy się w dwóch ogromnych, wygodnych fotelach i czujemy się zupełnie jak na królewskich tronach. Kosmiczny Kadet zapada się w swój fotel jeszcze głębiej, rozkoszując się idealnym wyprofilowaniem oparcia.

I wtedy właśnie z jego ust padają znamienne słowa:

- Trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby wyrzucić coś takiego.

Mogą one oznaczać tylko jedno: Kosmiczny Kadet przejął moje geny. A konkretnie jeden z nich: gen zbieractwa. Gen sępienia. Podobnie jak jego ojciec, nie da rady przejść obojętnie obok garażowej wyprzedaży, akcji wyrzucania niepotrzebnych przedmiotów, a nawet cuchnącego wysypiska śmieci. Będzie musiał się zatrzymać i poszperać.

Jesteśmy właśnie w samym środku corocznej akcji pozbywania się zbędnych przedmiotów i jest to wyjątkowo zdradliwy okres dla kierowców. Jadący przed tobą samochód może znieacka zjechać w kierunku rynszotka, skuszony widokiem leżącej nieopodal wysłużonej termy, dumnie prezentującej swoje sfatygowane atuty na poboczu drogi.

Sprytny gość, będą mówili, trafiła mu się prawdziwa perełka.

Dlaczego właściwie się tak zachowujemy? Bez żadnego szczególnego powodu. No, może poza tym wspaniałym poczuciem bycia odkrywcą, któremu udało się zdobyć skarb niewidoczny dla cudzych oczu i który był w stanie docenić możliwości przedmiotów uznanych przez innych za bezwartościowe śmieci.

- *Możesz zamienić termę w schowek dla swoich dzieci.*

- *Możesz odwrócić ten trójnogi taboret i wykorzystać go do zabawy w rzucanie do celu.*

- *Możesz usunąć silnik ze znalezionej kosiarki do trawy i zamienić ją w szykowne pudełko na sadzonki.*

Po kilku chwilach słownej przepychanki udaje mi się przekonać Kosmicznego Kadeta do pozostawienia ohydnych poszarpanych foteli i ruszenia w dalszą drogę.

Zauważam, że mój syn aż podskakuje z radości. Zatrzymujemy się więc przy kolejnej sterce staroci. Wystarczy jeden rzut oka i Kosmiczny Kadet stwierdza:

- Uwielbiam to, tato.

### **Beznadziejny przypadek.**

Ktoś postanowił pozbyć się starego, zepsutego, czarno-białego przenośnego telewizora. Wygląda dokładnie tak samo jak ten, który stoi w naszym domu i który również planuję wyrzucić. Ledwie udaje mi się stłumić chęć zabrania go do domu. Sprawdziła się więc zasada: to, co natychmiast wyrzuciłbyś, gdyby tylko znalazło się pod twoim łóżkiem, urasta do rangi klejnotu, jeśli natkniesz się na to w cudzym koszu na śmieci.

Kłębek drutu, stary dziecięcy wózek, zniszczona szafka z działającymi uchwytami, zepsuty stół do ping-ponga -sięgamy po to wszystko, zanim nasz zdrowy rozsądek zdąży zaprotestować. W przyszłym roku podczas akcji sprzątania świata rzeczy te zostaną ponownie wyrzucone tylko i wyłącznie po to, by mógł je przejąć ktoś inny. Tak jak mój popsuty rower treningowy, któremu udało się okrążyć całą okolicę, częściej zmuszając naszych sąsiadów do dźwigania ciężarów i spacerów z obciążeniem niż pedałowania.

Kto z nas jest w stanie oprzeć się pragnieniu? Okrągłe okienko? Przejdź koło niego obojętnie, a tydzień później spodziewaj się informacji o śmierci dawno zapomnianego wujka, który lata temu wyemigrował do Afryki Południowej i właśnie tobie zapisał w spadku parostatek - w doskonałym stanie, jeśli nie liczyć jednego brakującego bulaja. Rolka linoleum? Następnego dnia oczekuj informacji ze szkoły: „Ze względu na rozpoczęcie zajęć z malowania przez szablon prosimy każde dziecko o przyniesienie kawałka linoleum”.

Ujechaliśmy zaledwie kilka metrów, a Kosmiczny Kadet już *zdążył* wypatrzeć sporą stertę gałęzi i właśnie namawia mnie, byśmy zabrali je ze sobą jako „świąteczną podpałkę na grilla”. Do gustu przypadł mu również przyrząd do robienia koktajli mlecznych ze zbitym szkiełkiem oraz kilka gniazdek elektrycznych.

Z każdym moim „nie” coraz bardziej traci humor.

- Wiesz, tato, że możemy sobie wziąć te rzeczy. I to zgodnie z prawem.

Obok kolejnego domu odsuwa na bok kilka pudeł i natrafia na kij do krykieta - porysowany od spodu, z rączką szczelnie owiniętą taśmą klejącą. Postanawiam odwieść syna od tego pomysłu.

- Zostaw ten śmieć, to nic niewarte.

Lecz on podnosi kij z ziemi, ogląda go pod światło i wykonuje próbny zamach.

Muszę przyznać, że to prawdziwe cacko. Stara, dobra szkoła produkowania kijów do krykieta. Delikatnie usuwamy warstwę lepkiej, postrzępionej taśmy. Kosmiczny Kadet pokpiwa ze mnie:

- Myślę, że jesteś mi winien przeprosiny. To wcale nie jest śmieć.

Zabieramy kij do domu i wdzięczni władzom za zorganizowanie akcji pozbywania się niepotrzebnych przedmiotów gawędzimy o tym, jak naprawimy, wyczyścimy i wypolerujemy kij, by odzyskał dawną świetność.

Po powrocie do domu czeka mnie jednak przykra niespodzianka. Zanim wyjechaliśmy na Iowy - czyli jakąś godzinę temu - zostawiłem na podwórku stertę rzeczy, których już nie potrzebowaliśmy. W tym: kawałek zardzewiałego metalu pochodzący z dawno zapomnianych tacek.

A teraz go nie ma. Nie mogę się temu nadziwić. Stałem właśnie twarzą w twarz z najważniejszą regułą rządzącą tą akcją: nie ma na świecie gorszego uczucia niż to, kiedy ktoś inny dostrzega wartość w czymś, co ty sam spisałeś na straty.

**Szkoda słów...**

Branża reklamowa od zawsze specjalizowała się w wyciąganiu pieniędzy od swoich klientów w zamian za hasła reklamowe lotów tak niskich, że mogły być równie dobrze napisane przez krasnala ogrodowego. Ale dopiero kilka lat temu udało się jej wymyślić zupełnie nowy fortel. Polega on na przekonaniu klienta: prawdziwie odkrywczą reklama to taka, która twierdzi: „Nasz produkt jest na tyle dobry, że nie potrzebuje żadnych haseł”.

Jak udało się zauważyć przeróżnym specem, tego rodzaju reklamy tworzy się o niebo łatwiej niż te, w których wykorzystuje się kretyńskie rymowanki z użyciem nazwy produktu.

Wygląda na to, że klienci dali się na to nabrać, bo połowa istniejących na rynku produktów może się poszczycić posiadaniem bezsloganowego sloganu reklamowego. Promocja marki Reebok dla przykładu składa się z serii nie najlepszych haseł reklamowych, z których każde kończy się zaskakującą puentą: „Reebok - żadnych haseł”. Pełna wersja brzmi: „Reebok - żadnych haseł, a już na pewno nie przed wyskoczeniem na lunch i utknięciem w kilometrowym korku”. Tekst, który kiedyś występował raczej jako treść przeproszającego telegramu wysłanego klientowi agencji reklamowej: „ŻADNYCH HASEŁ STOP SPRÓBUJEMY PONOWNIE JUTRO STOP” - urósł do rangi dumnie prezentowanego głównego sloganu reklamowego kampanii.

A co powiecie na genialne w swej prostocie: „Prawdopodobnie najlepsze piwo na świecie”? Niewykluczone, że myśl dręcząca producentów tego piwa to: „Prawdopodobnie mogliśmy wydać pieniądze na kampanię reklamową dużo lepiej”.

Reklama jest oczywiście jednym z mniej istotnych elementów kultury współczesnej. Jelitem cienkim organizmu, jakim jest społeczeństwo, organem żywiącym się osiągnięciami kultury wysokiej i przekształcającym je w... no cóż, odpadki. Ale produkcja czegoś tak niestrawnego jak bezsloganowe slogany sugeruje poważne problemy w najważniejszych partiach wspomnianego organizmu.

Problemy takie, jak wszechobecny kult ironii - postmodernistyczne zamiłowanie do przemądrzałości, samoświadomości, kpiącej półparodii i pogarda dla okazywania skromności.

Da się już zresztą zauważyć pierwsze ich owoce. Pośród nich - telewizyjne programy rozrywkowe, pełne porozumiewawczych mrugnięć, żartów z samego siebie, często z towarzyszeniem orkiestry na wpeł parodiującej własne utwory tworzące misterną, samos wiadomą konstrukcję zbudowaną na postmodernistycznych fundamentach.

A teraz jeszcze przyszedł czas na samoświadomą reklamę - radośnie przyznającą się do bycia reklamą z myślą o odbiorcach zbyt mało rozgarniętych, by samodzielnie to zauważyli.

Każda epoka ma swoją piętę Achillesa, taką dziedzinę, w której czujemy się zupełnie bezradni. Oto nasza współczesna słabość: skłonność do mylenia bycia sobą z uczciwością, podczas gdy tak naprawdę nie staramy się zrobić nic innego, jak tylko zwieść innych i zaprezentować to, co stare i byle jakie, w nowym, bardziej atrakcyjnym świetle.

Nigdy nie odnalazłem w sobie cieplejszych uczuć dla wszechobecnego kultu ironii, nawet wtedy gdy przed dziesięcioma laty miał on ograniczony zasięg i prezentowała go zaledwie grupka osób zbyt zajętych bieganiem po przyjęciach i wymianianiem ploteczek, by znaleźć czas na wyrobienie sobie zdania na temat kilku istotnych spraw. I tak, wiedzeni ostrożnością, zaczęli się coraz bardziej oddalać od reszty świata.

Ten trend jeszcze bardziej stracił na atrakcyjności, gdy stał się zabiegiem masowo kopiowanym w celu zwiększenia sprzedaży butów czy oglądalności telewizyjnego *show*.

Lecz czy istnieje większa ironia niż ta tkwiąca w sposobie, w jaki burzliwa, ważka dyskusja francuskich strukturalistów na temat relatywizmu kulturowego i naszej roli w wykorzystaniu jego osiągnięć zmieniła się w to, co teraz widzimy na ekranach telewizorów? Bandę otumanionych muzyków, garść reklam obuwia i kiepskich programów telewizyjnych?

Czy istnieje jakaś inna droga, którą zachodnia cywilizacja mogłaby podążać, gdy już znuży ją ironia? Pozostaje nam mieć nadzieję, że skoro ironia zdążyła trafić do reklamy butów, to jej koniec jest bliski. Pojawienie się ironii i samoświadomości w reklamie może oznaczać, że trafiły na sam koniec jelita cienkiego i zaledwie chwile dzielą je od radosnego wydalenia wprost do ustępu... podręcznika historii.

A gdy już się to stanie, będziemy mogli wybrać kolejne pozycje z menu: szczerłość, zaangażowanie, dążenie do wyższych wartości. I mieć nadzieję, że doczekamy czasów, w których zaczniemy wymagać od architektów, pracowników agencji reklamowych, pisarzy, projektantów i gospodarzy programów rozrywkowych nie tylko ich własnych pomysłów, ale też wiary w nie.

No proszę, post-postmodernizm. To dopiero coś.

## **Z archiwum Lxi**

Dla każdego młodego, wyprowadzającego się z domu po raz pierwszy faceta najważniejszą rzeczą jest umiejętność zadbania o siebie. Uznałem, że jako były typowy młody facet mam pełne prawo stworzyć idealny do wycięcia z książki i zachowania *Poradnik życia domowego dla idiotów*. Zostaw go dla znajomego niechlujnego kawalera (lub panny).

## **Pranie**

Spróbuj zasugerować typowemu młodemu facetowi noszenie tej samej pary slipek dwa dni z rzędu, a spojrzy na ciebie z urazą. Zamiast tego zdejmie bieliznę, rzuci ją na podłogę w łazience, żeby położyła tam co najmniej tydzień, a później włoży ją ponownie.

Tu właśnie tkwi sedno: typowy młody facet nie wierzy w to, że ubrania naprawdę trzeba prać. Wydaje mu się, że wystarczy pozwolić im odpocząć. Uważa, że jego majtki po prostu są nieco zmęczone i spocone i jedynie, czego im potrzeba, to odrobina spokoju, relaksu, wylegiwania się przez tydzień czy dwa na podłodze w łazience, a kiedy już im się to zapewni, w magiczny sposób będą nadawać się do ponownego włożenia.



Podobnie wygląda sytuacja z dresami, ulubioną koszulką, a także - w przypadku starszych mężczyzn - z garniturami, które, o ile zapewni im się odpowiednią dawkę wypoczynku, mogą nam służyć latami (a nawet z biegiem czasu zyskać zupełnie nowe funkcje).

Typowi młodzi faceci nie słyszeli jeszcze o wynalazku zwanym praniem, rozumiecie? Kiedy mieszkali w rodzinnym domu, również rzucali ubrania na podłogę, a po kilku dniach znajdowali je świeżutkie i pachnące w szafie. Wcześniej czy później przychodzi jednak moment odkrycia bolesnej prawdy: ubraniom nie udało się osiągnąć tego stanu samodzielnie. Ktoś im w tym pomógł. A temu komuś z kolei pomogło Białe Trzęsące się Urządzenie znajdujące się w Pomieszczeniu z Kafelkami na Ścianach.

## **Zmywanie**

Po wprowadzeniu się do własnego mieszkania typowy młody facet może być niemile zaskoczony faktem, że brudne talerze i szklanki gromadzą się w metalowym czymś w kuchni („zlewie”).

Najwyraźniej należy je umyć. Aby to zrobić, musisz się na moment upodobnić do chirurga: nałożyć grube gumowe rękawice, ochronny fartuszek i - oczywiście, jeśli będziesz miał ochotę - kondom, tak na wszelki wypadek.

Cała sztuczka polega na tym, by zamoczyć brudne talerze w gorącej wodzie i pocierać je tym mokrym czymś („gąbką”). Jeśli to nie pomaga, możesz spróbować użyć tamtego szorstkiego czegoś („to szorstkie coś”). Szokujące, lecz prawdziwe: czynność musi być powtarzana codziennie.

Dobra wiadomość jest taka, że jeśli nadal nie jesteś w stanie czegoś doczyścić, powinieneś „zostawić to do odmoknięcia”, co w języku młodych facetów oznacza: „później zajmie się tym Janice”.

## **Prasowanie**



Jeśli chodzi o prasowanie, typowi młodzi faceci zawsze starają się pójść na skróty. Jeżeli uprasują przód koszuli, to pominają jej tylną część. Skoro i tak włożą na nią marynarkę, to po co się starać? W miesiącach zimowych są znani - no dobrze, nawet ja - z prasowania wyłącznie kołnierzyka i przedniego fragmentu koszuli w kształcie litery V, licząc na to, że resztę zakryje sweter.

A tak naprawdę uprasowanie całej koszuli nie jest niczym trudnym. Wystarczy ustawić odpowiednią temperaturę i pamiętać o najważniejszej zasadzie prasowania dla idiotów: jeśli twoja koszula ma naprawdę dłuuuugie rękawy, to równie dobrze mogą to być twoje spodnie.

## **Czyszczenie podłogi**

Zanim zabierzesz się do odkurzania swojego gniazdka, musisz się zorientować, z jakim rodzajem podłogi masz do czynienia, co w mieszkaniu pełnym typowych młodych facetów może okazać się niełatwe.

Spójrz na podłogę i spróbuj określić, czym jest pokryta. Tak jest - pudełkami po pizzy i umazanymi smarem częściami motocykłowymi. A teraz spróbuj zajrzeć pod pudełka i części. Aha! Znalazłeś podłogę! I kilku dodatkowych lokatorów! Jaka szkoda, że faceci zostali genetycznie obciążeni poczuciem odrazy do odkurzacza.

## **Gotowanie**

Wcale nie jest tak trudne, jak się wydaje. Po prostu musisz dbać o to, by każdy z twoich posiłków zawierał wszystkie podstawowe składniki odżywcze:

- 1) Jedzenie z szafki kuchennej.
- 2) Jedzenie z lodówki.
- 3) Jedzenie zamówione przez telefon.
- 4) Piwo.

Reguły rządzące gotowaniem są dziecinnie proste. Jedzenie z szafki kuchennej należy zagotować lub podgrzać, podczas gdy to z lodówki należy usmażyć lub upiec. Jedzenie z szafki to tak zwane węglowodany i należą do nich makaron, ryż i ziemniaki. Jedzenie z lodówki z kolei zawsze stanowi źródło białka - o ile nie jest zielone. Jeśli jest, zazwyczaj mamy do czynienia z bardzo przeterminowanym mięsem. W pozostałych marginalnych przypadkach z warzywem.

Tak czy inaczej, typowy młody facet i tak nie będzie chciał tego zjeść. Naturalna ochota na „coś zielonego” zostanie zaspokojona otworzeniem kolejnej puszki heinekena.

## **Czyszczenie łazienki**

Wielu typowych młodych facetów jest zszokowanych informacją, że czyszczenie toalety nie ogranicza się do spuszczenia wody. Z przerażeniem patrzą więc na bałagan, który rozpanoszył się w ich łazience, i mają nadzieję, że „cuchnąca czerń” stanie się oficjalnie przyjętym kolorem wyposażenia łazienkowego.

Powinni dać sobie jeszcze chwilkę na zastanowienie, a później zamknąć łazienkę na cztery spusty i nie wchodzić do niej przez co najmniej tydzień. Być może, podobnie jak ich bielizna, wymaga ona solidnego odpoczynku.

## **Test post-ciężowy**

Grono mam - czasem nawet podwójnych - powiększyło się jakiś czas temu o kilka nowych członkiń, takich jak Demi Moore, Madonna czy Halle Berry. Kilka lat temu nawet Michaelowi Jacksonowi udało się zasmakować ojcostwa, które to poczęcie zostało zaplanowane chyba tylko po to, by pozwolić Michaelowi odpocząć od niezdrowych plotek na swój temat.

Wygląda na to, że dziecko stało się najmodniejszym gadżetem wśród hollywoodzkich gwiazd - idealne zarówno żeby podreperować nieco swoją karierę, jak również zamknąć usta osobom wtykającym nos w nie swoje sprawy.

Z całą pewnością doświadczenie bycia hollywoodzką mamą odbiega nieco od normy, i to już od momentu zarezerwowania sobie miejsca w klinice w Los Angeles, w której rodzą wszystkie gwiazdy.

Zewsząd otaczają nas sławni rodzice, może więc warto sprawdzić, czy jesteś jednym z nich? Pomoże ci w tym nasz krótki test.

Kiedy moje dziecko płacze, zazwyczaj budzę się:

- a) w tej samej sekundzie,
- b) prawie natychmiast,
- c) po kilku chwilach,
- d) wcale się nie budzę, w przeciwieństwie do niani i jej pomocników z nocnej zmiany.

Tym, co oddziela mnie od dziecka, jest:

- b) pigułka,
- c) prezerwatywa,
- d) elektryczne ogrodzenie dzielące domek niani od głównej posesji.

Pierwsze zdjęcie mojego dziecka zostało zrobione:

- a) na jego kocyku,
- b) w kąpielni,
- c) w szpitalu,
- d) z torby niani, a później sprzedane „Faktowi”.

Gdy byłam w ciąży, zawsze wyglądałam:

- a) na bardzo zmęczoną,
- b) jakbym połknęła balon,
- c) promiennie,
- d) jakbym uciekła z plaży nudystów na okładkę „Vanity Fair”.

Wolny czas spędzam, produkując:

- a) mleko,
- b) swój nowy film.

Posiadanie dziecka postrzegam jako sposób na:

- a) nadanie życiu sensu,
- b) docenienie drobnych radości,
- c) odnalezienie równowagi pomiędzy pracą i zabawą,
- d) zdobycie taniego rozgłosu.

Jak często twoje dziecko wyprowadza cię z równowagi?

- a) nigdy, uwielbiam być mamą,

b) czasami, zwłaszcza gdy wyżynają mu się ząbki,

c) zawsze - jestem wrakiem człowieka,

d) zaraz, zaraz, to chyba jakaś pomyłka... mama ubiera je na niebiesko, ja wkładam coś różowego, potem zbierają się paparazzi, i to ja wyprowadzam je do nich.

Wkładam dużo wysiłku, żeby wykształcić w swoim dziecku nawyk:

a) samodzielnego zasypiania,

b) jedzenia posiłków,

c) kąpieli,

d) bywania w Caesar's Palace.

Chciałabym, żeby przed swoimi drugimi urodzinami moje dziecko potrafiło już poruszać: a) rękami i nogami,

b) mięśniami twarzy,

c) główką,

d) się po swojej części posesji.

Za moment opanowania „zdolności motorycznych”

przez swoje dziecko uważam:

a) złapanie przez nie ołówka,

b) podniesienie łyżeczki,

c) połączenie dwóch klocków,

d) zwymiotowanie na tylne siedzenie limuzyny.

Jeśli moje dziecko coś przeskrobie, za karę każę mu:

- a) stać w kącie,
- b) zostać w swoim pokoju,
- c) pomyśleć przy jego biurku nad tym, co zrobiło,
- d) zjeść obiad w klasie ekonomicznej.

Nigdy nie wychodzę z domu bez:

- a) torby z pieluchami
- b) nosidełka,
- c) chusteczek dla niemowląt,
- d) ochroniarza i wizażystki.

Moje dziecko narodziło się:

- a) z namiętności
- b) w wyniku spędzenia kilku upojnych chwil na tylnym siedzeniu bmw,
- c) ponieważ od zawsze chciałam je mieć,
- d) w głowie mojego agenta.

Ostatni raz, kiedy moje dziecko zjadło cały posiłek, byłam w stanie:

- a) absolutnej radości,
- b) odetchnąć z ulgą,
- c) pełnej rodzicielskiej satysfakcji,
- d) w którymś ze stanów środkowozachodnich. Prawdopodobnie Idaho. Na planie nowego filmu braci Cohen.

Kiedy uczę swoje dziecko korzystać z nocnika:

a) pozwalam mu wybrać odpowiedni moment,

b) sadzam je na nocniku i czekam,

c) stosuję drobne przekupstwo,

d) cieszę się ze wszystkiego, co uda mu się zrobić -tak samo reaguję na własne zbliżone jakości produkcje.

Punktacja: Policz cztery punkty za każdą odpowiedź „d”. W tym teście, podobnie jak w życiu, łatwo jest zdobyć punkty, będąc gwiazdą Hollywoodu.

## **Kosz rzeczy zbyt trudnych**

Powinienem się domyślić, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Stojąc o dziesiątej w nocy nad deską do prasowania, podczas gdy Jokasta spryskiwała łazienkę jakimiś chemikaliami, niespodziewanie dostrzegłem białe plastikowe dno naszego kosza z rzeczami do uprasowania.

Uwierzcie mi, że była to prawdziwa niespodzianka po tych wszystkich latach. Drzwi sezamu się uchylily, pokusa była zbyt silna, by się jej oprzeć. Zaledwie jedna pstrokata koszula dzieliła mnie od osiągnięcia nietkniętego ludzką stopą szczytu: gospodarstwa domowego, w którym ani jedna rzecz nie czekałaby na uprasowanie.

Gdy mamy naście lat, do głowy przychodzą nam różne fantazje, ale z biegiem czasu sprowadzają się one do jednego: doczekania dnia, w którym uprasujesz wszystko, co było do uprasowania. Lecz wtedy ta fantazja wyryka się spod kontroli. Skoro udało mi się opanować prasowanie, myślisz sobie, to co stoi na przeszkodzie, by odzyskać kontrolę nad wszystkimi pracami domowymi? Od tej pory będę zorganizowany. Będę zawsze górą.



Stanę na szczycie Góry Posegregowanych Odpadków. Zostanę Pogromcą Prysznic. Władcą WC Kaczek.

Oczywiście już następnego dnia pojawią się kolejne rzeczy do uprasowania, formując nowe szeregi, z którymi przyjdzie mi się zmierzyć. Ale przez ten jeden wyjątkowy wieczór ich tu nie będzie, a ja będę mógł włożyć nasze puste kosze na rzeczy do uprasowania jeden w drugi, budując z nich chwiejną konstrukcję zapomnianych na moment wyrzutów sumienia.

Zresztą nie chodzi tylko o prasowanie. W nowoczesnym domu chaos zdaje się czyhać tuż za progiem, czekając na odpowiedni moment, by zaatakować. W gospodarstwie dwudziestego pierwszego wieku, złożonym z podwójnych dochodów, paru dzieciaków i domu obciążonego hipoteką po dach, cotygodniowym celem jest bezpieczne prześlizgnięcie się ponad krechę.

Jest sobotni poranek. Dzieciaki wciąż nie trafiły za kratki. Każdemu udało się czymś wypełnić żołądek. Nie wybuchła żadna poważniejsza epidemia. Cała rodzina odwaliła kawał dobrej roboty.

Lecz jeśli zdarzy ci się zapomnieć o wykonaniu jakiejś drobnej czynności domowej, jeśli stracisz czujność choćby na jedną noc, twój dom z całą pewnością zatrzęsie się w posadach. Skażesz się na Północne Prasowanie. Zanim się zorientujesz, chaos wskoczy ci na głowę, powali na podłogę, a ty będziesz się wił jak piskorz przygwożdżony jego ciężarem. Nagle w lodówce nie znajdziesz ani grama margaryny, gazownia odetnie dopływ gazu, a sterty rzeczy do uprasowania zablokują wszystkie wyjścia.

Wtedy też Jokasta, załamana porażką, zacznie spędzać wieczory na wpatrywaniu się w poplamioną sokiem kanapę (bezszykownie strasząc ją wybielaczem do tkanin, nim wymierzy jej ostateczny cios - wizytę w pralni chemicznej).

By podźwignąć się z tego żalostnego położenia, musimy pracować do późna. Włożyć w to nieco wysiłku. Wyrzucić chaos tam, gdzie jego miejsce, czyli za drzwi. Dlatego też zdecydowaliśmy się przedłużyć nieco obchody Wielkiego Wtorku przy Desce do Prasowania (konkurującego o palmę pierwszeństwa z cotygodniową Adoracją Najczystszej Łazienki).

Około godziny dwudziestej drugiej zabieram się do prasowania pstrokatą koszuli Jokasty. Teatralnym gestem przykładam gorące żelazko do materiału. Nie mogę doczekać się momentu, gdy wmaszeruję do sypialni, rzuć kosz w stronę Jokasty i upojony sukcesem wykonam taniec zwycięstwa. „Opróżniłem wszystkie trzy kosze z praniem!” Jej własny Człowiek z Żelaza.

I wtedy właśnie wydarzyło się najgorsze. Nie, nie chodzi o eksplodujące żelazko. Ani o to, że koszula była z muślinu i stanęła w płomieniach przy pierwszym kontakcie z metalem. Wszak porażka zakrada się niezauważona.

Jokasta, sprząając pralnię, odkryła, że wcale nie mamy trzech koszy z ubraniami do uprasowania. Mamy ich aż cztery. I właśnie ten czwarty wypełniony po brzegi czeka od kilku miesięcy na swoją kolej. Jokasta bez słowa wnosi go do pokoju i ustawia obok deski do prasowania, w momencie gdy kończę prasować jej pstrokatą koszulę.

Wszyscy wiemy, co znajduje się w koszu zostawionym na koniec, prawda? Rzeczy trudne do uprasowania. Rzeczy, które udało się przemycić twojemu partnerowi, gdy na moment spuściłaś go z oka - kosz pełen pirackich koszul, falbanek, najdelikatniejszych materiałów, zakładek, plisek i kryz.

Jest to tak zwany morderczy kosz. Kosz rzeczy zbyt trudnych.

Być może ty również jesteś fanem tego uczucia, gdy jeden zamaszysty ruch po gładkiej powierzchni dzieli cię od uprasowania ręczniczka kuchennego? Zapomnij. Upasowanie chusteczki do nosa? Nie tym razem. Tuż przed wybiciem północy z żalem odnotowujemy kolejną porażkę i osuwamy się w ramiona chaosu.

Nie pozostaniemy w nich jednak długo. Dokonamy przegrupowania naszych rodzinnych szeregów. Wykażemy się nadludzką odwagą, by na koniec oddać kosz matce Jokasty (bez wdawania się w szczegóły dotyczące jego zawartości), próbując ją namówić do wyświadczenia nam drobnej przysługi.

Chcąc wyjść cało z opresji zwanej dwudziestym pierwszym wiekiem, nie zawsze da się grać zgodnie z zasadami.

## ROZDZIAŁ 6

---

*Dodaj do tego pretensjonalne pseudopoetyckie wstawki, a będziesz wiedział, jaki obraz mnie narodził się w głowie Jokasty: afektowany intelektualista traktujący porządek jako swego rodzaju fetysz. To musiał być dla niej szok, gdy wreszcie się do niej wprowadziłem z gromadzonym od sześciu tygodni zapasem brudów, piwa domowej roboty i wysłużoną hondą.*

### **Jęcząca rywalizacja**

Jokasta ma szczerą nadzieję, że nigdy nie odetnę sobie nogi piłą łańcuchową, bo jeśli nawet to się stanie, ona i tak nie zwróci na to uwagi. Będzie sobie spokojnie siedziała w domu, przerabiając kolejną lekcję korespondencyjnego kursu pierwszej pomocy, ignorując tryskającą krew i moje szałe okrzyki w rodzaju: „O mój Boże, szybko, szybko, ja chyba umieram!”

Jej zdaniem jedyną osobą, którą mogę obwiniać o ten stan rzeczy, jestem ja sam. Twierdzi, że wielokrotnie słyszała moje potępieńcze krzyki o sile sugerującej utratę przynajmniej jednej ważnej części ciała, gdy tak naprawdę chodziło o stłuczony palec.

Próbuję jej wytłumaczyć, że ból z tym związany jest niewyobrażalny - a może nawet większy niż w przypadku szybkiego, chirurgicznego cięcia piłą łańcuchową - lecz ona tylko przewraca oczami i pośpiesznie wraca do domu. Pewnie po to by dopisać parę własnych uwag do notatek z lekcji dotyczącej dupków i ich urojeń. To jeszcze bardziej psuje mi humor. Nie ma nic gorszego niż odgrywanie przedstawienia, żeby otrzymać odrobinę współ-

czucia, i zorientowanie się, że publiczność ulotniła się jeszcze przed antraktem.

Każdy może być dzielnym wojownikiem, ale część z nas dodatkowo oczekuje od swojego partnera pełnego współczucia. Jest to zresztą zrozumiałe. I niestety pogłębia się z wiekiem.

Dopóki nie jesteś w poważnym związku, dopóty wydaje ci się, że jedyne, czego oczekuje się od partnera, to miłość, przyjaźń, pensja i seks. Lecz po kilku latach wspólnego życia okazuje się, że wszystko to jest niczym w porównaniu z największym darem, jaki możesz otrzymać od ukochanej osoby: godzinki cierpliwego słuchania twojego marudzenia.

Ochota na seks może się zmniejszyć, lecz to kręci absolutnie zawsze. Zaczyna się już na schodach wejściowych, kiedy oboje wchodzić do domu i wydajecie z siebie przeciągły jęk. Wcale nie z powodu zbitego palca, lecz wrednego szefa, zatłoczonego pociągu i nerwowego klienta.

Opowiadasz partnerowi o tym, co cię dzisiaj spotkało. Kto i w jaki sposób dał ci w kość. Jakiego miałeś pecha.

Dobry partner powinien w tym momencie westchnąć i powiedzieć coś w rodzaju: „To straszne” albo „Biedactwo”.

To nie miłość. To litość. I jaką słodką jest ona nagrodą...

Na początku związku ludzie nie mogą sobie pozwolić na tego rodzaju sceny. Mogą wspólnie spędzać czas w łóżku, ale nigdy porządnie sobie nie pomarudzą.

Osoby próbujące kogoś uwieść starają się pokazać, jakie są mocne i szczęśliwe, prowadząc swoje doskonałe, pełne radosnych zbiegów okoliczności życie. Dziwnym trafem bardzo często jest to również życie zawodowego windsurfera.

Po kilku latach małżeństwa można się wreszcie zdobyć na uczciwość i powiedzieć, jak beznadziejnie naprawdę się czujemy. Nadal mamy do czynienia z przesadą, tak jak to jest w wypadku towarzyskich anonsów dla singli, ale tym razem jest to przesada w zgoła inną stronę. Tym razem chcemy, żeby nasz partner wiedział, jakimi jesteśmy nieudacznikami. Chcemy uświadomić naszym wybrankom, na jak kiepskie partie się zdecydowali.

Będziecie to sobie mogli lepiej wyobrazić po przeczytaniu anonsu towarzyskiego takiego marudera:

„Mężczyzna, lat czterdzieści. Śmiertelnie zmęczony życiem, miewający problemy ze snem, nękany ciągłymi atakami astmy, z kręgosłupem uszkodzonym podczas przesuwania lodówki, nienawidzący swojego szefa i ledwie się poruszający ze względu na ból wywołany wrastającym paznokciem palca u nogi. Kariera, tak na marginesie, tkwi w miejscu”.

Możemy jedynie dziękować Bogu, że udało mu się już znaleźć swoją drugą połówkę:

„Kobieta, lat czterdzieści. Po przejściach, z pełnym wachlarzem problemów zdrowotnych, spóźniła się dziś rano na pociąg głupie trzydzieści sekund. Jej kariera utknęła w martwym punkcie, kobieta na własne ciało patrzy ze wstrętem, a strzykanie w krzyżu zawdzięcza swojemu chytremu mężowi, który skąpi paru dolarów na porządne łóżko”.

Chcemy mieć przy sobie kogoś, kto będzie wiedział, jak bardzo wybiista jest nasza droga przez życie. Komu, jeśli nie naszemu partnerowi, mamy opisać każdy jej dołek i koleinę?

Cały wic polega, rzecz jasna, na zamienianiu się i jak najszybszym załatwieniu sprawy. Godzina poprzedzająca zjedzenie kolacji jest w większości domów przeznaczona właśnie na to. To takie przeciwieństwo *happy howr*, kiedy wszyscy są zmęczeni i głodni, a poniżenia zebrane podczas całego dnia wciąż świeże.

Jest to godzina poświęcona jęczącej rywalizacji, gdy każdy z partnerów stara się przebić okropieństwa relacjonowane przez drugą stronę.

- Wydaje ci się więc, że to t y miałeś okropny dzień...

- Uważasz zatem, że t w ó j szef to skurczybyk... Jest to ta pora, kiedy cały świat ma cztery lata. Najlepsze

jest, że może się też trafić jakiś prawdziwy czterolatek do kompletu, pozwalając ci na wygłoszenie czegoś w rodzaju:

- Zamknij się i zacznij zachowywać dojrzałe.

W całej tej walce o odrobinę uwagi nie wolno przecież zapomnieć, kto tu jest rodzicem.

A później, gdy już prawdziwe dzieci trafią do łóżek, można wreszcie samemu wydorosnąć i podzielić się tą rolą ze swoim partnerem - czule i bezpiecznie otulającym cię bezmiarem swojej litości.

## **Parada dziwności**

Jak co roku przyszedł czas na australijskie Mardi Gras i jak zwykle frekwencja przeszła najśmielsze oczekiwania. Parada płynie główną ulicą naszych przedmieść. Sprawdźmy, czy uda nam się zidentyfikować kilka platform wchodzących w jej skład.

## **Ludzie w spodniach na gumkę**

Wrócili! Grupa wsparcia dla heteroseksualnych kobiet i mężczyzn, którzy preferują ubrania dające im poczucie swobody szczególnie w okolicach brzucha.

- Zbyt długo więziliśmy nasze ubrania w szafie, a szczególnie moje spodenki do ćwiczeń i porozciągane galoty -mówi prezydent klubu Amanda z Five Dock. - Teraz, dzięki LSG, pozwalam, by to wygoda była moim guru, nawet w pracy, niezależnie od kąśliwych uwag stylistów-faszy-stów. Czy czuję się wyzwolona? Jeszcze jak!

Specjalnie na potrzeby parady Amanda zorganizowała spektakularny pokaz mody luźnej, w większości wzbogaconej kawałkami gumy wszytej po bokach.

Radykalna frakcja grupy zdecydowała się jednak na pozostanie w domach na znak solidarności z ubraniami, które nadal są uwięzione w szafach.

- Takimi jak na przykład buty marki Ugh - wypowiedział się w tej kwestii rzecznik.

## **Małomówni z natury**

Presja społeczna jest czymś okropnym, szczególnie gdy okładki kolorowych magazynów naciskają na mężczyzn, by się otworzyli i zaczęli szczerze opowiadać o własnych uczuciach. Lecz co z tymi, którzy już urodzili się małomówni i czują naturalną potrzebę trzymania języka za zębami? Ellen, żona jednego z członków towarzystwa, przyznaje:

- Stworzenie ruchu reprezentującego interesy małomównych z natury Australijczyków okazało się prawdziwym wyzwaniem ze względu na trudność ze znalezieniem odpowiedniego kandydata na rzecznika.

Spotkania członkowskie, jak twierdzi, nie odbijają się zbyt głośnym echem.

- Kilka lat temu pojawił się problem, kiedy to Michael zaczął opowiadać o trudnych relacjach pomiędzy nim a jego ojcem. Na szczęście reszta członków nerwowo wlepiła wzrok w podłogę i Mike szybko zrozumiał swój błąd. Od tamtej pory wszystko przebiega bez zgrzytów.

Prostota jest znakiem rozpoznawczym tej platformy: stanowi ją po prostu pięciu facetów siedzących na niepozornej przyczepie w absolutnym milczeniu, od czasu do czasu raczących się łykiem piwa. Czy zależy im na większym szacunku dla grupy, którą reprezentują? Mężczyźni niepewnie kołyszą się z nogi na nogę:

- E, to nic wielkiego, ale no tak, to byłoby okej.



## **Babcie z drutami**

Towarzystwo radykalnych babć z Box Hill robiących na drutach i otwarcie przyznających się do dzielenia sprzętem. Na czele platformy widzimy grupę maszerujących wnucząt ubranych w swetry z trzema rękawami, wykonane z owczej wełny.

## **Budowniczości tarasów**

Jest to grupa mężczyzn z południowego zachodu Adelajdy, dających ujście własnej ekspresji przez dobudo-wywanie do swoich domów nowych elementów, takich jak pokój do gier, palenisko do barbecue czy tarasy. Platformę tej grupy zdobi hasło: „Wiemy, że robimy niepotrzebne zamieszanie, i mamy to gdzieś”. Nie liczcie na zbyt wiele ujęć tej platformy podczas relacji telewizyjnych. Każdy jej centymetr kwadratowy oklejony jest zbliżeniami udogodnień wybudowanych przez poszczególnych mężczyzn.

- To cudowne - mówi jeden z nich. - Przyjechać tutaj i wreszcie porównać wielkość naszych tarasów.

## **Nieletnie ofiary konsumpcjonizmu**

- Staramy się nie czuć jak ofiary - mówi założyciel Lukę z Hobart, lat siedem - ale i tak wiemy, że nimi jesteśmy.

Wyobraźcie to sobie: całymi dniami oglądacie telewizję kablową i grać w Nintendo, a posiłki jadacie w McDo-naldzie. I to ma być życie?

- A jednak - przyznaje Lukę - trudno byłoby nam z tego zrezygnować.

Co stało się ze staroświeckimi rozrywkami, takimi jak gra w krykieta czy jazda na rowerze? Jak zapewnia Luke:

- Dzisiaj zamierzamy o nich przypomnieć, jadąc na czele parady przedpotopowymi rowerami.

Organizatorzy wierzą, że nazwa tej grupy - Ziółka na Kólkach - zapadnie w pamięć nie tylko uczestnikom parady.

### **Ludzie, którzy zrywają boki podczas lektury kącików kulinarnych i o stylu życia w prasie codziennej**

- Stary, dla nas to istna beczka śmiechu! - mówi Dennis, mieszkaniec Perth, założyciel grupy. - No bo jak można płacić trzydzieści dwa dolary za stek!? Dwadzieścia pięć dolarów za butelkę wina? I wreszcie siedemdziesiąt dolarów za męskie strzyżenie? Jednego dnia natknąłem się nawet na reklamę patelni za trzysta dwadzieścia dolarów.

W oczach Dennisa pojawiają się łzy rozbawienia, by po chwili spłynąć mu po policzkach.

- Wiem, że nie powinno się śmiać z mniejszości, ale przyznaję, że obserwowanie poczynań znawców stylu sprawia nam niezłą frajdę.

Platforma Dennisa zaopatrzona jest w wielką lodówkę pełną mięsa kupionego w ramach oferty dnia, a sam organizator ma nadzieję natknąć się później na grupę kolesi budujących paleniska do grilla. Rezultat powinien być podobny do zeszłorocznego przyjęcia kończącego karnawał: skwierczenie.

### **Na szczeniaka urok**

- Proszę pamiętać - zwraca się Jokasta do wychowawczynie podczas zebrania szkolnego. - Liczę na to, że uda się pani pozbawić go animuszu. Po

to w końcu płacimy podatki: żeby uzyskać tego rodzaju profesjonalną pomoc w momencie, gdy jej naprawdę potrzebujemy.

Na twarzy nauczycielki Kosmicznego Kadeta pojawia się grymas.

- Ależ ja staram się to właśnie robić - mówi. - Tylko za każdym razem, gdy udaje mi się uszczknąć kawałeczek, na jego miejsce pojawia się nowy.

Kosmiczny Kadet został zbyt hojnie obdarzony przez naturę... urokiem osobistym. Za często łobuzersko się uśmiecha. I to mnie martwi. Na placu zabaw kilka jego rówieśniczek traktuje go, jakby był czymś pomiędzy ich bożkiem a pluszowym misiem. Kosmiczny Kadet chichocze, wrywa się z ich objęć i radośnie biega dookoła.

Słyszę, jak Jokasta próbuje podsunąć nauczycielce kilka metod na złamanie go.

- On jest taki słodki - słyhać głosy dziewczynek na boisku.

Niezależnie od pomysłów, na jakie wpadną obie panie, nie wydaje mi się, by w jakikolwiek sposób mogły one pomóc.

Nie mam pojęcia, jak postępować z Kosmicznym Kadetem, ponieważ sam zawsze byłem niezgrabnym i brzydkim dzieckiem. Zastanawiam się zresztą, czy jego urok nie gwarantuje lepszego startu w dorosłe życie.

Kiedy byłem ośeskiem, moje uszy odstawały tak szpetnie, że matka zdecydowała się przyczepiać je taśmą klejącą do głowy w nadziei wpłynięcia na kierunek ich wzrostu. Kobieta w Rękawiczkach codziennie tuż po przebudzeniu nakładała kolejne warstwy taśmy pod przeróżnymi kątami, traktując mnie jak wyjątkowo trudny do zapakowania przedmiot.

Robiła to aż do wizyty pielęgniarki środowiskowej, która zasugerowała, że to właśnie mogło być przyczyną niespodziewanego pojawienia się jaskrawoczerwonej wysypki dookoła mojej czaszki.

Tak czy owak, pomiędzy incydem z wysypką a powrotem uszu na przynależne im miejsce niewiele było osób tłoczących się wokół mojego wózka. Bywało ciężko, to prawda. Ale przynajmniej nie nabawiłem się jakichś niezdrowych wyobrażeń na temat życia. I choć po wysypce nie został

nawet najmniejszy ślad, wciąż cechuje mnie umiarkowany optymizm co do własnej atrakcyjności w oczach innych, a także para całkowicie przylegających do głowy uszu. („I to tylko i wyłącznie dzięki taśmie" - jak zauważyła moja matka niemal przy każdym naszym spotkaniu).

Zastanawiam się, czy nie jest to też dobre rozwiązanie dla Kosmicznego Kadeta. Moglibyśmy uczynić z tego naszą rodzinną tradycję i oklejać jego uszy taśmą w taki sposób, by zaczęły odstawać. Przynajmniej miałby jakiś powód do zmartwień.

Mój kolega twierdzi, że kiedy jego dwie córki osiągną wiek odpowiedni do chodzenia na randki, będzie szczęśliwy, jeśli to Batboy będzie im towarzyszył - ponieważ z całą pewnością będzie ostrożnie prowadził samochód i przywiezie je do domu o przyzwoitej porze. Dla pełnej jasności ostrzegłem mnie też, że nie zamierza odbierać telefonów od Kosmicznego Kadeta - być może winą za to należy obarczyć jego blond włosy lub też zbyt silny błysk w oku. Potrzeba odebrania mu nieco animuszu staje się coraz bardziej paląca.

Gdy wkroczyłem w wiek dojrzewania, moja matka dała sobie spokój z uszami i skoncentrowała się na zębach. Tym razem postanowiła zasięgnąć porady specjalisty i udała się do ortodonta (taśma klejąca w tym przypadku okazała się bezużyteczna).

Po dwóch latach noszenia aparatu postanowiłem pozbyć się wartego dwa tysiące dolarów ustrojstwa ze swych ust i był to jeden z nielicznych przejawów mojego młodzieńczego buntu. Pewnego popołudnia, ukryty w składziku na narzędzia, w stanie desperacji dokonałem aktu zniszczenia - z użyciem dłuta, młotka i pary kombinerek udało mi się odczepić aparat od zębów.

Pamiętam, że umówiłem się tamtego wieczoru na randkę i uznałem, że moja potencjalna przyszła dziewczyna może nie mieć ochoty całować się ze mną, gdy będę miał na zębach aparat (wobec czego zdecydowałem się jej zaprezentować krwawiące, poharatane dłem dziąsła oraz zęby poplamione klejem).

Podobnie jak w przypadku taśmy klejącej wkrótce stało się jasne, że usunąłem aparat o rok za wcześnie. Gdybym wykazał się odrobiną cierpliwości, byłbym teraz wierną kopią Brada Pitta.

Los Kosmicznego Kadeta w dalszym ciągu nie daje mi spokoju. Co się stanie, jeśli nauczycielom nie uda się go złamać? Czy jest ktoś, komu można by było zlecić lekkie pokieraszowanie mojego syna?

Wracając do placu zabaw: Kosmiczny Kadet właśnie tańczy i macha swoim koleżankom z wysokości schodów biblioteki.

- Spróbujcie mnie złapać - krzyczy, a w chwilę później biegnie w ich stronę z szeroko rozłożonymi ramionami.

Komplecik krzywych zębów upodabniających go do tatusia? To może być nasza jedyna nadzieja.

## **Mleczna kanapa**

Oto, do czego doszło: stoję obok Jokasty i wpatruję się w materiał na zasłony w nadziei upodobnienia się do odpowiedzialnego dorosłego. I nagle, zapewne na skutek napięcia, jakiemu zostałem poddany, pozwalam się porwać przyływowi nostalgii. Przypuszczam, że materiał na zasłony w cenie piętnastu dolców za metr jest wart każdego centa, ale gdzie się podziały przedmioty, których używałem do dekoracji wnętrz, mając dwadzieścia parę lat? I to dekoracji, które wciąż zdobią mieszkania młodych facetów jak świat długi i szeroki.

Znamy różne style dekorowania wnętrz, począwszy od Bauhaus, poprzez minimalizm, na federacyjnym skończywszy. Lecz czy komuś przyszło do głowy, by pochylić się nad tym unikalnym, pierwotnym stylem? Mamy pełne prawo nadać tej szkole chlubne miano „australijskiej młodochłopskiej”.

Prezentację czas zacząć.

## Meble

Fani australijskiej sztuki pierwotnej prześcigają się w kupowaniu stołów marki Laminex i jaskrawopomarań-czowych lamp. Ile jeszcze trzeba czekać na pojawienie się w ofercie sklepów z antykami rustykalnych wyrobów z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, takich jak przewrócona do góry nogami skrzynka na mleko służąca za kanapę? Wynalazek ujrzał światło dzienne we wczesnych latach sześćdziesiątych za sprawą dwójki młodych ludzi z Brisbane i wkrótce rozpowszechnił się w całym kraju. To właśnie cechującemu mieszkańców południa upodobaniu do wygody zawdzięczamy kawałek gąbki umieszczony na wierzchu czterech skrzynek po mleku. Ukłon podziękowania dla chłopaków z Adelajdy, którzy to z właściwym sobie wyczuciem stylu dołączyli jeszcze dwie skrzynki ustawione naprzeciw kanapy, tworząc tym samym swoiste miejsce do prowadzenia dyskusji.

Później, niektórzy twierdzą, że za sprawą Darwina, pojawiła się idea dołączenia stolika do kawy - przejaw niezobowiązującego eklektyzmu. I znów mamy do czynienia z „elementem zapożyczonym” - ustawionym do góry dnem pojemnikiem na śmieci, drewnianą skrzynką na owoce, beczką po winie.

Czas przejść do poduszek. Wraz z opróżnieniem wspomnianej już beczki z winem pojawiała się paląca potrzeba złożenia głowy na czymś miękkim. Z łaski bożej - lub raczej z łaski winiarni Berri Estates - poduszka ta w postaci worka do przechowywania wina znajdowała się w zasięgu zmęczonej głowy. Całymi miesiącami nadmuchane worki po winie spoczywały w wielu salonach, nadając im wytworny charakter.

Dodajmy do tego jeszcze półkę na książki wykonaną z chwiejnych desek balansujących na krawędzi niekonwencjonalnie dopasowanych do siebie cegieł i wreszcie jesteśmy o krok od tak zwanego stylu.

## Tapicerka

W niektórych domach kanapy ze skrzynek na mleko zostały zupełnie niepotrzebnie wyrzucone, głównie ze względu na stan zużycia siedziska, które utraciło warstwę wyścielającą. Czy młodzi faceci byliby skłonni zapłacić dwa tysiące dolarów za renowację mebla z użyciem doskonałego adamaszku? No cóż, nie. Miałem kiedyś przyjemność mieszkać w lokalu w Brisbane, w którym skorzystano z innego genialnego wynalazku. O ile pamiętam, koleś, który wpadł na ten pomysł, miał na imię Marcus. Mimo upływu czasu prostota jego wizji wciąż nie przestaje mnie zachwycać.

Stojąc twarzą w twarz z problemem zniszczonej kanapy, Marcus odwiedził okręgową stację kontroli pojazdów i zainwestował dwadzieścia dolarów w elastyczne obicie fotela samochodowego marki Holden. Co prawda dopasowanie go do kanapy, naciągnięcie tapicerki na tył mebla, owinięcie nią spodu kanapy i wreszcie przycięcie materiału wokół podłokietników zabrało nam trochę czasu, ale za to przez kolejne miesiące rozkoszowaliśmy się wyrafinowaną atmosferą międzynarodowego pokazu samochodowego.

## **Wzornictwo podłogowe**

Co zrobić z podłogą? Nie tyle rzucić na nią kawałek dywanu, ile położyć na niej wyrzucony kawałek dywanu - jeden z tych, których bezmyślnie pozbyli się nasi sąsiedzi. Wciąż idealnych, by wchłonąć olej wyciekający z zajmującego honorowe miejsce w salonie, w połowie rozmontowanego motocyklu Kawasaki.

## **Plakaty**



Rozmieszczenie, rozmieszczenie i jeszcze raz rozmieszczenie! Ludzie bardzo często komentowali eklektyczny sposób, w jaki rozmieściliśmy nasze plakaty na ścianach. Jeden plakat wisiał w kącie pokoju tuż pod sufitem. Kolejny nad podłogą obok szafek kuchennych. Czy chcieliśmy w ten sposób uzyskać wrażenie otwartej przestrzeni i poczucia wolności? Nie, projekt zakładał raczej ukrycie, że te właśnie części ściany zostały zaatakowane przez pleśń.

Rzeczywiście zdarzało się, że plakat z Elvisem aż błyszczał od wilgoci, upodabniając go nieco do roniących rzewne łzy Madonn z kościołów w południowych Włoszech. Czym można wytłumaczyć łzy króla rock'n'rolla? Prawdopodobnie miały one związek z warunkami przygotowywania posiłków i higieną w domu. Nasze koszulki nie tylko były ozdobione napisem „żyję w zgodzie z naturą”, one naprawdę to robiły.

## **Firanki i cała reszta**

Firanki zastępowaliśmy zazwyczaj kawałkami flaneli upchniętej w szczeliny w oknach. Aby uczynić wnętrze bardziej przytulnym, uciekaliśmy się nawet do rozrzucania po podłodze opakowań po pizzy.

Wracając do sklepu z zasłonami: Jokasta i ja jesteśmy rozdarci pomiędzy materiałem o gładkiej i tkaniną o bardziej ozdobnej fakturze. Jesteśmy w pełni świadomi problemu: nie dysponujemy dostateczną ilością dobrego smaku, by dokonać właściwego wyboru. Mamy natomiast dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że dla naszej karty kredytowej każda decyzja będzie miała katastrofalne skutki.

Będziemy musieli pożyczyć od jakichś młodych koleśków kanapę ze skrzynek na mleko, rozłożyć się na niej wygodnie i porządnie się nad tym zastanowić.

## Bez ogródek

Mój teść stoi właśnie w naszym ogródku i z dezaprobatą kręci głową. Jak wszyscy po sześćdziesiątce dysponuje wiedzą na temat pielęgnacji ogrodów, chronienia drzew przed zimą i nawozów. Zanim cokolwiek powie, ocenia rozmiar strat.

- Musiałeś chyba zdawać sobie sprawę, że zrobienie czegoś takiego skończy się katastrofą - mówi w końcu.

Z jego nieobecnego spojrzenia łatwo wyczytać, że wreszcie dotarło do niego, w jakie bagno wdepnęła jego córka, decydując się na ślub ze mną.

Wspólnie przyglądamy się dziwnym wzorom powstałym na trawie: ostro zarysowanemu okręgowi uschniętej trawy oraz fragmentom jarzącym się świetlistą zielenią. Cały nasz ogródek przypomina obraz Kandinskiego - pełen dziwacznych zawijasów i półokręgów ususzonej trawy.

- To przecież nie jest trudne - draży temat mój teść. -Instrukcja znajduje się na opakowaniu. Zadałeś sobie trud, żeby ją przeczytać?

Niepewnie przestępuję z nogi na nogę.

- Nie - mówię. - Nie przeczytałem tego, co było napisane na opakowaniu.

- No cóż - mówi mój teść, posyłając mi uśmiezek pełen satysfakcji. - Ja za w s z e czytam instrukcje.

Zaczynam się zastanawiać, czy tatuś po odpowiednim przekompostowaniu nadawałby się do ocieplania drzewek w moim ogródku.

Oto jedna z rzeczy typowych dla mężczyzn powyżej sześćdziesiątki. Całymi latami żyli w zgodzie z pierwotną męską zasadą zakazującą czytania instrukcji, dopóki wszystko inne nie zawiedzie. I nagle dzieje się rzecz straszna: ich poziom testosteronu staje się alarmująco niski. Tak niski, że może im nawet grozić niebezpieczeństwo zachowywania się zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

- Zdecydowałem się zaryzykować - mówię w końcu. Cały problem polegał na tym, że należało wlać połowę

opakowania nawozu do trawników do konewki. Ryzyko, które podjąłem, polegało na rozpoczęciu poszukiwań odpowiedniego sitka do konewki już po wykonaniu wspomnianej czynności i zdecydowaniu się na doprowadzenie całej sprawy do końca pomimo braku takiego sitka.

- Wydawało mi się - tłumaczę teściowi - że jeśli wykonam coś w rodzaju tańca, pozwalając płynowi na wylanie się z konewki, to nawóz rozłoży się na trawniku mniej więcej równomiernie.

W tym momencie mój teść przewraca oczami. Gdybym teraz dopuścił się jakiegoś przestępstwa, sądzę, że udałoby mi się to podciągnąć pod „zbrodnię w afekcie”. Góra cztery lata odsiadki. A gdybym się dobrze sprawował, to istnieje szansa, że na Boże Narodzenie za dwa lata byłbym z powrotem w domu. Do tego czasu moja superodżywcza ściółka dawno rozwiązałyby wszystkie problemy z ogrodem.

Zaobserwowałem, że istnieją dwa rozstrzygnięcia kwestii trawnika: możesz go nawozić i patrzeć, jak umiera, lub zostawić go na pastwę Matki Natury i... patrzeć, jak umiera.

Ewentualnie możesz też zaatakować swojego teścia siekierą i dwa miesiące później otoczony w celi trzema nadmiernie wylewnymi gangsterami zrozumieć, że kwestia trawnika wcale nie jest tak paląca, jak ci się kiedyś wydawało.

Podobnie rzecz ma się z górą kompostu, który - zdaniem mojego teścia - wystarczy odpowiednio ułożyć, b nie wydzielał nieprzyjemnego zapachu. Ułożyłem więc kompost dokładnie według jego wskazówek, po to tylko by odkryć armię myszy, które zjadły wszystko, zanim całość zaczęła się rozkładać. Nieprzyjemnego zapachu faktycznie udało się uniknąć.

Zastanawiam się, czy nie skorzystać z okazji i nie wypomnieć tego teściowi, ale nim dojdę do jakichkolwiek wniosków, już go przy mnie nie ma. Spaceruje po trawniku, podążając śladem nienaturalnie wybujałych źdźbeł trawy znaczących miejsca, w których diabelnie mocny nawóz wylał się z konewki.

Na nieszczęście dla mnie teść przybrał swój lekko drwiący ton.

- Wiesz, jestem w stanie dokładnie prześledzić rozwój wypadków - mówi, przykładając stopy do skrawków zieleni. - To jak kroki tańca zapisane w trawie.

I wtedy mój teść rozpoczyna chocholi taniec na trawniku, idąc po moich śladach, wymachując rękami w powietrzu i pozwalając swojej głowie bezwładnie się kołysać. Podskakuje przy tym lekko, od czasu do czasu odwracając się w moją stronę, by zapewnić sobie jeszcze większy ubaw. Patrząc na niego, momentalnie porzucam pomysł ocieplania nim drzewek. Widzę go raczej w roli zastygłego w betonie, najbardziej porażającego gнома ogrodowego na świecie.

Obserwuję jego imponujące wyskoki, stopy kreślące w powietrzu esyflorese i wdzięcznie lądujące po obu stronach pasków zieleni.

Zastanawiam się nad jego wcześniejszą radą. Odrobina wysiłku pozwoliłaby mi ułożyć ciało w basenie (skutek: lawinowy wzrost liczby komarów), zasadzić na nim ogromne drzewo (skutek: lawinowy wzrost ilości liści do grabienia w ogródku) i wreszcie umieścić je w ogródku skalnym (skutek: lawinowy wzrost wypraw do szkółki leśnej, po tym jak wszystkie roślinki wymrą).

Dlaczego właściwie czuję się tak niezręcznie w towarzystwie podstarzałego kolesia tylko dlatego, że jest w stanie rzucać na prawo i lewo określeniami w rodzaju „gno-jownik” czy „napowietrzanie”? W końcu decyduję się do niego podejść.

- Dureń ze mnie - mówię.

- Wcale nie - zaprzecza, obejmując mnie ojcowskim gestem. - Ja po prostu nie jestem w stanie zrozumieć was, młodych. Nie widzicie, że ogrodnictwo jest piekielnie nudne. Za moich czasów załalibyśmy całe to dziadostwo betonem.

Mhm. Jasne. Teraz już będę musiał go zabić.

**List żaloszny**

Wybierając się na urlop, powiedziałem mojemu koledze Tony'emu Squiresowi, żeby otwierał wszystkie listy, jakie do mnie przyjdą.

- Wszystkie, stary - podkreśliłem. - Nieważne, czy na kopercie będzie napisane „do rąk własnych”, czy nie. To w końcu może być coś pilnego.

To, co zrobiłem - i mówię to na wypadek, gdybyście sami mieli zamiar poprosić kogoś o podobną przysługę - było jednym z najgłupszych błędów, jakie w życiu popełniłem.

Po powrocie z urlopu zastałem Squiresa tańczącego na korytarzu, wymachującego napisanym ręcznie listem i głupawo się śmiejącego.

- Wydawało mi się, że to dość osobiste, więc dobrnąłem tylko do końca strony - skłamał.

Gdy tylko wcisnął mi w rękę zwitek papieru, pojąłem rozmiary katastrofy. To, co trzymałem w ręku, było listem miłosnym. Gorzej. Było listem miłosnym mojego autorstwa. Napisanym, gdy miałem piętnaście lat. W dużej mierze bazującym na dorobku poetyckim Khalila Gibrana.

Kobieta, która otrzymała te listy dwadzieścia pięć lat temu, wykazała się zaskakującym wyczuciem chwili: znalazła je podczas porządków towarzyszących przeprowadzce i zdecydowała się przesłać je wprost w ręce mojego kolegi. Tego samego, który w dalszym ciągu z trudem powstrzymuje się od śmiechu, mijając mnie na korytarzu naszej firmy pomimo upływu pełnych dwóch tygodni od tego incydentu.

Rzecz jasna w rodzinnym mieście Squiresa Newcastle instytucja pisania listów miłosnych została wyparta przez wygibasy na tylnym siedzeniu auta należącego do taty. Jednak dla reszty z nas młodzieńcza korespondencja miłosna w dalszym ciągu utrzymuje się na szczycie zestawienia najbardziej żenujących form literackich.

Dlaczego żenujących? Pozwólcie, że wymienię kilka powodów.

## **Zapozyczenia**

Każdy napisany ręką nastolatka list miłosny jest ich pełen i zazwyczaj są to cytaty zaczerpnięte z podniosłej twórczości Andrew Marvella, hippisowskiej poezji Khalila Gibrana i nieco frywolnego E.E. Cummingsa. Faktycznie, mój list miłosny to potwierdza. (Być może dlatego wzbudził wesołość pana Squiresa. On pewnie śpiewał miłosne serenady, uzbrojony wyłącznie w tomik *Poezji lekkiej, łatwej i przyjemnej*).

## **Sztuka naiwna**

Jeśli list nie zawiera żalosnej próby stworzenia dzieła sztuki, to znaczy że nie wpisuje się w gatunek młodzieńczych listów miłosnych. Mój na przykład zawiera barwną, choć nie do końca zrozumiałą próbę narysowania kilku stokrotek - która sama w sobie wyjaśnia, dlaczego adresatka listu zdecydowała się do mnie odezwać dopiero po dwudziestu pięciu latach. Czy miałbym u niej większe szanse, gdybym wybrał motyw dwóch połączonych ze sobą serc? Jakaś figurę geometryczną? Logo AC / DC? Odpowiedzi na te pytania po dziś dzień stanowią dla mnie zagadkę.

## **Rozprawa polityczna i filozoficzna**

Nie zaszkodzi umieścić w swoim liście paru haseł dla nadania mu nieco bardziej podniosłego charakteru. Mój list na przykład został wzbogacony kilkoma ostrymi uwagami natury politycznej dotyczącymi premiera. I rzeczywiście dyskusja na temat tego, jak to obalenie rządu zostało zainspirowane działaniami „tych, no wiesz, pokręconych faszystów” stanowiła preludium niemal każdej młodzieńczej sesji migdalenia, jaką dane mi było od-

być. Wspomnienie to jest na tyle silne, że każda wzmianka na temat Malcolma Frasera nadal wywołuje u mnie to przyjemne łaskotanie w brzuchu.

## **Żaloszne próby gadania jak dorosły**

Bez tego ani rusz. Możecie mieć oboje piętnaście lat, ale nie ma sensu się nad tym faktem rozwodzić. To, czego naprawdę potrzebujesz, to żaloszna i jaskrawa próba gadania jak dorosły. Widzę, że jestem zmuszony zacytować fragment własnego listu, żeby pokazać wam, o co mi chodzi: „Zwłokłem się z łóżka o piekielnie wczesnej porze -szóstej rano - i właśnie siedzę w szkolnej stołówce, próbując przywrócić siebie w poczet żywych za pomocą filiżanki gorącej czekolady”.

Trudno o lepszy przykład tej techniki - szorstkie, godne Clinta Eastwoda wyrażenie w rodzaju „piekielnie”, stojące w jawnej sprzeczności z przyznaniem się do spożywania „gorącej czekolady”. Żaloszne? O, tak.

## **Obietnice**

Zauważyłem, że ten element był nieobecny w moich młodzieńczych - nieudanych - próbach pisania listów miłosnych i pojawił się dopiero w momencie zakończonego sukcesem zabiegania o Jokastę. Faktycznie, w chwili pojawienia się jej w moim życiu moja technika pisania listów miłosnych była już na tyle dobra, że zawierała niezwykle skuteczny element: kłamstwo w żywe oczy - w szczególności to wypowiedziane przeze mnie w akcie desperacji dotyczące wzięcia na siebie połowy obowiązków domowych, jeśli tylko pozwoli mi się do siebie wprowadzić. Dodaj do tego wspomniane już pretensjonalne pseudopo-etyckie wstawki, a będziesz wiedział, jaki obraz mnie narodził się w głowie Jokasty: afektowany intelektualista traktujący porządek jako swego rodzaju fetysz.



(To musiał być dla niej szok, gdy wreszcie się do niej wprowadziłem z gromadzonym od sześciu tygodni zapasem brudów, piwa domowej roboty i wysłużoną hondą).

## ***Déjà widok***

Większość z nas ogląda telewizję i doznaje uczucia *deja vu* podczas tej czynności. Czyżbyśmy już to kiedyś widzieli? Pewnie, że tak. Głównie dlatego, że telewizja rządzi się własnymi, sekretnymi prawami.

1) Nieodłącznym elementem wystroju biura w każdym amerykańskim sitcomie jest niska, dziarska, frywolna rudowłosa kobieta w dziwacznych ciuchach, wyraźnie cierpiąca na brak jakiegokolwiek zajęcia.

2) Każde zranienie będzie wymagać transfuzji krwi, o ile poszkodowany jest świadkiem Jehowy.

3) Mniej istotni bohaterowie seriali telewizyjnych zasługują co prawda na nieco czasu antenowego: co tydzień, przez dobrych kilka lat emisji, ale w żadnym wypadku nie należy im się zmiana ciuchów.

4) Zakupy zrobione w hipermarkecie i wniesione do kuchni zawsze składają się z jednej papierowej torby. Takiej, która nigdy nie kryje w sobie papieru toaletowego.

5) Każdy metr kwadratowy przystani w Sydney jest szczelnie wypełniony unoszącymi się na wodzie obiektami. Oglądając *Szczury wodne*, zastanawiam się, jakim cudem udaje im się przepchnąć statek do Manly.

6) Sędziowie przewodzący rozprawom w Stanach Zjednoczonych są zawsze Afroamerykanami.

7) Los rodzeństwa policjanta lub doktora jest od początku przesądzone: dają im góra trzy odcinki, nim zostaną zdemaskowani jako heroiniści.

8) Główny bohater jest zawsze Brytyjczykiem, a jego po-magier przedstawicielem mniejszości etnicznej.

9) Główny bohater jest przystojniakiem, pomagier jest gruby i brzydki.

10) Ogłoszenie drobne zakreślone przez mordercę zawsze znajduje się centralnie na środku strony, nigdy na górze czy z boku.

11) Prowadzącemu program radiowy zawsze udaje się w ciągu trzysekundowego wejścia przekazać zarówno miejsce, jak też czas akcji: „Mamy właśnie uroczy poranek w Adelajdzie”.

12) Przestępcy nigdy nie kupują w Tesco. Ten fragment materiału znaleziony na miejscu przestępstwa mógł zostać zakupiony wyłącznie w jedy-  
nym w okolicy sklepie w południowej części Glasgow w latach 1951-1953.

13) Branie heroiny musi iść w parze z nieumiejętnością użycia maszyny do golenia.

14) Z każdego z okien Nowego Jorku roztacza się widok na Manhattan, podobnie jak każdy mieszkaniec Sydney może ze swojego okna podziwiać Sydney Harbour Bridge.

15) Żadna z pojawiających się na ekranie telewizora walizek nie wydaje się tak ciężka jak w rzeczywistości.

16) Jedyнным możliwym dawcą narządu jest podejrzany, dawno zaginiony ojciec.

17) Policjant na miejscu zbrodni zawsze pisze w świeżo rozpoczętym notatniku.

18) Najważniejsza, nagrana przez porywaczy na automatycznej sekretarce wiadomość jest zawsze pierwsza w kolejce... Widownia zostaje łaskawie wybawiona od wysłuchania czterech wiadomości nagranych przez pracownika wypożyczalni kaset wideo.

19) Każdy podjeżdża tuż pod swój budynek i nigdy nie boryka się z problemem parkowania, nawet w samym centrum Nowego Jorku.

20) Mordercom już dawno znudziło się zwyczajne strzelanie do ludzi. Nic dziwnego, skoro można zamiast tego pobawić się ukrytymi w ścianach lustrami, elektrycznymi prętami i trampolinami zakopanymi pod trawnikiem.

**21)**Szef jest zawsze zbzikowany, cierpi na brak poczucia humoru i żyje w ciągłym napięciu związanym z tym, że jego szef jest jeszcze większym dupkiem niż on sam.

**22)**Im bardziej błyskotliwy i przewidujący policjant, tym większy jego problem związany z cuchnącym oddechem / wymiętoszonymi ciuchami / byciem kiepskim w łóżku.

**23)**I wreszcie rzecz najbardziej zaskakująca z możliwych: piękne młode kobiety zawsze i bez wyraźnego powodu zakochują się w zmęczonych życiem starszych panach.

TLR

# ROZDZIAŁ 7

---

*Wreszcie trafiam na numer jeden mojego prywatnego rankingu nagłówków: Małe piersi znowu w modzie.*

*Cóż za genialny tytuł - nareszcie pojawiła się praktyczna porada dla osób wahających się, jaki rozmiar piersi wybrać. W tym momencie na poważnie zacząłem się zastanawiać, co autor miał na myśli. Czy naprawdę wydawało mu się, że kobiety takie jak Jokasta mają w szafie kilka ich zastawów? I że pierwszą rzeczą po przebudzeniu jest zastanowienie się, czy powinny założyć rozmiar 90 D, czy pozostać przy skromniejszym 70 A?*

## **Dłuższe nogi tatusia**

Jokasta próbuje zmusić mnie do wyjścia z łóżka, korzystając ze znanej metody wrzucenia do niego dzieciaków i użycia ich jako czegoś w rodzaju bomb z opóźnionym zapłonem. Zazwyczaj jest to mrożąca krew w żyłach scena zmuszająca mnie do natychmiastowego przerwania porannej lektury. Ale nie dzisiaj.

Niezależnie od tego, jak energicznie wiją się nasze dzieciaki, nie jestem w stanie oderwać wzroku od wytłuszczonego tytułu w darmowym dzienniku. Artykuł znajduje się na stronie z modą, tej samej, która zazwyczaj ogłasza, że: „sukienki w sezonie wiosennym będą krótsze”, a „zimowe płaszcze ciemniejsze”. Tylko że tym razem tytuł zapowiada (wcale nie zmyślam), że „tego lata nogi będą dłuższe”.

Leżąc w łóżku, odziany w piżamę wrzynającą się w coraz grubszy wałek tłuszczu, z wciąż żywym w pamięci obrazem obejrzanego wczoraj filmu, dwójką dzieci biorących moje żebra za trampolinę, zastanawiam się, jaki użytek powinienem zrobić z tej świeżo zdobytej informacji.

Proces pozbawienia kobiet ich cech charakterystycznych przez przemysł kosmetyczny wydawał się zakończony. Seksowny tyłeczek (tak zwany lopez) dawno odszedł do lamusa, a i widok kobiecych piersi powoli zaciera się w męskiej pamięci. (Ostatnie modne fasony całkowicie obnażyły tę część kobiecego ciała po to tylko, by pokazać, jak niewiele z niej zostało).

Choć to jedynie moja teoria, wydaje się, że z każdym dniem modelki stają się coraz szczuplejsze, podczas gdy ja - coraz grubszy. Głęboko wierzę, że Eva Herzigova odkryła sposób na telepatyczne przekazywanie mi swoich pośladków, podobnie jak poziom wody w Lake George leżącym rzut beretem od Canberry podnosi się i opada zależnie od ilości opadów w zachodniej Australii. Za każdym razem gdy Eva zjada hamburgera, moja waga wskazuje dwa kilo więcej.

A teraz jeszcze to. *Tego lata nogi będą dłuższe.* Najwyraźniej, jeśli chcę nadażyć za modą, powinienem zmusić je do wydłużenia się. Ale jak?

Przemysł kosmetyczny doprasza się i tak już słonego trybutu. W przypadku kobiet jest to głodzenie się do momentu, w którym od śmierci głodowej dzieli człowieka dosłownie milimetry składające się na grubość kilku łakomie spożytych listków sałaty, a później chirurgiczne pozbycie się kawałków skóry zwisających z twarzy. I wreszcie krok ostateczny: domaganie się od nas wydłużenia kończyn, prawdopodobnie z użyciem średnio-wiecznej metody łamania kołem. Przemysł kosmetyczny odżegnuje się co prawda od torturowania zwierząt, ale na pewno nie od torturowania własnych klientów.

Wróćmy do mnie. Zaczynam się lekko pocić zaprzątnięty tym koszmarem, podczas gdy Batboy szeptem tłumaczy matce, jak można w prosty sposób wykorzystać własnego ojca w charakterze trampoliny.

Ignoruję to i pokazuję Jokaście nagłówek, licząc na wsparcie, lecz ona radzi mi, żebym nie był głupi - oni mają na myśli tylko to, że nogi latem będą w y d a w a ć s i ę dłuższe dzięki odpowiednio dobranym strojom.

Prawda wygląda tak, że z nas dwojga to ona jest naiwna. Wiele spośród pomysłów przemysłu kosmetycznego brzmiało absurdalnie, ale to nie powstrzymało nikogo przed wcieleniem ich w życie. Na przykład: powiększanie ust poprzez wstrzyknięcie w nie tłuszczu odessanego z pośladków. Kto pomyślałby o zrobieniu czegoś takiego jeszcze kilka lat temu? Albo

uwierzył w to, że kiedy w dwudziestym pierwszym wieku grupa znawców stylu obsypuje sobie policzki pocałunkami, to tak naprawdę całują się w zgoła inną część ciała?

Wreszcie trafiam na numer jeden mojego prywatnego rankingu nagłówków: *Małe piersi znowu w modzie*.

Cóż za genialny tytuł - nareszcie pojawiła się praktyczna porada dla osób wahających się, jaki rozmiar piersi wybrać. W tym momencie na poważnie zacząłem się zastanawiać, co autor miał na myśli. Czy naprawdę wydawało mu się, że kobiety takie jak Jokasta mają w szafie kilka ich zestawów? I że pierwszą rzeczą po przebudzeniu jest zastanowienie się, czy powinny założyć rozmiar 90 D, czy pozostać przy skromniejszym 70 A?

Albo że podczas lektury czasopisma z ich piersi wyrwie się z ulgą: „Dzięki Bogu, że nie wyrzuciłam tamtej wymiętej pary maleństw w 1982. Byłam przekonana, że pewnego dnia wrócą do łask”.

Podczas festynu wielkanocnego jakiś czas temu moja znajoma Jennifer przyjrzała się uważnie znakom ustawionym obok kolejki górskiej. Każdy z nich przedstawiał figurkę małego chłopca stojącego obok napisu: „Jeśli nie jesteś tak wysoki jak ja, nie możesz jechać tą kolejką”.

Jennifer uważa, że sklepy z ubraniami powinny pomyśleć o wprowadzeniu podobnej praktyki. Przed wejściem do sklepu znalazłyby się tabliczki z napisem: „Jeśli twoja talia nie jest tak szczupła jak moja, to nie zawracałabym sobie głowy”. Można nawet pomyśleć o wycięciu otworu w drzwiach wejściowych: żeby wejść do środka, musisz się precyzyjnie przycisnąć.

Do którego ze znanych ci sklepów mógłbyś wejść? Jaki rozmiar biustu powinnaś wybrać? I wreszcie, jaka długość nóg będzie dla mnie odpowiednia?

Leżę na łóżku, wciąż nie mogąc dojść do siebie, podczas gdy Batboy rozpoczyna mozolną wspinaczkę na szczyt zagłówek z zamiarem zrzucenia na mój brzuch siebie w charakterze ludzkiej torpedy. Słyszę, jak każe Kosmicznemu Kadetowi się odsunąć.

Wreszcie Jokaście znudziło się wysłuchiwanie mojej paplaniny. Chwyta mnie za kostki i ściąga z łóżka, dokładnie w momencie zrzucenia torpedy

przez Batboya. Co prawda słyszę złowieszczy chrzęst, ale za to mam pewność, że moje nogi właśnie uległy wydłużeniu.

Mówicie, że to niezgodne z naturą? Być może, ale za to zgodne z najnowszym trendem!

### **Ja gotuję, ty wiwatujesz**

- Jedyne, czego chciałem się od ciebie dowiedzieć, to ile oleju powinienem użyć - wyjaśniam Jokaście - a ty wchodzisz tutaj i starasz się wszystko popsuć. - Wymachuję w jej stronę trzepaczką do jajek w iście bojowym nastroju.

- Cóż, skoro nie potrzebujesz moich rad, zostawię cię tutaj, żebyś skisł we własnym sosie - wycofuje się Jokasta. - Jakkolwiek niestrawny miałby on być.

Na odchodnym rzuca wymowne spojrzenie leżącej na stole rybie, wyrażające współczucie dla podłego końca, jaki ją czeka, i opuszcza kuchnię. To jest właśnie główny problem, jaki mam z Jokastą: zbyt często robi dokładnie to, o co ją proszę. W tym przypadku zostawiła mnie w kuchni ze złowieszczo wyglądającym kawałkiem ryby i absolutnym brakiem pomysłu na to, jak ją przyrządzić.

Niestety, Jokasta niezmiennie nie była w stanie zrozumieć, że tym, czego potrzebowałem, była odpowiednio wyważona pomoc. Taka, by posiłek był jadalny - i nie wywoływał zbyt poważnych skutków ubocznych - ale nie na tyle duża, by zagarnąć choćby okruszek należnej mi w całości chwały. Jeśli potrawa zachwyci gości, nie chcę być zmuszony do przyznania się, że została ona ugotowana według przepisu Jokasty.

Chociaż kobiety uważają się za specjalistki od gotowania, istnieje pewien zupełnie obcy im obszar tej dziedziny, a mianowicie tak zwane męskie gotowanie. Być może zapoznanie się z kilkoma jego zasadami zmieni ten stan rzeczy.



## **Zasada 1: Robimy to dla chwały**

Zapomnij o „radości płynącej z dostarczenia odpowiednich składników organizmowi”. Podobnie jak o „cichej satysfakcji patrzenia na delektujących się jedzeniem ludzi”. To dobre dla bab. Faceci potrzebują uznania. W hurtowych ilościach. Książki kucharskie dla kobiet mogą zawierać „orientacyjny czas potrzebny do przygotowania potrawy”. Męska edycja będzie raczej zawierać „orientacyjny czas spędzony w blasku chwały i uwielbienia” (wyrażony w godzinach). Innymi słowy, po ucztowaniu zawsze przychodzi czas na uczczenie.

Rzecz jasna, jesteśmy zawsze gotowi skierować rozmowę na odpowiednie tory za pomocą paru prostych sformułowań, takich jak:

- No dobra, chłopaki, po prostu mi to powiedzcie. Przypaliłem to mięso, nie?

- Kto się ze mną zgodzi, że troszeczkę przetrzymałem chińszczyznę?

A w wypadku gdy potrawa wyszła nam wyjątkowo obrzydliwie:

-Faktycznie, mięso jest odrobinę za suche. Wygląda na to, że Jokasta będzie musiała troszeczkę popracować nad swoim przepisem.

## **Zasada 2: Im większy bałagan, tym smaczniejszy posiłek**

Inni (na przykład kobiety) mogą gotować nudne, niewyszukane posiłki. My wolimy coś, co będzie dla nas pewnego rodzaju wyzwaniem, coś bardziej wytwornego, coś, innymi słowy, absolutnie poza zasięgiem naszych możliwości. I właśnie dlatego wybieramy najbardziej szpanerskie i rzucające się w oczy przepisy w książkach kucharskich. Potrawy z wykorzystaniem przypraw z Tahiti, drożdży i dziwacznych bakalii.

Tego rodzaju dania nie tylko sprzyjają niekończącym się dyskusjom po kolacji, ale też zamieniają kuchnię w pokryte brudem, resztkami jedzenia i upačkanymi naczyniami pole bitwy. Nie można bowiem zapominać o naczelną zasadzie męskiego gotowania: z tej kuchni nie wyszedł jeszcze żaden jadalny posiłek. I nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić.

### **Zasada 3: Liczba składników świadczy o jakości potrawy**

Zasady męskiej kuchni milczą na temat ekonomicznego wykorzystywania produktów. Przed zakończeniem gotowania kuchnia powinna wypełnić się przeciętymi na pół cytrynami, otwartymi paczkami produktów i pozostawionymi na pastwę pleśni wyjętymi z lodówki kiełbasami. Pamiętaj: przede wszystkim jesteś artystą.

### **Zasada 4: W razie wątpliwości wrzuć na grill**

Powinieneś go znaleźć przed domem i rozpoznać po znajdującej się w pobliżu martwej zwierzynie i zapachu niebezpieczeństwa unoszącym się w powietrzu (szczególnie jeśli zdążyliście już z chłopakami zaliczyć kilka kolejek, a Mark postanowił nieco urozmaicić wasze spotkanie podlaniem grilla odrobinką paliwa do kosiarki).

### **Zasada 5: Męskie gotowanie zwolnione jest z obowiązku dostarczenia organizmowi racjonalnego, pożywnego posiłku**

Spójrzmy prawdzie w oczy: posiłek przyrządzony przez faceta jest zjawiskiem na tyle cudownym i wyjątkowym, że wymyka się kryteriom tak wąskim, jak na przykład wartości odżywcze. Pierwsza lepsza kobieta jest w stanie zrobić sałatkę, natomiast facet jest zbyt zaabsorbowany tworzeniem pizzy domowej roboty, z potrójnym serem i dodatkową porcją tłuszczu. Spodziewany czas spędzony w blasku chwały: pięć dni.

### **Zasada 6: Nie oczekuj, że dzieciaki skończą jeść przed północą**

Do jednej rzeczy musimy się przyznać. Faceci są co prawda doskonałymi kucharzami: wyrazistymi, wylewnymi i wygadanyymi, są jednak znani z ignorowania zegarka podczas gotowania. Tak naprawdę sama myśl o tym, że my, artyści, mielibyśmy się trzymać jakiegoś drobnomieszczańskiego planu pracy, jest dla nas obraźliwa.

Poza tym nawet jeśli uda się wszystkim zjeść przed północą, do omówienia pozostaje jeszcze jedna ważka kwestia:

- No, ale powiedzcie sami, przesadziłem trochę z tym chili, nie?

### **Drużyna marzeń**

- Ludzie powiadają, że wasza drużyna okryła się hańbą - mówi Sam, trener drużyny piłkarskiej Batboya, jak zwykle zwracając się do chłopców w sposób, którego nie powstydziliby się sam Churchill. Wszyscy zawodnicy są wykończeni i łapczywie przyssali się do butelek, co nie przeszkadza im w uważnym słuchaniu.

Sam jest Włochem i dlatego doskonale zdaje sobie sprawę z siły patosu. Milknie na chwilę, a potem teatralnym gestem wznosi ręce w górę.

- Cóż, każdy, kto twierdzi, że okryliście się hańbą, winien się zastanowić nad stanem własnego umysłu!

Jedenastoletni chłopcy nie dają zbyt wiele po sobie poznać, ale widzę, że rzucają sobie ukradkowe spojrzenia spod grzywek, a na ich twarzach pojawiają się niepewne uśmiechy. Czują, że w ciągu minionych czterech miesięcy przydarzyło im się coś ważnego.

Sam nie musi wchodzić w szczegóły, bo i tak wszyscy znamy tę historię. Ciągający się w nieskończoność ubiegły sezon, kiedy to drużyna Batboya nie wygrała ani jednego meczu. No dobrze, bądźmy szczerzy: nie udało im się strzelić żadnego gola. Nie udało im się nawet doprowadzić do sytuacji podbramkowej. Przez cały sezon. Nawet kiedy grali z drużynami, które były w stanie wystawić tylko ośmiu zawodników. I wtedy gdy bramkarz przeciwnej drużyny nudził się i zaczął bawić się siatką, przypadkiem się zaplątał i nie był w stanie się ruszyć. Nawet wtedy.

Chłopcy radzili sobie jakoś z goryczą porażek, ale zaczęli spędzać niebezpiecznie dużo czasu na oglądaniu amerykańskich filmów o sporcie - przy czym wszystkie miały jednakową fabułę. W każdym z nich drużyna, która przez cały sezon nie była w stanie zdobyć jednej bramki czy punktu i którą wszyscy wyśmiewali, w finałowej scenie dostawała skrzydeł. Seanse odbywały się zwykle w sobotnie popołudnia, tuż po kolejnej miazdzącej porażce.

W tym sezonie Batboy trafił do drużyny składającej się z niedobitków innych drużyn. Kilku chłopców znało się wcześniej, a każdy z nich reprezentował całkowicie odmienny temperament. Bardzo szybko drużyna podzieliła się na wrogie obozy. Dawało to nawet ciekawy efekt. Niewątpliwie jednak mieliśmy do czynienia z grupą dzieciaków, których nikt przy zdrowych zmysłach nie posądziłby o chęć bycia drużyną.

Gdy tak słuchałem Sama kończącego swoją przemowę, wciąż miałem w pamięci ponury obraz tej drużyny z początku sezonu.

- Nie udało wam się dzisiaj wygrać - powiedział. - Ale pokazaliście kawał dobrej piłki. Pokazaliście, że macie charakter.

Ponieważ jest to ulubione słowo Sama, postanawia je powtórzyć:

- Charakter - wskazuje Davida, swojego zastępcę. -My tak naprawdę nie zrobiliśmy niczego poza trenowaniem was. Wszystko jest waszą zasługą. Osiągnęliście to dzięki sobie i dla siebie. Zobaczyliście, jakie efekty przynosi bycie drużyną.

Sam jest mistrzem przemawiania. W chwili gdy kończy mówić, chłopcy siedzą oszołomieni, upojeni dumą, a część rodziców musiała dyskretnie otrzeć łzy wzruszenia.

Po raz kolejny Sam robi przerwę dla wzmocnienia efektu i mówi im, że zakwalifikowali się do półfinałów. Przez kilka kolejnych tygodni czekają ich dodatkowe treningi. Przebąkuje coś na temat szansy na finał.

Na moment odwracam wzrok i przyglądam się pozostałym drużynom zebranych nieopodal. Widzę grupki chłopców oraz towarzyszących im trenerów i menedżerów. Wiele krótkich przemówień. Masa emocji. Sporo dobrych rad. A jednak nic z tego, co właśnie obserwuję, nie wpisuje się w publiczną debatę na temat naszego społeczeństwa. Tyle się mówi o braku jedności i poczucia wspólnoty, jednak aby w to uwierzyć, musiałbym całkowicie zlekceważyć to, co właśnie widzę, a także podobne sceny rozgrywające się na każdym boisku, we wszystkich miastach i miasteczkach.

Sam i David są jeszcze młodzi i nie mają własnych dzieci. Obaj nie widzą świata poza piłką. Gdy Sam kończy mówić, ktoś przypomina chłopcom, że właśnie dzisiaj są jego urodziny, zbierają się więc wokół niego, śpiewają *Sto lat* i chichoczą, widząc, jak ich trener się rumieni i nie jest w stanie wykrztusić ani słowa. Później chłopcy zarzucają sobie ręce na ramiona i zaczynają trąkotać na temat półfinałów. W końcu są drużyną.

W tydzień później wygrywają półfinały, a potem - dzięki bramce zdobytej po rzucie karnym - także finał. Mija kolejny tydzień i zbliża się superfinał.

Tino, przyjaciel Sama i Davida, pochyla się w moją stronę i szepcze:

- Słyszeliśmy, że Burwood przygotowało jakąś nową formację. Będą nas próbowali zaskoczyć w sobotę.

Przekazuję tę wiadomość Batboyowi i dostrzegam na jego twarzy cię przerażenia.

- Tato, jak myślisz, co oni chcą nam zrobić?

Batboy nie jest przyzwyczajony do rozmów na temat strategii w piłce nożnej. Słowo „formacja” kojarzy mu się tylko z jednym - wojskiem.

- Chodzi tylko o zmianę rozstawienia graczy na boisku - tłumaczę mu. - Będą się po prostu starali za wszelką cenę znaleźć sposób na *il pressing*.

*Il pressing* jest sekretną bronią naszego trenera. Narzędziem, które wywindowało drużynę Batboya okrzykniętą Najbardziej Obciachową Drużyną na Środkowym Zachodzie na szczyt, na którym obecnie się znajduje.

W rozmowach między sobą chłopcy używają tego określenia, jakby posługiwali się nim od małego.

- I pomyśl, że to wszystko dzięki *il pressing* - słyszę, jak Jimmy mówi do Willa w całkowicie naturalny sposób.

Tak naprawdę dopiero w zeszłym tygodniu nasi wło-sko-australijscy trenerzy przyznali się do stosowania przez cały sezon sekretnej taktyki wzorowanej na - uwierzcie mi, że nie zmyślam - użytej przez narodową drużynę Niemiec podczas mistrzostw świata w 1974 taktyce piłki absolutnej, czy też, jeśli będziemy się trzymać włoskiej wersji, *il pressing*.

Słyszałem kiedyś, jak Sam i David kłócą się o nią z Tinem i Marią, pochyleni nad tablicą zastępcy trenera i bombardujący się nawzajem strzałkami, prześcigający się w rysowaniu diagramów bardziej skomplikowanych niż te użyte do rozrysowania działań wojennych podczas bitwy pod Waterloo. Wszystko tylko po to, by rozegrać drobną potyczkę w australijskim miasteczku z udziałem niewielkiego oddziału jedenastoletków. Cóż za argumenty! Cóż za wiedza! Cóż za historia!

Tino wpatruje się w tablicę i stwierdza, że *il pressing* wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem. David argumentuje, że po porzuceniu taktyki przez Niemców została ona przejęta przez drużynę włoską. Wzrusza ramionami i mówi, jakby to miało rozwiązać wszelkie wątpliwości:

- Włosi - najlepsza pod względem technicznym drużyna piłki nożnej na świecie.

Co w tej sytuacji może zrobić Tino? Na pewno nie dyskutować. Ostatecznie zostajemy więc przy *il pressing*.



Ale kiedy Sam zbiera chłopców, nie wspomina ani słowem o zwycięstwie. Serwuje im kolejną mowę w stylu Churchilla.

- Tu wcale nie chodzi o wygraną. Tak naprawdę nie chodzi nawet o piłkę nożną. Znaleźliście się tutaj nie dzięki piłce. I nie dlatego, że dobrze kopiecie.

Obserwuję go cały czas, jak zręcznie żongluje słowami w rodzaju „zwycięstwo” czy „porażka”.

- Jesteście tu, ponieważ graliście jak drużyna, okazaliście sobie wzajemny szacunek, pokazaliście, że macie charakter.

Sam przygotował się wcześniej i teraz wręcza chłopakom zalaminowane karteczki, które każe im umieścić koło łóżek. Na każdej z nich widnieje napis: „Zwycięska drużyna pozostaje w pamięci dłużej niż drużyna zwycięzców”.

W tygodniu poprzedzającym superfina!, zanim przygotowania rozpoczęły się na dobre, trener wręczył chłopakom kopie albumów szkolnych, z dopisanymi uwagami trenerskimi na temat każdego z nich. Przeczytaliśmy, co trenerzy mieli do powiedzenia na temat naszej drużyny. Ich zdaniem James jest „ucieleśnieniem włoskiego napastnika”. Nicholas dla odmiany jest według nich „napastnikiem w pięknym włoskim stylu”. Szybki Edward przypomina Maradonę, podczas gdy „Evan gra w prawdziwie nowoczesnym stylu à la Paolo Maldini”.

A Batboy - skoro już pytacie - stanowi wierną kopię Gaetano Scirei.

Wybiła dziesiąta trzydzieści, jest późny zimowy poranek, a oni za chwilę wybiegną na murawę, by rozegrać superfina!. To tylko grupka zwykłych chłopców na boisku, lecz w oczach trenera każdy z nich już jest bohaterem.

Tyle się pisze o upadku naszej współczesnej kultury. Ale to przecież nie jest cała prawda. Są jeszcze trenerzy, zdolni dostrzec wielkość w najzwyklejszej drużynie i dzieciaki niemogące się doczekać tej przemiany, która przy odrobinie wysiłku ma szansę się w nich dokonać.

Patrzę na mojego wyprostowanego syna, dumnego ze swoich umiejętności i z pewności siebie, którą zawdzięcza podziwowi w oczach Sama i Davida. Być może da się złamać *il pressing*, o czym przekonamy się za



chwile, ale na pewno ta sztuka nie uda się z pozostałymi zasadami wpojonymi chłopcom.

## **Oralny szantaż**

Jest taki stary kawał, w którym dentysta pochyla się nad pacjentem i zamierza rozpocząć borowanie, a pacjent wykonuje szybki ruch w jego kierunku, chwyta jądra dentysty żelaznym uściskiem i mówi: „Umówmy się, że żadnemu z nas nie stanie się krzywda”.

Powtarzałem sobie ten dowcip jak jakąś mantrę, siedząc na metalowym krzeselku i czekając na pojawienie się lekarza. Wiedziałem, co za chwilę się stanie. Jakiś kompletnie obcy facet - podający się za doktora - zaprosił mnie do swojego gabinetu, każe mi ściągnąć spodnie i porządnie ściśnięć moje klejnoty. Gdybym tylko dysponował bormaszyną, moglibyśmy porozmawiać jak równy z równym.

Mężczyznom suszy się ostatnimi czasy głowę za ich niechęć do robienia regularnych badań, lecz moje doświadczenia z lekarzami naprawdę nie są dobre. Zaczniemy od tego, że na skutek częstych procesów z pacjentami lekarze nie godzą się na zrobienie niczego bez wcześniejszego przeprowadzenia serii badań.

Spróbujcie wejść na oddział chirurgiczny dowolnego szpitala w Sydney z harpunem wbitym w czaszkę, a możecie być pewni reakcji internisty: będzie on nalegał na zrobienie testów krwi i prześwietlenia, „żebyśmy mogli ponad wszelką wątpliwość wykluczyć raka prostaty”.

Twoja uwaga, że powodem nie najlepszego samopoczucia może być ogromny harpun sterczący ci z głowy i utrata wiadra krwi, najprawdopodobniej wyprowadzi go z równowagi. Nie po to w końcu poświęcił sześć lat swojego życia na studiowanie medycyny, żeby teraz wysłuchiwać uwag pacjenta na temat działania harpuna.

- Cóż, praktyka uczy, że harpun maskuje zwykle jakiś znacznie poważniejszy problem - powie na pewno, wkładając gumowe rękawiczki i przy mierzając się do kilku czynów nieskromnych z udziałem pupy pacjenta.

Tym razem nie miałem w zanadrzu niczego tak oczywistego jak uszkodzenie ciała harpunem. Swojemu interniście mogłem zaoferować jedynie zwykle stłuczenie spowodowane upuszczeniem na prawą stopę okna złożonego z dwóch okiennic, co mimo wszystko miało skończyć się miażdżeniem moich jąder w silnym lekarskim uścisku.

Zgodziłem się i na to, gdybym po upływie dwóch tygodni nie znalazł się znów w poczekalni, gdzie spędziłem już półtorej godziny, wyobrażając sobie galopującego po moim organizmie raka jąder i czytając archiwalny numer „Elle”.

Wydaje się, że lekarze podpisali ze sobą jakąś umowę zmuszającą każdego chorego do spędzenia w poczekalni przynajmniej dwóch godzin, prawdopodobnie dlatego by pozwolić wrócić do normy jego tętnu po usłyszeniu przez pacjenta ceny wizyty.

To oczywiste, że jako pacjenci powinniśmy walczyć o swoje prawa - podobnie jak wtedy gdy kazano by nam czekać przez godzinę w restauracji czy barze. Jedyna różnica polega na tym, że zazwyczaj nie zgłaszam swojej reklamacji, leżąc przed barmanem nago na stole i pozwalając mu się obmacywać po jądrach.

Wszystko oczywiście zależy od tego, do jakich barów lubisz chadzać.

Mój lekarz wreszcie się pojawił po to tylko, by zaprosić mnie do gabinetu, w którym spędziłem samotnie kolejnych dwadzieścia minut - niewątpliwie po to by w spokoju dokończyć fantazjowanie na temat galopującego raka - po czym wrócił i rozpoczął badanie.

W tym miejscu dochodzimy do drugiego powodu, dla którego faceci nie przepadają za wizytami u lekarza. Chodzi o szczególne użycie przez nich słów: „O mój Boże”. Osobiście uważam tę frazę za dość przydatną zwłaszcza po przyjściu od fryzjera. Niestety, słowa te tracą nieco na atrakcyjności, gdy padają z ust lekarza badającego moje jądra.

LEKARZ: O mój Boże.

JA (drżącym głosem): Co pan ma na myśli, mówiąc: O mój Boże?

LEKARZ (zafascynowany): Ten guzek. Jest ogromny!

JA (nie tracąc przy tym ani krztyny godności, jak słusznie mogliście się spodziewać): Auuuuuuu! Ja umieram!! Auuuuuuuuu!!!

LEKARZ (tonem świadczącym, że mówi o czymś oczywistym): Rzecz jasna to nic groźnego, zwykły krwiał. Ale faktycznie okropnie duży.

W tym właśnie momencie doktor wychodzi, z pewnością po to, by upewnić się, że kolejka czekających pacjentów nie przesuwa się zbyt szybko, a mnie nie pozostaje nic innego jak wywlec się na ulicę, zastanawiając się, czy dwugodzinna lektura „Elle” mogła w jakiś sposób uszkodzić mój mózg. Mam nadzieję, że nie. W przeciwnym wypadku czeka mnie kolejne badanie kontrolne.

## **Ostrożnie, kuchenne pożądanie**

Najgorszy był moment przejazdu przez Old Windsor Road (ja prowadziłem, Jokasta zajmowała siedzenie pasażera), kiedy to przekrzykiwaliśmy się w kwestii wyboru jednego z dwóch odcieni błękitu: ka 1 ipso lub chińskiej porcelany. Rzecz jasna kolory nie różniły się absolutnie niczym, co nie powstrzymało tak doświadczonej pary małżeńskiej jak my przed zafundowaniem sobie solidnej kłótni.

Szczególnie że oczyma wyobraźni widziałem, jak cudownie błękit ka-lipso będzie współgrał z bielą sprzętów kuchennych, podczas gdy błękit chińskiej porcelany zdegraduje nas do nizin społecznych, odbierze godność i wpędzi w szaleństwo. A jeśli tylko dacie mi chwilę, będę nawet w stanie odróżnić te dwa odcienie.

Tym właśnie kończy się pomysł wyremontowania kuchni: nagle zaczynasz wierzyć w to, że kolor twoich blatów jest sprawą najwyższej wagi stojącą ramię w ramię z kwestią zmiennej pozycji NATO na arenie międzynarodowej.

Nagle zaczynasz się posługiwać nowym - kuchennym - językiem i dyskutować na temat okapów i wielofunkcyjnych piecyków z pasją, którą kiedyś rezerwowałeś wyłącznie na rozmowy o seksie. To tak zwane kuchenne pożądanie, które nie pozwala ci zmrużyć oka podczas bezsennych nocy spędzonych na pieszczaniu wyimaginowanych sprzętów kuchennych i zastanawianiu się, kiedy wreszcie zostaniesz z nimi sam na sam i będziesz je mógł uruchomić.

Ale jak za każdym pożądanym krokiem w krok skrada się jego brat bliźniak - strach. Wystarczy jeden fałszywy ruch. Błędna decyzja o wyborze koloru. I zamiast w kuchni skończysz w kichni.

A wszystko to wina właścicieli sklepów z wyposażeniem kuchennym. To oni usiłują nam wmówić, że kuchnia jest ważnym elementem naszego życia i że głównym kryterium oceny innych ludzi jest to, na jaki blat kuchenny się zdecydowali.

- Jesteście ludźmi z marmuru czy laminatu? - zapytała nas oschle sprzedawczyni, chwilę przed tym jak postanowiła dowiedzieć się, czy jesteśmy „ludźmi pastelowymi czy krzykliwie barwnymi”.

Wraz z Jokastą oznajmiliśmy radośnie, że jesteśmy ludźmi laminatu i krzykliwych barw, co w tłumaczeniu na język kuchenny oznacza: „Ludzie, zobaczcie, przyjechało prostactwo z przedmieścia”.

Zdecydowanie nie istnieje nic gorszego niż wpatrywanie się w ścianę zawieszoną próbkami laminatów: ich jedynym zadaniem jest wpędzić cię w depresję i przekonać, że i tak wybierzesz kombinację kolorów, która podczas testów laboratoryjnych wywołała atak paniki pośród myszy.

Zaczynamy od rzędu odcieni czerwieni i miedzi - wyrafinowanych barw, zdolnych zamienić najskromniejsze domostwo w pierwszorzędny burdel. Nieco poniżej znajdziemy rozkoszne pastelowe róże i błękity - kolory, którym wprost nie można się oprzeć, o ile ktoś planuje zamienić swoją kuchnię w pijalnię czekolady.

Im więcej próbek odcieni zbierzesz - a ja poupychałem ich w kieszenie tyle, że gdy idę, to grzechoczą - tym boleśniej dotrze do ciebie, że właśnie masz zamiar uczynić coś koszmarnego, co na dodatek będziesz musiał oglądać przez wiele lat. To właśnie trapi mnie i Jokastę. Jesteśmy w pełni świadomi, że nie mamy za grosz dobrego gustu. Musimy znosić widok kupionych przez nas ciuchów. A błędami, które przez całe życie popełniłem w dziale z koszulami, można by zapełnić ładnych kilka szaf. Stąd też nasza obsesja.

Wyobraźcie sobie nas w kinie oglądających jedną z najbardziej poruszających scen *Dzidziusia* Roddy'ego Doyle'a. Na pierwszym planie widzimy postać ojca strofującego córkę za to, że zaszła w ciążę, i zalaną łzami dziewczynę żarliwie broniącą się przed podaniem imienia ojca dziecka. I nagle dzięki zjeżonym włoskom na karku po prostu wiedziałem.

- Kochanie - wyszeptalem do Jokasty - czy myślisz o tym samym co ja?

- Tak - przyznała drżącym z emocji głosem. - Te szafki w tle... Zastanawiam się, czy uda nam się zdobyć podobne uchwyty.

Od jakiegoś czasu każda wizyta w kinie zamienia się w oglądanie filmowych wersji katalogów z meblami kuchennymi.

A co powiecie na scenę z filmu sensacyjnego, w której bandyta roztrząskuje czyjaś głowę o szafkę kuchenną? Jasne, że wyglądało to koszmarnie, ale czy zwróciliście uwagę, z jaką łatwością usunął później krew z powierzchni wykonanej z tworzywa marki Corian?

A ten film, w którym diler narkotyków próbuje upchnąć marihuanę do pełnej do granic możliwości szuflady? Choć raz mogliśmy odetchnąć z ulgą - do naszej kuchni zamówiliśmy szafki z przynajmniej dwa razy szerszymi szufladami.

Kiedy powinniśmy się spodziewać końca tej obsesji? Na pewno nie przed wydaniem tysięcy dolarów i spędzeniem tygodni na przyglądaniu się naszym chybionym wyborom tylko po to, by zrozumieć, że nikt nie ocenia ludzi po wyglądzie ich kuchni, ale po posiadanej kolekcji płyt.

Tym razem n a p r a w d ę musimy biec na zakupy.

## **Pies na biby**

Poniższe, nabazgrane niedbale notatki znalazłem na stoliku przy własnym łóżku. Nie mam pojęcia, do kogo należą, choć charakter pisma wydaje mi się znajomy.

Postanowiłem je opublikować, bo uznałem, że mogą wam się przydać.

## **Parę słów do siebie samego po powrocie z imprezy**

*Po wsze czasy zaczynać będę od piwa. Byle nie od czerwonego wina. A od ginu w szczególności.*

*Zaniecham świńskich zachowań na widok guacamole. W szczególności będę się powstrzymywał od opróżnienia miski z nim na długo przed przybyciem pozostałych gości, mając w pamięci doznany wstyd, gdy Michelle uznała za stosowne zablokować mi własnym ciałem dostęp do kolejnej.*

*Gdy dane mi będzie poznawać nowe osoby, ugnę się przed przyznaniem do własnej słabości i poproszę o powtórzenie imienia. W momencie bycia przedstawianym całą moją energię pochłaniają uśmiech i przybranie sympatycznego wyrazu twarzy. Okazuje się to zadaniem na tyle wyczerpującym, że mój umysł odmawia współpracy w jakimkolwiek innym zakresie.*

Rezultat? Mogę być przedstawiany ciągle tym samym osobom przez ładnych parę dziesięcioleci i wciąż nie będę miał bladego pojęcia, jak się nazywają.

*Zaniecham udawania, że jestem zagorzałym wielbicielem ich zajęcia, firmy czy produktu. Nie zawaham się przyznać, że daleko bardziej prawdopodobne jest, iż na skutek ograniczonej umiejętności kojarzenia faktów rzecz, którą przeczytałem / zobaczyłem / przesłuchałem / kupiłem jest dziełem ich zacieklego wroga.*

*Zaniecham udawania, że widziałem nową elewację sklepu Davida. Za każdym razem, gdy David opowiada mi, że właśnie zainwestował dziesięć tysięcy dolarów w nową elewację, moja automatyczna odpowiedź brzmi:*

- I powiem ci, że było warto.

Bolesne doświadczenie nauczyło mnie, że taka odpowiedź wywołuje pytanie Davida:

- Tak? A który szczegół podoba ci się najbardziej?

*Zaniecham prób wymigania się od odpowiedzi na pytanie Davida poprzez uciekanie się do bełkotania i robienia znaczących pauz.*

- No cóż, naprawdę podoba mi się to nowe oooo... eeee... weee...

- Wejście?

- Tak, wejście, zwłaszcza sposób, w jaki ozdobiłeś je tymi, no...

- Neonami?

- Tak, neonami. Właśnie nimi. W tym niezwykłym kolorze. Jak sądzisz, jak można nazwać ten kolor?

- Myślę, że większość ludzi nazwałaby go niebieskim.



*Nie dam się więcej pochłonąć długim i żarliwym dyskusjom na temat poziomu brutalności scen w Gladiatorze. Wcześniej czy później rozmowa osiągnie punkt, w którym będę się musiał przyznać, że nigdy w życiu nie widziałem tego filmu.*

*Zaniecham publicznego obnażania torsu. Nareszcie pojąłem, że moje ciało zawdzięcza swój atrakcyjny wygląd na zdjęciach z wakacji kombinacji dwóch czynników: a) pozycji horyzontalnej i b) głębokiemu wciągnięciu powietrza. Pogodzę się z faktem, że to samo ciało a) w pozycji stojącej i b) podrygujące w takt piosenki *Nutbush City Limits* drastycznie traci na atrakcyjności.*

*Zaniecham udawania, że pamiętam wiek, płeć i imię dziecka każdego z gości. Pytanie:*

- Jak tam dzieciak (i)? - z na wpół niewyartykułowanym „i” pozwalającym każdemu z gości na samodzielne podjęcie decyzji co do liczby posiadanych dzieci, bywa trafione, pod warunkiem że nie spotka się z odpowiedzią:

- Wiesz przecież, że Gary i ja jesteśmy w trakcie leczenia bezpłodności metodą *in vitro*.

*Zaniecham udawania, że słyszę innych pomimo głośnej muzyki, choć wcale tak nie jest. A już na pewno przestanę zakładać, że właśnie opowiedzieli mi dowcip, i zaczynać donośnie się śmiać, gdy tylko ich usta przestaną się poruszać. Zwłaszcza że mogą równie dobrze zwierzać mi się ze szczegółów swojej śmiertelnej choroby.*

*Zaniecham udawania, że pamiętam, jak ma na imię kuzynka Michelle. Równie dobrze może to być Judy, co Julie. A nawet June. Istnieje też spore prawdopodobieństwo, że właściwa odpowiedź brzmi Rhonda. Nie będę też udawał ataku kaszlu za każdym razem, gdy ktoś poprosi mnie o jej przedstawienie.*

*Pogodzę się z regułą, że długość opowiadanej anegdotki nie powinna przekroczyć czasu, jaki znam swojego słuchacza. Przezabawną, półgodzinną opowieść o naszych rodzinnych wakacjach spędzonych na łódce zarezerwuję chyba dla nieco bliższych przyjaciół.*

*Będę odmawiać przyjmowania skrzydełek z kurczaka z oferowanej mi tacy. Doświadczenie uczy, że nigdy nie wiadomo, co zrobić z ogryzioną kością. No, może poza szczelnym owinięciem jej serwetką i schowaniem do kieszeni. Przekonałem się już, że wbrew pozorom nie wzbudza to niezdrównej ciekawości pracowników pralni chemicznej.*

*Będę walczyć z wrodzoną sobie wylewnością w stanie alkoholowego upojenia. Pogodzę się wreszcie z faktem, że nie jestem osobiście odpowiedzialny za wypełnienie każdej chwili milczenia podczas rozmowy. Porzucę również myśl, że konwersacja się ożywi, jeśli ktoś wygłosi kontrowersyjną opinię skazującą go na atak ze strony każdej spośród obecnych w pokoju osób. Rada na przyszłość: pozwolić innemu pijanemu gościowi przejąć tę rolę.*

I wreszcie postanowienie ostatnie i jednocześnie najważniejsze: *Przepraszę wszystkich*. I to natychmiast. Jak tylko przypomnę sobie ich imiona.

## **Starcie tetryków**

Gdy już zdecydujesz się na jakiś sport połączony z elementem rywalizacji, najważniejsze to wybór przeciwnika reprezentującego poziom zbliżony do twojego. Dlatego też właśnie przeczesuję biuro z rakieta do squasha w dłoni w poszukiwaniu brzuchatego, mającego problemy z oddychaniem tłuszczoch, czyli idealnego dla siebie partnera do gry.

Ostatecznie mój wzrok pada na ukrytą w kącie biura zgarbioną sylwetkę, z tyłkiem rozplaszczonym na całej powierzchni krzesła, brzuchem przypuszczającym atak na elastyczną gumkę w spodniach i dłońmi z ręcznie wpychającymi do ust kolejnego pączka. Nie mogłem sobie wymarzyć lepszego partnera do gry w squasha.

Ujawnienie prawdziwych personaliów mojego kolegi byłoby dla niego zbyt upokarzające, nazwijmy go zatem Tony Squires.

Następnego dnia Tony Squires i ja spotkaliśmy się na korcie. Musieliśmy razem stanowić niezły widok: dwóch facetów z nadwagą, ubranych w zbyt obcisłe szorty, starających się wytrząść duszę z gumowej piłeczki i przez cały czas zastanawiających się, jakim cudem nasz sprzęt sportowy tak strasznie się skurczył od chwili, gdy używaliśmy go po raz ostatni, czyli mniej więcej od późnych lat siedemdziesiątych.

Po dziesięciu minutach gry obaj przybraliśmy kolor ja-skrawoczerwony - ten rodzaj pulsującej, alarmującej czerwieni, który mógłby się znaleźć w katalogu z odcieniami farb pod nazwą „wieńcowego szkarłatu”. Każdy z nas zdawał sobie sprawę z ryzyka rychłej śmierci, z drugiej jednak strony - przy życiu trzymała nas nadzieja, że to nasz przeciwnik zejdzie pierwszy. A wtedy ten, który przetrwa, siłą rzeczy zostanie zwycięzcą. To prawda, że może zostać na całe życie kaleką. Jak również to, że będzie musiał do końca swych dni borykać się z wyrzutami sumienia w związku ze śmiercią kolegi. Ale tak czy inaczej zwycięży. Stąd wniosek, że w każdym mężczyźnie, niezależnie od grubości pokrywającej go warstwy tłuszczu, drzemie dość agresji, by wywołać trzecią wojnę światową.

Zastanówmy się, czym kończy się nietrafienie w piłeczkę przez mężczyznę. Dojrzałą refleksją na temat przyczyn swojego błędu? Pracą nad poprawieniem kolejnego uderzenia? Niezupełnie. Zamiast tego woli on cisnąć swoją rakieta o ziemię i wydać z siebie mrozący krew w żyłach ryk.

Nawet największy słabeusz wierzy, że jego męstwo zostaje wystawione na próbę w momencie konkurowania w jakiegokolwiek dziedzinie z drugim samcem. To właśnie dlatego ciskamy kostkami do gry w monopol, zaślepieni gniewem, w chwili gdy naszemu pięcioletniemu rywalowi uda się pierwszemu postawić hotel.

Z tej samej przyczyny spędzamy bezsenne noce, ociekając potem i rozmyślając o naszym cholernym szefie, który po raz kolejny pominął nas podczas przydzielania awansów, a później zastanawiając się, czy wyrok za morderstwo pierwszego stopnia mógłby wpłynąć na wysokość naszej przyszłej emerytury.

I w ten oto sposób Tony Squires i ja nadrabialiśmy stężoną agresją braki w umiejętnościach, tworząc nową grę łączącą dostojną elegancję angielskiego squasha z bezmyślną brutalnością rugby. A dla tych, którym obca jest gra w squasha, pragnę dodać, że nie istnieje nic lepszego od widoku szeroko otwartych z przerażenia oczu rywala na widok pierwszy raz zastosowanego przez nas uderzenia w piłeczkę pełną parą z wysokości naszej głowy.

W tym miejscu Tony Squires, korzystając, z ostatnich przebłysków świadomości, mógłby zadać następujące pytanie: Dlaczego mężczyźni są tacy agresywni? Uczeni twierdzą, że przyczyn tego zjawiska należy doszukiwać się w regularnych kąpielach męskiego mózgu w płynie znanym również pod nazwą „piwa”.

Naturalną rzeczą jest, że mężczyzna zawsze postawi rywalizację ponad wszystko - niektórzy posuwają się wręcz do rywalizacji z własnymi żonami o to, komu pierwszemu uda się pomyślnie zakończyć popularne domowe obowiązki, takie jak seks.

Jak wyglądałby świat, gdyby to mężczyznom dane było rodzić? Również i tę czynność zamieniliby w przedmiot rywalizacji.

- Żałuj, że nie widziałeś kolesia w sąsiedniej izolatce - mówiliby, pokazując kolegom film ze swojego porodu puszczony w zwolnionym tempie. - Napręzał się z całych sił, aż tu nagle wyskoczyła ta pięciofuntowa kruszynka. Co za leszcz! Chłopaki, mój ważył dwanaście funtów, urodził się dopiero po dwudziestu godzinach i od razu zaliczył swoje pierwsze przyłożenie. A jeśli chodzi o karmienie piersią, to wystarczyło tylko podwinąć koszulkę, a mały tygrys doskonale wiedział, co ma robić.

Wracając do mnie, moje płuca, być może, da się wyleczyć, lecz urażonego ego - nigdy. Najbardziej martwi mnie to, jak źle muszę wyglądać, skoro Tony Squires pokonał mnie w pięciu partiach do zera?

## ROZDZIAŁ 8

---

*- Domyślam się, że te przedmioty nie należą do żadnego z was? - pyta Jokasta, patrząc groźnie na mnie i Batboya usiłujących się wyplątać z coraz ciaśniej zaciskających się na naszych szyjach więzów rodzinnej sprzeczki.*

*- To moja płyta - po chwili wahania Batboy decyduje się na najuczciwsze i najbardziej waleczne z rozwiązań, co pozwala Jokaście całkowicie skupić się na mnie.*

*- Tak więc - zaczyna, wymachując męskim butem w rozmiarze dziesięć i pół - co masz na swoją obronę, Kopciuszku?*

### **Zrobieni na szaro**

- Mam dość tego domu i waszego przekonania, że wszystko, co po nim porzrzucacie, samo magicznie się posprząta - wypowiedając te słowa, Jokasta stoi w salonie, oskarżycielsko wymachując płytą Smash Mouth i parą zrzuconych z męskich nóg butów, rozmiar dziesięć i pół.

- Domyślam się, że te przedmioty nie należą do żadnego z was? - kontynuuje, patrząc groźnie na mnie i Batboya, usiłujących się wyplątać z coraz ciaśniej zaciskających się na naszych szyjach więzów rodzinnej sprzeczki.

- To moja płyta - po chwili wahania Batboy decyduje się na najuczciwsze i najbardziej waleczne z rozwiązań, co pozwala Jokaście całkowicie skupić się na mnie.

- Tak więc - zaczyna, wymachując męskim butem w rozmiarze dziesięć i pół - co masz na swoją obronę, Kopciuszku?

- No cóż - mówię. - Tak naprawdę to właśnie miałem zamiar odłożyć je na miejsce.

Jokasta niewątpliwie jest atrakcyjną kobietą, jednak traci nieco ze swojej urody, w momencie gdy prychna drwiąco, zabawiając się cudzym kosztem. Nadszedł czas wzięcia winy na siebie i z całego serca zapraszam, byście mi w tym towarzyszyli.

- Wszystko będzie dobrze - mówię tonem, jakim zazwyczaj przemawia się do szaleńca uzbrojonego w ładunek wybuchowy. - Wyjmę wszyścieńko z szafek kuchennych i wyszoruję je do czysta, a potem uzupełnię zapasy i porządnie zapakuję z powrotem do szafek.

Niezwykle atrakcyjna oferta pomocy, myślę, że się ze mną zgodzicie. A jednak zamiast spodziewanej wdzięczności słyszę kolejne prychnięcie.

- Jakie to typowe - stwierdza Jokasta. - Zawsze zgłaszasz się do wykonania tych największych, najbardziej widowiskowych prac, które robi się raz do roku, a nigdy nie interesują cię zwykłe, nudne obowiązki, które trzeba wypełniać co tydzień, takie jak na przykład sprzątanie łazienki.

Mój umysł wykonuje nadludzki wysiłek, gdy próbuję zrozumieć, dlaczego tak nie cierpię tych zwykłych, nudnych, przyziemnych prac domowych, i nagle, zupełnie bezwiednie, z moich ust wydobywa się bolesna prawda:

- Cóż, chyba nikogo one nie interesują.

Temu właśnie wyznaniu zawdzięczam znalezienie się w ciągu zaledwie trzech minut w łazience w otoczeniu środków czyszczących, z przejrzystą instrukcją doprowadzenia jej do lśnienia, i to jeszcze przed południem.

Tego rodzaju położenie stawia przed, teoretycznie rzecz biorąc, obeznanym w świecie mężczyzn nie lada przeszkodę: jak wykonać powierzone zadanie bez przyznawania się, że pomimo czwartego krzyżyka na karku



nigdy w życiu nie sprzątnęło się całej łazienki? Prośba o wyjaśnienie, jak się to robi, wydaje się kiepskim pomysłem, wchodzę więc do łazienki uzbrojony we wszystko, co jest opatrzone naklejką z napisem „środek czyszczący”. Jeśli nawet cifowi nie uda się ta sztuka, zawsze mogę poprosić o pomoc jego kolegów.

A gdy już zabieram się do pracy, po chwili orientuję się, że naprawdę mnie to wciągnęło. Zauważyłem jakieś szare grudki w zaprawie murarskiej, więc pozbyłem się ich za pomocą druciaka, a później jakiś zator w okolicy odpływu wody, który usunąłem, rozkręcając kran. Wreszcie nadszedł czas na umycie toalety. Żeby to porządnie zrobić, musiałem rozkręcić i odsunąć na bok sedes, co zresztą okazało się dziecinnie proste, głównie dzięki użyciu elektrycznego wiertła wyposażonego w specjalne nasadki, kropelki środka WD-40 naniesionej na każdą ze śrub i odrobinki kwasu murarskiego wylanej w miejscach połączeń cementem.

Jokasta weszła do łazienki dokładnie w momencie, gdy w pełnym rynsztunku (czyli ubrany w swój pas z narzędziami i maskę do bezpiecznego oddychania, która miała uchronić mnie przed szkodliwym działaniem kwasu) pochylałem się nad skrzynką na narzędzia, a sama łazienka wyglądała jak po przejściu tornada - krany i muszla klozetowa leżały rozrzucone na podłodze.

- Nie mogę uwierzyć, że udało ci się zamienić naszą zwyczajną łazienkę w scenę, na której możesz się popisywać - powiedziała, kompletnie wytrącona z równowagi. - Obawiałeś się pewnie, że przyrodzenie odpadnie ci w chwili, gdy zrobisz coś tak, jak powinienes? - z tą różnicą, że ona nie użyła słowa „przyrodzenie”.

Oczywiście rozumiałem jej wściekłość, ale w tego rodzaju przypadkach najlepiej sprawdza się stara, dobra zasada pożycia małżeńskiego: najlepszą obroną jest atak.

- No cóż, nie mam pojęcia, kto usiłował sprzątać tę łazienkę przez ubiegłych dziesięć lat - zacząłem dość zadziornie - ale z pewnością nie robił tego zbyt dokładnie.

Z perspektywy minionego tygodnia, podczas którego miałem dość czasu na przemyślenie całej sytuacji, przyznaję, że wygłoszenie tego komentarza było błędem. Błędem, który podsunął Jokaście pomysł stworzenia har-



monogramu prac domowych - zawisł on na drzwiach lodówki. Ostatnie słowo, jak się okazało, należy zawsze do osoby przydzielającej innym obowiązki.

Najnowszy harmonogram wywieszony wczoraj rozdziela prace na najbliższych osiem tygodni. Osiem tygodni, które będę mógł, wedle słów Jokasty, poświęcić na „doprowadzenie łazienki do stanu, w jakim życzyłbym sobie ją widzieć, co powinno stanowić dla mnie źródło ogromnej satysfakcji osobistej”.

Jeśli chodzi o Batboya i Kosmicznego Kadeta, to również im harmonogram oferuje wachlarz możliwości. Możliwości - jak podkreśla Jokasta - by „stać się pierwszymi na świecie rozsądnymi facetami, i w ten sposób odmienić los kilku pogrążonych jak dotąd w niewiedzy kobiet”.

A co z Jokastą? Wymyślony przez nią harmonogram przewiduje dla niej osiem tygodni „wyciszającego podlewania ogrodu”, co pozwoli Jokaście, jej zdaniem, wymazać z pamięci obraz pochylającego się nad skrzynką z narzędziami męża i zdewastowanej łazienki.

## **Smaczny kąsek**

Wydawany co roku „Przewodnik Smakosza” jest zawsze pełen opisów lokali z najwyższej półki, przyciągających najbardziej wyrafinowaną, światową klientelę. Mnie jednak zastanawia, gdzie podziały się miejsca, w których to my jadamy?

## **Bar z kanapkami U Susan**

W tym roku to popularne miejsce spotkań zostało ponownie otwarte po ubiegłorocznym przykrym incydencie związanym z niezapowiedzianą inspekcją sanepidu - Susan, właścicielka i menadżer lokalu zapewnia, że jest on teraz całkowicie wolny od gryzoni. Goście mogą rozkoszować się subtelną mieszanką woni spalin z miejskich autobusów i wyziewów przypalającego się oleju, unoszącą się w lokalu, połączoną z niemożliwym do podrobienia zapachem wydzielanym przez samą właścicielkę. Zdaniem jednego ze stałych bywalców „jest to piorunująca mieszanka”.

Oferowane klientom produkty, co rano wyjmowane z należącej do Susan lodówki, prezentowane są w przeszklonej gablocie, której lwia część jest całkowicie pozbawiona bakterii jadu kiełbasianego. Klienci mogą wybierać z bogatego wachlarza tradycyjnych dodatków do kanapek, zachowując przy tym pewność, że niezwykle posmak sardynek i salami i tak zostanie przeniesiony na zamówiony przez nich smakołyk za pośrednictwem szczyptec Susan. Trzeba również wspomnieć o innym charakterystycznym dla tego miejsca dodatku, który zawdzięczamy asystentowi szefowej kuchni Terry'emu i jego przesiąkniętemu zapachem czosnku oddechowi. To dzięki niemu każde serwowane w barze danie zawiera to niepowtarzalne *je ne sais quoi*.

Zdaniem Susan jej popisowym daniem jest mięso zapiekane w cieście o strukturze tak delikatnej, że zawsze ląduje ono na koszuli klienta. Oto, jak komentuje to z łobuzerskim uśmiechem na twarzy Terry:

- Nasze zapiekane mięso jest jak ciuchy od Armaniego - największe osobistości marzą, by mieć je na sobie.

Bar U Susan jest otwarty od godziny 7.30 rano aż do chwili, gdy Terry'ego zaczną boleć nogi, czyli mniej więcej do godziny 17.45.

## **Chińska restauracja Jedz, ile Wlezie Barry'ego Chow**

Być może restauracje polecane przez „Przewodnik Smakosza” oferują wysoką jakość, lecz jeśli chodzi o ilość, palma pierwszeństwa należy się

zdecydowanie Barry'emu Chow. Niekwestionowany numer jeden dla każdego, kto ocenia posiłek głównie za pomocą wagi.

Barry jest jednak świadomy, że prowadzenie restauracji typu Jedz, ile Wlezie to stapanie po cienkim lodzie. Skoro neon zawieszony nad wejściem do lokalu sugeruje możliwość brania niekończących się dokładek, to jedzenie samo w sobie powinno przejąć na siebie odpowiedzialność za zachowanie rotacji gości. I jak do tej pory, udaje mu się to doskonale - już pierwsza porcja jagnięciny po mongolsku według przepisu Barry'ego jest w stanie ostudzić zapal najbardziej rozentuzjasmowanych biesiadników. „Dziękuję, najadłem się do syta” - to największy dowód uznania, jaki może paść z ust gościa, i bardzo często pada, w momencie gdy klienci z krzykiem na ustach opuszczają w popłochu lokal.

- Nie ma niczego lepszego niż moje krokiety - mówi Barry, podkreślając oślepiające fluorescencyjne światło i nastawiając radio na pełny regulator - żeby zapewnić właściwy przepływ klientów w restauracji...

## **Stołówka zakładowa**

Miejsce cieszące się tak ogromną popularnością, że może się poszczycić stałą, odwiedzającą je dzień w dzień klientelą, co w dużej mierze jest spowodowane faktem, że to jedyny lokal serwujący jedzenie w promieniu dziesięciu kilometrów.

- To nieprawda, że wszyscy nasi kucharze nauczyli się gotować w więzieniu - twierdzi Mike, szef kuchni. - Przynajmniej jeden spośród nich potrafił gotować, zanim jeszcze trafił za kratki. A poza tym - dodaje, figlarnie puszczając oczko - to właśnie dzięki temu mają tak duże osiągnięcia w świadczeniu usług na rynku monopolistycznym.

## Restauracja Familijna i bar ze stekami U Betty

Słowo „familijna” zostało w tej nazwie użyte w tradycyjnym australijskim znaczeniu, tak jak w wyrażeniach „pokój familijny”, „wakacje familijne” oraz „film familijny”. Innymi słowy, oznacza dokładnie to samo co „cholernie obrzydliwy”.

W kwestii wystroju słowem przewodnim dla Betty był przymiotnik „trwały”, podczas gdy przy opisie jej kuchni najszybciej nasuwającym się na myśl określeniem jest „oszczędny”.

Co więcej, wszystkie serwowane tutaj dania pochodzą z mikrofalówki.

- Jak inaczej mogłabym uzyskać efekt potraw piekielnie gorących z zewnątrz i zimnych jak lód w środku? -pyta Betty, wlewając do garnka kolejne wiadro wypełniacza do mięs. - Lubię myśleć, że właśnie dzięki temu każde danie ma posmak niespodzianki i zapewnia klientowi szczyptę emocji porównywalną z jedzeniem płonących bananów.

## U Mamy

Ten lokal cieszy się niesłabnącą popularnością do tego stopnia, że spora część mieszkańców Sydney stołuje się w nim codziennie. Podczas naszej wczorajszej wizyty zdecydowałem się na kotlety jagnięce z puree ziemniaczanym i brukselką, podczas gdy moja towarzyszka wybrała kotlety jagnięce z puree ziemniaczanym i brukselką.

W czasie gdy my delectowaliśmy się posiłkiem, dwójka naszych młodych towarzyszy bawiła się kotletami jagnięcymi, usiłując ukryć brukselkę pod kośćmi, i popłakała się, gdy zabroniono im obejrzeć *South Park*. Obsługa nie jest przesadnie pedantyczna, stali klienci zaś nie muszą obawiać się, że zabraknie dla nich miejsca przy stole. Atmosfera nieformalna, goście zachęceni są do samodzielnego przygotowania sobie drinków podczas posiłku i (*sic!*) umycia naczyń po skończonym obiedzie.

Niektórzy spośród najmłodszych biesiadników narzekali na porywczy temperament szefa kuchni, zwłaszcza po odmówieniu przez nich konsumpcji brukselki. Większość gości jest jednak zdania, że to niezbyt wygórowana cena za posiłek tej klasy.

Stołowanie się U Mamy jest co prawda bezpłatne, lecz część klientów ostrzega, że nie uda wam się wypłacić do końca życia.

## **Księga żartów poprawnych politycznie**

Zdaniem niektórych jedyny żart będący w stanie kogokolwiek rozśmieszyć to kawał niepoprawny politycznie -rasistowski, szowinistyczny lub po prostu wredny.

Może to właśnie ten ostatni element jest kluczem do sukcesu dowcipu? Jeśli chodzi o pozostałe dwa czynniki, trzeba po prostu trafić na grupę, która zasłużyła sobie na to, by się z niej pośmiać. Witajcie w *Księdze żartów poprawnych politycznie*.

### **Część 1: Bankowcy**

Dlaczego pracownicy australijskich banków twierdzą, że doskonale sobie radzą z pracami domowymi?

Bo kiedy ty stracisz pracę, oni zajmą się twoim domem.

Po co klient banku przeszedł na drugą stronę ulicy? Żeby odszukać wreszcie koniec kolejki.

Dlaczego klienta banku można nazwać niebieskim ptakiem?

Ponieważ może spłacić pięćset rat za swój samochód i nadal nie mieć do niego żadnych praw.

Co mają wspólnego klient banku i złodziej próbujący ten bank okraść?

Obu grożą jednakowe konsekwencje, jeśli zdecydują się poprosić kasjerkę o wypłatę pieniędzy.

Co mają wspólnego australijskie banki i oddziały nieprzyjacielskich wojsk?

I jedno, i drugie mają za cel kogoś złupić.

Dlaczego cztery najważniejsze banki w Australii przypominają orkiestrę symfoniczną?

Ponieważ kłamią koncertowo.

Co mają ze sobą wspólnego pracownicy australijskich banków i rosyjscy szpiedzy?

To, że nawet pod groźbą tortur nie wyciągniesz z nich żadnej potrzebnej ci informacji.

Dlaczego rekin ludojad będzie krążył wokół bankowca, lecz nigdy go nie zaatakuje?

Z poczucia koleżeńskiej solidarności.

Dlaczego australijskie banki przypominają armię izraelską?

Ponieważ i jedni, i drudzy mają w swoich szeregach szaleńców i potencjalnych terrorystów.

Czym się różni australijski bankowiec od twojego nastoletniego syna?  
Niczym. Żaden z nich od lat nie okazał ci odrobiny zainteresowania.

Czym się różnią australijskie banki od wędkarzy? Niczym. I jednych, i drugich najbardziej interesuje suma i to, żeby się obłowić.

Jak określić bankowca, który doradza ci wzięcie pożyczki, bo akurat źle się u ciebie dzieje?

Złodziejem.

Jaką żoną jest kobieta, która posłuchała tej rady?

Zadłużoną.

Jak nazwiesz bankowca, który najpierw głosił chęć pomocy potrzebującym, a potem zabiera im dach nad głową, bo nie mają pieniędzy na spłatę hipoteki?

Eksmisjonarzem.

Jak nazwiesz klienta, który właśnie stracił w podobny sposób swój samochód?

Wykołowanym.

Co łączy bankowca i lokalnego złodziejaszka?



Obaj zamieszkali w jakimś małym miasteczku, ograbili jego mieszkańców z tego, co mieli, a teraz wolą się od wszystkich trzymać z daleka.

- Proszę pani, mam wrażenie, że wszyscy w tym banku mnie ignorują!

- Następny, proszę.

- Proszę pani, mam tylko pięćdziesiąt dziewięć sekund, żeby zapłacić, bo inaczej bank zajmie moje gospodarstwo.

- Proszę minutkę poczekać.

Czym się różni bankowiec przyznający ci pożyczkę od grabarza?

Niczym. O obu poznasz, będąc w dołku, i żaden z nich nie pomoże ci się z niego wydostać.

## Część 2: Politycy

W historii każdego narodu przychodzi taki moment, w którym politycy stają się tak żałośni, a wstyd z tego powodu tak wielki, że jedyne, co nam pozostaje, to śmiać się z tego. Stąd też część druga naszej *Księgi żartów poprawnych politycznie*.

Jak nazywamy premiera Australii wizytującego jej rdzenne obszary?

Zaginionym w akcji.

Jak nazywamy premiera Australii odwiedzającego Organizację Narodów Zjednoczonych? Postawionym w stan oskarżenia.

Co mają wspólnego premier Australii i przemytnik narkotyków?

Obaj jak ognia boją się oskarżeń ze strony prawa międzynarodowego.

Ilu australijskich sędziów pokoju potrzeba, by zmienić żarówkę?

Ani jednego. I tak każdy z nich jest zbyt leniwy, by kiwnąć palcem.

Co łączy rasistę i pijaka?

To, że niezależnie od tego, co powiedzą, ktoś i tak się obrazi.

Co łączy australijskich polityków i starówkę w Sydney? To, że reprezentują osiemnastowieczny styl.

Jaka jest różnica pomiędzy aborygeńskim dzieckiem kradnącym ciężarówkę i ciężarówką porywającą aborygeńskie dziecko?

Tylko jedna z tych sytuacji jest przestępstwem: ta, w której aborygeńskie dziecko wie, dokąd jedzie.

Co łączy premiera i bank australijski? To, że wszyscy mieszkańcy Australii płacą mu pieniądze i nie mają z tego żadnej korzyści.

Dlaczego rasista nie chce przejść na drugą stronę ulicy? Z obawy przed spojrzeniem na świat z innej perspektywy.

Dlaczego rząd Australii ucina wszelkie dyskusje dotyczące Terytorium Północnego?

Bo uważa, że tylko sędziowie mają prawo wyrokować.

Dlaczego członek Partii Liberalnej postanowił się z nią rozstać?

Bo dziewięćdziesiąt osiem procent tej partii ciężko zapracowało na złe imię pozostałych dwóch.

Dlaczego rząd australijski bardzo szybko interweniował w sprawie zalegalizowania eutanazji na Terytorium Północnym, lecz ociągał się, gdy chodziło o wyroki nakazane ustawą na tym samym terenie?

Bo zależy mu na zachęcaniu do samobójstwa wyłącznie ludzi młodych\*<sup>8</sup>.

Co łączy rasistę i spikera wyścigów konnych w Rosehill? I jeden, i drugi podnoszą krzyk, gdy tylko w zasięgu ich wzroku pojawi się jakaś nowa rasa.

Czy słyszeliście o tym, że pewnemu politykowi udało się wymyślić podatek przyjęty z entuzjazmem? Tak, ten nałożony wyłącznie na Aborygeńców.

Jaka jest różnica między uprowadzeniem aborygeńskiego dziecka a kradzieżą przez nie paczki herbatników?

Żadna. W obu wypadkach aborygeńskie dziecko straci wolność.

---

<sup>8</sup> \* Chodzi tu o głośną sprawę samobójstwa popełnionego przez młodego człowieka skazanego na mocy wspomnianej w dowcipie ustawy za kradzież artykułów piśmienniczych i wybitcie szyby. Osobami najczęściej karanymi w ten sposób byli nieletni, ubodzy, rdzenni mieszkańcy Australii.

Dlaczego ekipa transplantologów z St Vincent wykorzystuje do przeszczepów wyłącznie serca ministrów rządu? Bo te nieużywane są do tego celu najlepsze.

Dlaczego aborygeńskie dziecko ukradło korektor? Bo zobaczyło na nim napis: „przywraca biel”.

Ilu premierów potrzeba, by wymienić żarówkę? Żadnego. Skoro ta żarówka doskonale działała trzydzieści lat temu, to po co ją zmieniać?

## Udręka zapraszania

Stoję nad patelnią, smażąc steki, i zastanawiam się, jak najlepiej sprecyzować to pytanie. Wreszcie wyrzucam je z siebie lekko przez ramię:

- Za kilka tygodni będziemy mieli imprezę firmową. Miałabyś może ochotę się tam ze mną wybrać?

Staram się, by zabrzmiało to entuzjastycznie i radośnie, jakbym nie potrafił sobie wyobrazić niczego lepszego niż zaproszenie żony na imprezę firmową. Prawda jest jednak taka, że gdzieś w głębi duszy rozlega się perfidny głosik mamroczący cichutko: „mam nadzieję, że odmówi”.

I tu nasuwa się pytanie, dlaczego osoba żyjąca w szczęśliwym związku, a szczególnie taka wyposażona przez naturę w pokaźny brzusek, woli pojawić się na przyjęciu służbowym bez partnera?

Odpowiedź - i wiercie mi, sam jestem zaskoczony, że zrodziła się ona w bagnie zwanym podświadomością -jest jedna: kobiety.

Gdzieś w zakamarkach mojej głowy wciąż tkwi żalosa fantazja, że kiedy tylko pojawię się na firmowym przyjęciu świątecznym ubrany w poliestrową koszulę i pachnący kropelką wody toaletowej Blue Stratos, grupa kobiet natychmiast zapala chęcią dobrania się do moich spodni. Samo w sobie wydaje się to nie lada wyczynem, bo już w tym momencie zostało w nich niewiele wolnego miejsca.

Mężczyźni jednak lubią mieć nadzieję. Niezależnie od metryki, niedostatków urody, udanego pożycia małżeńskiego, wiążących się ze zdradą wyrzutów sumienia... lubimy mieć świadomość, że taka sytuacja jest możliwa. W teorii.

Na co my w gruncie rzeczy liczymy? Jakiego cudu oczekujemy, sądząc, że jedna z kobiet, które przez dziesięć lat zaszczyciły nas nie więcej niż jednym spojrzeniem, niespodziewanie przewycięży swoją niechęć?

Odpowiedzią - i jestem przekonany, że udzielam jej w imieniu wszystkich facetów - jest wojna nuklearna. My po prostu wiemy, że pewnej nocy - może za rok, a może za pięćdziesiąt lat - usłyszymy wiadomość, że zaledwie sekundy dzielą ludzkość od pochłonięcia przez ogień piekielny. Lubiemy wierzyć, że to z kolei zachęci kobiety do zwrócenia się w kierunku pierwszego faceta, który akurat będzie pod ręką. A kiedy już to się stanie, to my chcemy być tym facetem siedzącym tuż obok Moniki z działu wysyłek.

Wróćmy zatem do pojawiającego się co roku problemu: jak zniechęcić swoją partnerkę do towarzyszenia ci na przyjęciu świątecznym (i usadowienia się pomiędzy tobą a Moniką] bez powiedzenia jej tego wprost. Stąd też nasza dyskusja przy kolacji:

JA: No to jak, chcesz iść na to przyjęcie?

JOKASTA: Och, wszystko mi jedno. Jeśli chcesz, żebym z tobą poszła, to pójdę.

JA: Bardzo bym chciał, żebyś poszła, byłoby super, ale staram się spojrzeć na to z twojego punktu widzenia: będzie tam pewnie mnóstwo nudziarzy w krawatach.

JOKASTA: Próbujesz mnie zniechęcić, zgadłam?

JA (obficie się pocąc): Nie, przysięgam, że nie.

JOKASTA (zmierza w moim kierunku z nożyczkami w ręku): Chcesz iść tam sam, co, casanowo? Żeby móc położyć swoje łapska na jakiejś biednej wstawionej kobiecie? Cóż, moim zdaniem to żałosne.

Ta rozmowa przebiega dokładnie według najgorszego z możliwych scenariuszy, kończącego się nie tylko odwołaniem przez twoją żonę wcześniejszych planów i stawieniem się na imprezie, ale dodatkowo - zaproszeniem na nią twojej teściowej.

Problem polega na tym, że współmałżonek za żadne skarby nie uwierzy, że chodzi ci tylko o flirt, choć to prawda. Wszyscy zajęci ludzie niezależnie od płci marzą o jednym: chcemy przyjść na przyjęcie, podejść do innych zajętych ludzi przeciwnej płci i wykrzesać choć jedną iskierkę. Po to tylko by przekonać się, że wciąż jesteśmy w stanie to zrobić. To jak włączenie starego gramofonu. Nie chodzi o to, że chcesz słuchać płyt analogowych, zależy ci wyłącznie na sprawdzeniu sprzętu.

I tak właśnie wplątujesz się w te dziwaczne, prowadzone zmysłowym szeptem rozmowy z całkowicie obcymi ci osobami:

MEŹCZYZNA: Tak, wypróbowaliśmy pokrycie z Lami-neksu, ale okazało się, że kiepsko się sprawdza, szczególnie w ekstremalnie trudnych warunkach.

KOBIETA: My też używaliśmy kiedyś Lamineksu, ale doszliśmy z Patrickiem do wniosku, że lepiej wymienić go na blaty Corian. I nie żałujemy tej decyzji.

Przez cały czas rozmowy będziecie nieznacznie pochyłać się w swoim kierunku, wciągając brzuchy i wpatrując się w siebie rozmarzonym wzrokiem.

Rzecz jasna nic nie ma prawa się wydarzyć. Oboje jesteście obciążonymi hipotekami i rodzinami rodzicami w średnim wieku. Wykrojenie pięciu minut na opłacenie rachunku za gaz graniczy z cudem, trudno więc marzyć o całym poranku spędzonym na namiętym romansowaniu.

Mniej więcej po trzydziestu minutach każde z was pójdzie w swoją stronę zaskoczone świeżo dokonany odkryciem: „JESTEM WCIAŻ ATRAKCYJNY DLA PŁCI PRZECIWNEJ!” (nawet jeśli dzieje się tak tylko wówczas, gdy płeć przeciwna ZALAŁA SIĘ W TRUPA z okazji ŚWIĄT).

Mimo to Jokasta w dalszym ciągu jest podejrzliwa. I teraz, jak łatwo można się domyślić, nabrała ochoty, by mi towarzyszyć. Tym bardziej że przyjęcie świąteczne w jej firmie będzie pełne „nudziarzy w krawatach”.

Zasugerowała nawet, że powinienem sobie darować udział w jej imprezie. Wygląda na to, że wynudziłbym się na niej jak mops. To cudowne, że ona zawsze stawia moje dobro na pierwszym miejscu, nie sądzicie?

## Święta u Griswoldów

Frank, nasz sąsiad z naprzeciwka, obwiesił właśnie swój dom mrugającymi radośnie bożonarodzeniowymi światełkami. W sobotę pojechałem do sklepu sprawdzić, ile one kosztują. Cena światełek do ozdobienia domu wynosiła sześćdziesiąt pięć dolarów, więc natychmiast dokonałem zakupu.

Po powrocie do domu zrozumiałem, że Jokasta nie jest zadowolona. Jej zdaniem sześćdziesiąt pięć dolarów to masa pieniędzy, a do tego dochodzi jeszcze koszt zużytego prądu. Wspomina również film *W krzywym zwierciadle: Witaj, Święty Mikołaju*: Chevy Chase gra tam rolę Clarka Griswolda - kiczowatego Amerykanina, którego zamiłowanie do świątecznych świate-



łek kończy się puszczeniem domu z dymem. Jokasta twierdzi też, że dekorowanie w ten sposób domu na przedmieściach jest nieco „głupkowane” (i to mówi kobieta, która w zeszłym miesiącu kupiła rzeźbę ogrodową).

Jestem przyzwyczajony do tego rodzaju szykan. Honorowo odwracam się na pięcie i wychodzę z domu, by powiesić światełka. Nie chcę się chwalić, ale odwaliłem kawał naprawdę dobrej roboty, układając je na kształt kilku choinek.

Jokasta nie od razu mogła podziwiać efekt, bo zanim się ściemniło, pojechaliśmy na „wieczór kolęd w blasku świec” dwa osiedla dalej. Jest on organizowany nieopodal zatoki, a samo śpiewanie nie jest główną atrakcją. Domy, które mijaliśmy po drodze, były pięknie przystrojone światełkami i innymi dekoracjami. Przez całą drogę Jokasta nazywała mnie Clarkiem Griswoldem.

- Masz okazję podpatrzeć kilka pomysłów na przyszły rok, Clark. Oczywiście pod warunkiem że nasz dom nie zamienił się jeszcze w kupkę dymiących zgliszczy.

Park wygląda naprawdę przepięknie. Kilkaset osób śpiewa kolędy, a gdy zapada zmierzch, lampki na domach rozbłyskują. Ta tradycja istnieje od lat i przez ten czas duch rywalizacji zyskał na sile. Ludzie prześcigają się w pomysłach i Jokasta co chwilę szturcha mnie w bok, pokazując kolejne dekoracje: Świętego Mikołaja zręcznie wspinającego się na dach, grupkę elfów i wreszcie właściciela domu, który sam przebrał się za Świętego Mikołaja, by wzbogacić dekorację o żywy element.

- O, to jest niezły pomysł dla ciebie, Clark - mówi Jokasta. - Masz do tej roli doskonałe warunki.

Inna rodzina postawiła na religijny charakter dekoracji i zaopatrzyła się w piękne szklane figury Maryi i Józefa oświetlane od wewnątrz. Kolejny dom wygląda jak żywcem wyjęty z Las Vegas - cały aż pulsuje światłem.

- W porównaniu z tym, Clark, efekt twojego wysiłku przypomina Reno\*<sup>9</sup> - mniej świateł i trochę bardziej na zachód.

---

<sup>9</sup> \* Miejscowość w Stanach Zjednoczonych, określana mianem The Biggest Little City in the World (Największe Małe Miasteczko na Świecie), słynąca z kasyn.

Chociaż Jokasta sili się na ironię i udaje obojętność, znam własną żonę. Widzę, że z każdą minutą coraz bardziej ją to wciąga.

- Powiedz mi jeszcze raz, ile kosztuje dodatkowy zestaw światełek? - pyta wreszcie.

Skrećamy w kolejną ulicę i dostrzegamy, że przed jednym z domów zgromadziło się wyjątkowo dużo osób. Słysząc podekscytowane głosy żywo diskutujących ludzi. Trudno jest nam zgadnąć, co jeszcze bardziej oryginalnego udało się wymyślić gospodarzowi tego budynku. Wydawało nam się, że widzieliśmy już wszystko w dziedzinie świątecznych dekoracji: pociągi wypełnione elfami, elektryczne anioły wyśpiewujące kolędy, dwie drużyny reniferów ścigające się po przeciwnych stronach ogródka.

Przeciskamy się przez tłum i doznajemy olśnienia. W ogródku widzimy inscenizację Bożych narodzin. Skrawek ziemi wyłożono „śniegiem”, czyli kostkami styropianu, a na nim ustawiono pokrytą strzechą stajenkę. Wewnątrz niej usadowiła się po turecku trzyletnia dziewczynka ze starannie ułożonymi lokami, ubrana w prześliczną białą sukienkę i rzęście oświetlona. Obok niej na ziemi położono żłóbek. A w nim - przysięgam, że mówię prawdę - PRAWDZIWE DZIECKO.

Niemowlę jest na tyle malutkie, że wciąż ssie swoją piąstkę. Ma pewnie około dziewięciu tygodni. Jest to zdecydowanie jedna z najdziwaczniejszych scen, w jakich przyszło mi uczestniczyć.

Na rogu ulicy ustawiły się tymczasem dwie furgonetki z lodami, wężąc świetny interes. Trudno przegapić taką okazję. Faceci z sąsiednich domów mogą sobie co noc wydawać trzysta dolców na prąd, ale bez żywego dziecka...

Matka siedzi na werandzie, pilnuje, by dziecko było bezpieczne, lecz trzyma się z dala od świateł reflektorów. Pozwala skupić całą uwagę widzów na aktorach. Dziecku. Jego siostrze. Styropianowym śniegu. Muszę przyznać, że wyglądają na dość szczęśliwych. Szczególnie Dzieciątko Jezus, które ani razu się nie rozplakało.

---

Nagle dociera do mnie poziom rywalizacji, w którą się wplątałem. Może i wystarczyło mi sześćdziesiąt pięć dolarów, by do niej dołączyć, ale na pewno nie wystarczyło, żeby wygrać.

Wracamy do domu, nasze nowe światełka migoczą na powitanie, a Jokasta pozwala sobie na cichutkie westchnienie zachwytu. Przestała już nawet nazywać mnie Clarkiem. Wygląda na to, że udało mi się ją przeciągnąć na swoją stronę, ale nadal nie wiem, do jakich poświęceń jest gotowa, byśmy w przyszłym roku to my zadziwili wszystkich sąsiadów. Uciekam się do pomocy kalendarza i kalkulatora, a potem obejmuję ją ramieniem i rzucam lekko:

- A co powiesz na weekend tylko we dwoje gdzieś około dwudziestego piątego marca?

## Świąteczna gorączka

Oto, jak wyobrażam sobie idealne święta:

**9.15:** Budzę się i otwieram wymarzone prezenty ze swoją doskonałą rodziną.

**12.00:** Zasiadamy wspólnie do lekkostrawnego, lecz urozmaiconego posiłku. Omawiamy bieżące wydarzenia. Rozkoszuję się (jednym!) kieliszkiem wina.

**15.20:** Odpoczywam, zaczytując się kolekcją wydawnictwa Penguin podarowaną mi przez moich przewidujących bliskich. Odkrywam, że lektura dzieł Balzaka sprawia mi szczególną przyjemność.

Nie wiem, jak wyglądają święta w waszym domu, ale u nas przedstawiają się one mniej więcej tak:

**5.17:** Do sypialni wbiega Kosmiczny Kadet. Zaczyna się gorąca dyskusja na temat różnic w pojmowaniu słowa „rano”. W końcu pozwalam mu zajrzeć do skarpety na prezenty. Okazuje się, że zawiera ona połowę cukru przetworzonego w ostatnim kwartale w Queensland w łatwo przyswajalnej formie.

**5.25:** Z niedowierzaniem obserwuję efekt działania cukru na młody organizm. Zrezygnowany proszę syna, by poszedł pobawić się „gdzie indziej”.

**5.34:** Podejmuję próbę reanimacji choinki, usuwając wszystkie połamane gałązki.

**6.15:** Pomagam Kosmicznemu Kadetowi rozpakować prezenty. Tłumaczę mu, że Święty Mikołaj zapomniał o bateriach do magicznego pasa Superodkrywcy.

**6.30:** Sugeruję Kosmicznemu Kadetowi, żeby wskoczył do naszego łóżka i jeszcze trochę się przespał.

**6.31:** Na własnej skórze przekonuję się, że byłoby to mniej bolesne, gdyby najpierw zdjął z siebie magiczny pas Superodkrywcy.

**6.32:** Usuwam kawałki magicznego pasa Superodkrywcy z własnego ciała. Przyklejam plastry.

**6.45:** Zasypiam.

**6.46:** Zostaję obudzony przez Batboya. Sugeruję mu, by zajrzał do skarpety na prezenty. Ponownie nie mogę wyjść z podziwu nad efektem działania cukru na niedojrzały organizm. Sugeruję, żeby Batboy po cichutku otworzył swoje prezenty i pozwolił tatusiowi jeszcze trochę pospać.

**6.50:** Zrywam się na równe nogi już po usłyszeniu pierwszych (i głośniejszych) dźwięków z płyty kapeli rockowej Regurgikator. Przeklinam gust muzyczny Świętego Mikołaja.

**6.57:** Rozkładam odtwarzacz CD (na części pierwsze) i syna (na łopatkę). Wracam do łóżka i śpię.

**7.00:** Zostaję obudzony przez Jokastę, która mówi, że „spała jak zabita”, ale jest już gotowa na swoją poranną filiżankę herbaty. Biegnę do kuchni, donośnie tupiąc i wbijając sobie w stopy odłamki magicznego pasa Superodkrywcy.

**7.05:** Układam śniadanie i herbatę Jokasty na tacy, unoszę ją wysoko i zmierzam w kierunku łóżka, prezentując umiejętności nabyte podczas pracy kelnera w hotelu Hilton. Uśmiecham się pobłaźliwie, słysząc słowa Jokasty:

- Przestań się wygłupiać, bo zaraz to wszystko wyląduje na mnie.

**7.06:** Pomagam Jokaście wydostać się z łóżka i przemyć uszkodzone i poparzone części ciała. Zmieniam pościel. Sugeruję, że w tej sytuacji będzie lepiej, jeśli od razu rozpakujemy swoje prezenty.

**7.15:** Otwieramy prezenty i natychmiast używam / wkładam / zjadam wszystko, co rozpakowałem.

**7.25:** Siedzę ubrany w swoją nową hawajską koszulę, dopasowaną do moich nowiutkich butów Ugh, słuchając płyty Batboya Regurgitator, żując pierniki i oglądając film o EMSie. Czy może istnieć coś jeszcze przyjemniejszego?

**9.00:** Poczyniłem następujące odkrycia: moje buty Ugh są naprawdę ciepłe, filmy o EMSie nie trwają wiecznie, a nadmiar pierników wywołuje mdłości.

**9.05:** Przygotowujemy obiad dla piętnaściorga bliskich, wymyślając sposoby na uniknięcie spięcia pomiędzy dziadkiem Ryanem a wujem Steve'em. Ostatecznie dochodzimy do wniosku, że morze alkoholu „pomoże im się zrelaksować”.

**9.30:** Rozpaczynam przygotowywanie swoich popisowych dań, gratulując sobie doskonałej organizacji pracy.

**9.55:** Docieram do strony książki kucharskiej zawierającej informację: „Krok 7: moczyć fasolę przez siedem godzin, chłodzić przez całą noc”. Ciśkam książkę na podłogę i zanoszę się szlochem.

**10.00:** Postanawiam dolać brandy do puddingu. Oczywiście najpierw sprawdzam, czy aby nie zwietrzała.

**10.05:** Nadal nie mam całkowitej pewności co do jakości brandy. Ponawiam test.

**10.15:** Ostrożności nigdy za wiele, zwłaszcza gdy chodzi o zdrowie gości.

**12.15:** Witam rodzinę, nieznacznie się chwiejąc. Otwieram piekarnik i stwierdzam, że indyk znajduje się w najbardziej naturalnym dla siebie stanie: nadętym.

**12.30:** Wręczamy sobie prezenty w gronie najbliższych. Mówię do siostry:

- Marzyłem o tej książce od momentu, gdy trafiła do sklepów.

Zapominam dodać, że dlatego właśnie kupiłem ją sobie trzy miesiące temu.

**12.45:** Pomagam Kosmicznemu Kadetowi rozbić dziecięcy namiot подарowany mu przez dziadków.

**12.50:** Zaczynam rozumieć, dlaczego wszystkie sklepy są zamknięte w święta. Nie ze względów religijnych, tylko dlatego żeby nie reklamować namiotów, do których ktoś zapomniał dołączyć śledzie.

**13.05:** Podaję czterodaniowy obiad w trzydziestopięciostopniowym upale, z dodatkiem tradycyjnych napojów, takich jak czerwone wino czy whisky.

**13.30:** Podczas deseru poruszam temat zabawnej, dawno zapomnianej rodzinnej sprzeczki, z powodu której cała rodzina była strasznie cięta, ale teraz jest już w stanie się z niej śmiać.

**13.40:** Odkrywam, że jednak nie jest.

**13.45:** Wykorzystuję połamane kawałki magicznego pasa Superodkrywcy do rozdzielenia wuja Marka od taty. Potem gaśnicę. I wreszcie indyka.

**14.00:** Idę do pokoju chwiejnym krokiem z egzemplarzem najnowszej powieści Bryce'a Courtenaya\*<sup>10</sup>. Odkrywam, że jej lektura zdecydowanie przewyższa moje możliwości.

**17.00:** Budzę się. Przepraszam. Częstuję gości resztkami z obiadu.

**17.10:** Z niedowierzaniem wysłuchuję skarg wuja Marka na zakaz otwierania pubów w Boże Narodzenie.

- Pozwalają przecież otwierać kościoły - mam już serdecznie dość stosowania przez wszystkich tych przeklętych podwójnych standardów.

**19.00:** Żegnam gości i odkrywam znaczenie słów „święteczna gorączka”. To jest to, co z ciebie opada, gdy wreszcie jest po wszystkim.

## **W łóżku z Jokastą**

Kosmiczny Kadet siedzi na tylnym siedzeniu, płacząc -nie jest to rozdzierająca scena hysterii, które odgrywa od czasu do czasu, ale bolesne, wzruszające chlipanie chłopca, który właśnie dokonał szokującego i niesprawiedliwego odkrycia: że jego ojciec to chodząca porażka. Jokasta siedzi z przodu, na miejscu pasażera, z wzrokiem wbitym w przestrzeń i zapewne również się zastanawia, jak to możliwe, że ona, kobieta, przed którą życie otwarło wiele możliwości, skończyła w ten sposób - w tym samochodzie, u boku tego mężczyzny, w tym miasteczku.

Miasteczko nazywa się Geurie i jest zapyziałą dziurą na wschód od Dubbo, w zachodniej części New South Wales. Zaparkowaliśmy na tyłach jedyne go w miasteczku pubu, tuż obok kilku poobijanych koszy na śmieci. Właśnie zapadł zmierzch, a ja dopiero co podzieliłem się z rodziną moim genialnym planem na tę noc: spędzimy ją tutaj we czwórkę, pod pożyczco-

---

<sup>10</sup> \* Popularny w Australii pisarz pochodzący z południowej Afryki.



nym kocem, na tylnym siedzeniu naszego kombi, podkładając pod głowę własne ubrania.

Z niezrozumiałych dla mnie przyczyn pomysł nie spotyka się z entuzjazmem. Rozmawiałem już z właścicielem pubu, a nawet pożyczyłem koc. Wygląda co prawda trochę jak przeżarta zębem czasu wojskowa derka, ale lepsze to niż nic. A właśnie „nic” zaproponowano nam w dwudziestu trzech miejscach, w których próbowaliśmy szczęścia - wszędzie odmówiono nam noclegu, walcząc z falą urlopowiczów, pracowników kolei i wędrownych sprzedawców.

Problem polega na tym, że Jokasta, nawet siedząc w grobowej ciszy, ma w zanadrzu potężną broń - „a nie mówiłam”, i jest to broń nabita, w każdej chwili gotowa wystrzelić. Przed naszym wyjazdem moja żona obdzwoniła wszystkie puby i motele na trasie w kierunku Dubbo. Odkryła absolutny brak wolnych miejsc do spania i stwierdziła, że najlepszym pomysłem byłoby przełożenie naszej wycieczki.

Wtedy ja, co z perspektywy czasu wydaje się oczywistą pomyłką, odrzekłem:

- Nie bądź niemądra - kto przy zdrowych zmysłach chciałby jechać do Dubbo? Na pewno nie będziemy mieli problemu ze znalezieniem wolnych łóżek.

Tymczasem na tyłach pubu w gęstniejącym mroku zastanawiam się, jakim cudem zmieścimy się w naszym samochodzie - dwoje dorosłych, Bat-boy i niebędący w stanie usiedzieć na miejscu Kosmiczny Kadet.

- To ci dopiero będzie przygoda - stwierdzam z nieszczerym entuzjazmem.

Spoglądam na Jokastę i przez moment mam wrażenie, że zaraz to powie - swoje słynne „a nie mówiłam”. Lecz ona powstrzymuje się od strzału. Jak każda żona jest w pełni świadoma tego, że nic nie jest tak przerażające, jak „a nie mówiłam” trzymane w zanadrzu, ukryte gdzieś pomiędzy wami i... cichutko tykające.

Kosmiczny Kadet wciąż nie przestaje szlochać. W przerwach między kolejnymi chlipnięciami wyjaśnia nam, na ile sposobów możemy zostać zamordowani przez złodziei, którzy przyjdą po nas pogrążonych we śnie i

zaczną się na nas bezwstydnie gapić przez szyby samochodu, rozplaszczając na nich swoje zbójckie nochale.

Jokasta jest zgodna co do tego, że mój plan może się zakończyć uśmierceniem kogoś. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki ją do tego sprowokowałem, prawdopodobnie grozi jej nie więcej jak rok pozbawienia wolności. Wreszcie wypowiada na głos słowa znacznie gorsze niż „a nie mówiłam”:

- To mi przypomina twój numer z tankowaniem na nieistniejącej stacji benzynowej.

Ten przykład pokazuje, jak bezmyślna bywa moja żona. Wydaje jej się, że sytuacja, gdy utknęliśmy na całą noc w samochodzie, przypomina nasze obecne położenie, kiedy siedzimy nocą w samochodzie i nie możemy się ruszyć, a przecież one nie są ze sobą nijak powiązane (tym razem wydawało mi się, że znajdziemy hotel, zaś poprzednim razem wydawało mi się, że znajdziemy stację benzynową).

Mówię Kosmicznemu Kadetowi, że wywieszę ręczniki na szybach samochodu, żeby rabusie nie mogli nas zobaczyć, na co on odpowiada:

- Wiedziałem, że tutaj aż roi się od złodziei, a ty powiedziałaś, że ich nie ma.

Szloch przybiera na sile.

Jokasta rzuca mi swoje doskonale znane refleksyjne spojrzenie i jestem pewien, że zaraz zwróci się do mnie w jakiś szczególnie obraźliwy sposób. O tak - miałem rację - jej zdaniem jestem „facetem”.

- To jest takie typowe dla facetów, nie sądzisz? - mówi. - Nie macie żadnych wątpliwości co do tego, że świat został stworzony wyłącznie z myślą o was. I to dlatego wybieracie się na wycieczkę z niemal pustym bakiem. Jesteście pewni, że gdy tylko skończy się wam benzyna, na drodze natychmiast wyrośnie stacja benzynowa. Albo że jakimś cudem dostaniecie nocleg.

Nie miałem zamiaru puścić jej tego płazem. Z jej słów wynikało, że nie byłem przygotowany na każdą ewentualność, a to wierutne kłamstwo. Zapakowałem przecież dwie butelki wina Hunter Shiraz - od dawien dawna uważanego za niezawodny środek ułatwiający zasypianie na tylnym sie-

dzeniu kombi. Ale oczywiście tego rodzaju przejawy zapobiegliwości nigdy nie są doceniane.

- Tak naprawdę nawet dobrze się złożyło - kontynuuje Jokasta. - Spanie tutaj może być dla ciebie niezłą nauzką: rzeczy nie zawsze układają się po twojej myśli.

Wielkie czerwone słońce chowa się za horyzontem, panuje zupełna cisza, zakłócana jedynie rytmicznym szlochem mojego syna. I wtedy go dostrzegam: właściciela pubu zmierzającego żwawym krokiem w kierunku samochodu. Tego mi tylko brakowało. Pewnie przyszedł zażądać zwrotu koca.

Lecz zamiast tego ten zwraca się do Jokasty:

- Och, nie mogę państwu pozwolić spać w samochodzie, zwłaszcza z dwójką dzieciaków.

Okazuje się, że jego osiemnastoletni syn zgodził się przespać na połowie w pokoju swojej siostry, a my możemy zająć jego sypialnię.

Tak więc cudownym zrzędzeniem losu wszystko skończyło się dobrze. Zostaliśmy zaprowadzeni do domu, a potem wszyscy czworo wylądowaliśmy na ogromnym łóżku wodnym syna właściciela, śmiejąc się i łaskocząc.

Wiem, że szczenę za to w piekle, ale nie mogłem sobie odmówić przyjemności zbliżenia się do Jokasty i wyszeptania jej do ucha najśłodszych znanych mi słów:

- Jokasta... a nie mówiłem?

... Jestem w łóżku z Jokastą i jest to możliwie najszcześniejsze zakończenie.

## **PODZIĘKOWANIA**

Autor chciałby serdecznie podziękować Debrze Oswald, Amandzie Higgs, Brianowi Curranowi, Lindzie Funnell oraz Belindzie Vuille.

TLR